

X- 15000,-
201950



PO ZIARNIE
ZBIOREK PAMIĄTKOWY

WYDANY PRZEZ

Jana Prusinowskiego i Maurycego Krupowicza

.....
Czyliż te wichry, ofiarę,
Z ofiarnika łąą rozwieją? ...
Kaz. Brodziński.

—
WILNO.

NAKŁAD WYDAWCÓW.

—
1861.

ZBIOREK PAMIĄTKOWY.

PO ZIARNIE
ZBIOREK PAMIĄTKOWY

WYDANY PRZEZ

Jana Prusinowskiego i Maurycego Krupowicza.

.....
Czyliż te wichry, ofiarę,
Z ofiarnika lżą rozwieją?...

Raz. Brodziński.

—*—
WILNO.

NAKŁAD WYDAWCÓW.

1861.



Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, 30 Września 1860 roku.

Cenzor, *Paweł Kukołnik.*

201950

Drukiem A. SYRKINA.

D-115/90

OD WYDAWCÓW.

Myliłby się mocno, toby, zabierając się do sądów krytycznych o tém piśmie, chciał w niém szukać wyrazu pewnej, obranej z góry idei, wypowiadającej się mniej lub więcej zrozumiale przez uszykowanie utworów jednej barwy i kierunku. Jest to nie więcej jak skromny pamiątkowy zbiorzek, który powstał powoli z literackich upominków składanych *po ziarnie* ś. p. Walerjanowi Tomaszewiczowi, którego smutne koleje i zapasy z życiem, skreślone w pośmiertném wspomnieniu, umieściliśmy na końcu tego pisma. Wydanie na świat zebranych tym sposobem utworów, świadcząc o gorącym współczuciu serc przyjaznych, miało zarazem na celu zaradzić na czas jakiś ciężkiemu niedostatkowi brata literata, który dotknięty najstraszniejszą niemocą, bo całkowitą utratą wzroku, na rozpaczliwą pod względem moralnym i materjalnym nieczynność skazany został. Śmierć Tomaszewicza na obcej ziemi, w chwili gdy wydawnictwo było już w połowie skończoném, zmieniła pierwotny cel jego. Wydawcy jednak, święcie szanując myśl, która duchowym narodzinom tego pisma towarzyszyła, postanowili doprowadzić je do końca i puścić w świat pod tém samém godłem, pod jakim zostało poczęte. Tak więc namaściwszy to sieroce dziecię krzyżmatem miłosier-

dzia, przeznaczamy czysty dochód, jaki ze sprzedaży tego pisma wyręczony będzie, na pomoce naukowe dla biednych uczniów i sierot, odznaczających się zdolnościami i zamiłowaniem do pracy. Jesteśmy najmocniej przeświadczeni, że tym sposobem złożymy najlepszy hołd pamięci zasłużonego w piśmiennictwie pracownika i przyjaciela naszego i zrobimy najwłaściwszy użytek z utworów, które przyjazne serca w równiankę pamięci i współczucia dla zmarłego upleść pragnęły.

Oto wszystko, cośmy o początku i celu tego pisma powiedzieć mieli. Dalsze powodzenie jego i ziszczenie myśli dobroczynnej zależeć będą od ogółu, przed którym w piśmach publicznych ściśle wyliczymy się we właściwym czasie z kosztów wydawnictwa jak równie z użytku sum z wyprzedaży pisma zebranych.

Maurycy Krupowicz.

Jan Prusinowski.

Wilno
29 sierpnia 1861 r.

POŚWIĘCENIE.

Z bratnich uczuć i pamiątek,
Zwiążmy bukiet dla niedoli,
Gdy ofiary w sercu wątek.
Kwiat na łzawej wejdzie roli,
Mrok zawisły na światłości,
Rękę losu skamieniałą
Bóg podniesie, — i w jasności
Skąpie duszę przebolałą.

Nasze serce i sumienie,
Zawsze chętne spłacać długi;
Zrzucać ciernie i kamienie
Z drogi pracy i zasługi,
Kielich gorzki wypić z bratem,
Ciepłą dłonią łzę niedoli
Otrzeć wonnym czucia kwiatem
I podzielić to co boli.

Z. K.

WIELCY MUSZKIETEROWIE AUGUSTA II.

PRZEZ

Juljana Bartoszewicza.

Augustowi II-mu, bardzo lubiącemu wystawne życie i nieustanną rozmaitość, przyszło raz na myśl utworzyć na stopniach tronu swego szlachecką gwardję polską. Od niejaki-go już czasu lubił król ściągać panów koronnych i litewskich do Drezna, żeby ich zawczasu przyzwyczaić do majestatu dziedzicznej władzy: potem brał im synów do siebie na dwór, niby to na służbę, niby to na musztrę i naukę wojskową, bo w Polsce nie było szkoły rycerskiej, i obiecywał młodzieży stopnie oficerskie w wojsku saskim. Garnęli się do służby elektor-skiej Polacy, a najwięcej Kurlandczycy, jak zwyczajnie: ser-cem Ignął Niemiec do Niemca. Ale to jeszcze wszystko było za mało dla wesołego i rycerskiego króla, pełnego blasku i o-kazałości. Więc postanowił sobie zebrać, jak powiedzieliśmy, przyboczną gwardję, straż honorową, korpus szlachecki. Nim się jeszcze ta myśl na dobre rozwinęła, nim król dobrze zdał sobie sprawę czego właściwie chciał, młodych Polaków, któ-rych już ściągnął do Saksonji, nazywał kadetami polskimi.

Później liczbę ich opisał na dwieście ludzi najwięcej. Wreszcie zachciało mu się zbierać samych olbrzymów i przypominał sobie muszkietierów Ludwika XIV. To przypomnienie postanowiło o losach i przyszłości korpusu. Kadeci mieli być przeformowani, skoro tylko zbierze się ich dostateczna liczba, w grand-muszkietierów, t. j. w regiment gwardji złożony z olbrzymich, wielkich wzrostem muszkietierów, a do korpusu miała być przypuszczona li tylko młodzież polska szlacheckiego pochodzenia, ze wszystkich prowincji Rzeczypospolitej bez różnicy, z Litwy, z Rusi, z Prus i Kurlandji (w listopadzie i grudniu 1729). Król lubił niezmiernie rośliwych ludzi i poprzednio już sobie przed kilkoma laty dobierał regimenta olbrzymich grenadierów, których komendę oddał ulubionemu synowi Rutowskiemu.

Szefem honorowym grand-muszkietierów polskich mianował się król sam w stopniu kapitana zupełnie tak samo, jak później Stanisław August zrobił się szefem kadetów. Na właściwego zaś komendanta wybrał im księcia Aleksandra Lubomirskiego miecznika W. K. w stopniu porucznika, tak samo, jak komendantem kadetów Stanisławowskich był później książę jenerał ziem podolskich. Porucznik jednak grand-muszkietierów miał rangę jenerał-majora w wojsku Saskiem. Każdy pojedynczo żołnierz czyli muszkietier był tylko w swoim regimente żołnierzem jako w gwardji królewskiej, ale w wojsku miał rangę chorążego. Przepisał im król mundur bogaty i wspinały: mieli bowiem nosić wierzchnie kaftany, czyli, jak wtedy mówiono, superwesty haftowane, daleko suchiej jak sascy chevaliers de garde. Do tego król im pensję nieszczupłą wyznaczył. Pałac Sandomierski w Dreźnie obrócono dla nich na koszary i kazał król pałac stosownie na ten cel przebudować: ogromne sale pałacowe powiększyły się jeszcze i wyglądały jak place, bo i rzeczywiście przeznaczone też były na place

musztry. Muszkietierowie służyli konno, więc znowu ogromny wydatek król łożył na kupno rośliwych i pięknych koni i bogatych rzędów: tak się panu ta myśl jego podobała, że sam z całym zapalem młodzieńczym zajmował się wszystkiem, co należało do jak najprędzszego uformowania regimentu; przyjmował projekta, sam je tworzył, naradzał się z księciem Lubomirskim, który był wtedy w ogromnych u niego łaskach, a nawet po części z powodu formacji, raz w zimę, wyjechał sam król na jarmark Lipski przeglądać i kupować konie. (*).

Był król ciągle w najlepszym humorze, kiedy myślał o muszkietierach. Te wszystkie plany, te projekta, te zamiary następowały po sobie prędko jedno po drugim jak błyskawice. Czyn rad w ślad postępował za myślą, tém bardziej, że w głowie królewskiej już nowe rodziły się plany: oddawna już zamyslał August wyprawić dla Europy rycerskie gonitwy i parady wojskowe w Saksonji, tak żeby świat się zdziwił, zatem chciał namiętnie już i grand-muszkietierów wystawić na lato, na te przyszłe uroczystości. A tutaj nie jeszcze gotowego, nawet ludzi nie było: musiał się śpieszyć.

Żeby zaś nadać tym wszystkim zabiegom jakiś pozor zakładania szkoły wojennej, boć grand-muszkietierowie mieli być zawsze tylko kadetami polskiem, przepisał im król zawczasu tak nazwane exercycje, czyli ćwiczenia konne i piesze: już to musztra miała być głównym przedmiotem, którego młodzi Polacy uczyć się musieli, a więc we wszystkich ewolucjach powinni byli celować. Uczyli się krom tego fechtunku, woltowania, tańca, jazdy konnej, a w dodatku do tego wszystkiego architektury wojskowej i języków. Nauczyciele czyli metrowie mieli być francuzcy i niemiecscy. Skąd ich wziął król? niewiadomo, miał jednak myśl pierwszą sprowadzić ich

(*) W grudniu 1729 zob. „Uprzywilejowane wiadomości.“

z Warszawy. Widać zatem, że w Warszawie dużo tych metrów i celniejszych było. Jeszcze przed wyjazdem do Lipska król skupił 80 koni, ale jak powiadamy, ludzi nie było na zawołanie. Otoż panowie polscy, skarbiąc sobie łaski pańskie, wybierali pomiędzy szlachtą a najwięcej pomiędzy wojskowemi, jeżeli trafił się kto stosowny w wojsku koronnem i litewski, odsyłali królowi olbrzymów. Pierwszym, który zrobił tę ofiarę, a raczej, który zdobył się na ten koncept, był Jan Klemens Branicki, chociaż W. K. Bogaty to był pan; potomek Czarnieckiego po kądzieli a konkurował mocno o buławę. Branicki tedy naprzód wynalazł pięciu olbrzymów szlachty i opatrzywszy ich pieniędźmi na drogę, wysłał zaraz do Drezna w ciągu jeszcze tej samej zimy, w której się formacja zaczęła; trzech przyjechało wcześniej i tych królowi na pokojach po powrocie z Lipska przedstawił Bessersek porucznik w regimencie artylerji kor. a więc osobiście zobowiązany Branickiemu, w którym przeżuwał swojego przyszłego wodza. Potem starosta spiski Lubomirski przysłał królowi jedenaśtu ludzi przez jakiegoś pana Mroszkowskiego. Starosta zatorski sam z żoną nadjechał do Drezna i przywiózł także królowi ze sobą czterech rośłych hajduków. Wojewoda podlaski werbował pomiędzy szlachtą, która rzucała dla służby kontusze i przebierała się po francuzku. Leciała i sama młodzież z Polski starać się o służbę w regimencie, bogatsi i znaczniejsi biegli pocztą i łatwy znajdowali wstęp; ubożsi starać się musieli o względy panów, żeby ich ze swojej strony zalecali królowi. Raz więc ksiądz podkanclerzy Lipski przedstawiał ochotników królowi, drugi raz graf Manteuffel. August cieszył się niezmiernie z tej ochoty, ile że wieść o formującym się korpusie grand-muszkietarów po całej rozbiegła się Europie i wszędzie wzbudziła pewien ruch pomiędzy młodzieżą. W Szwecji dwudziestu kawalerów naj-

przedniejszych rodzin zmówiło się jednocześnie, żeby jechać do Saksonji, i dostać się na usługi wojenne króla Jmci. Niezrażało ich to wcale, że muszkietierowie mieli być utworzeni li tylko ze szlachty polskiej, bo byłoby się gdzie i dla nich pomieścić, gdy król zajęty formacjami na przyszły kampaent, od razu tworzył liczne pułki z samych olbrzymów, jako-to regiment gwardji żółtej, regiment grenadierów i t. d. Król odbywał przegląd nawet starych swoich pułków i wybierał ludzi rośłych do grand-muszkietarów. Znalazł też raz szukając cuda nad cuda to jest ogrom pod wszelkim względem: olbrzyma nad olbrzymi wzrostem i tuszą i apetytem. Miał ten figurant przeszło cztery łokcie wysokości i zjadał na dzień czterech funty mięsa a dziesięć f. chleba, chodził jednak cokolwiek pochyło. Olbrzym ten miał nosić chorągiew u muszkietarów. Czy żeby przeciąć drogę dla tyłu obudzonych ambicji, czy też rzeczywiście, żeby dobrać samych wielkoludów, król oznaczył miarę wzrostu dla ochotników i nie nudził się wcale, kiedy po kilka godzin prawie codziennie przepędzał nad mierzaniem olbrzymów, a z każdego nabytku serdecznie się radował. Ruch był wielki w Dreźnie, bo tam maskary i bale gonity jedne za drugimi, a do tego musztry, parady, lustracje codzienne, na których uwijali się jenerałowie: książę Lubomirski, Wackerbarth, de Nassau, grafi Rutowski i Szybalski, który właśnie co przyprowadził z Polski nowy kontyngens.

Otóż wyspieszył król w istocie z regimenterem muszkietarów na świetne uroczystości pod Mühlbergiem. Już w końcu maja regiment ściągnął do obozu pod wodzą księcia Lubomirskiego i brał udział w kampaencie. Było wtenczas u muszkietarów ludzi 165. (*).

Król wszędzie za sobą ciągnął tych muszkietarów. Był

(*) Kurjer Polski 1730 N. 26.

w Saksonji, to i oni w Saksonji, przejeżdżał do Warszawy to i oni za nim ciągnęli się w marszu do Warszawy. Pierwszy raz pokazał ich w stolicy polskiej, w kilka miesięcy po wielkich paradach pod Mühlbergiem (w wrześniu 1730). Poprzednio wynajął dla nich na koszarę pałac Mokronoskiego chorążego warszawskiego; pałac ten znajdował się w Nowém mieście niedaleko od kościoła P. Maryi. Raz nawet na zawsze spisano podobno kontrakt o najem z właścicielem, który widno nie mieszkał w pałacu, kiedy go odstępował muszkieterom! Główna więc ich kwatera była zawsze na nowém mieście, a chorąży warszawski dla tego może robił taką dogodność królowi, że w tych muszkietrach służył i syn jego pan Jędrzej, który potem za Stanisława Augusta wyszedł na wojewodę mazowieckiego. Parady jednak choć bywały, ale nie tak częste.

Drugi raz olbrzymich muszkietarów swoich król ukazał Warszawie w całej świetności w czasie kampańty Willanowskiego (w lipcu i sierpniu 1732). Król sprawił wtedy pułkowi nowe mundury, to jest barwę narodową, czerwoną z białymi wyłogami. Śliczny to był regiment i doskonale wysztrowany, młoda szlachta dzielnie na koniach siedziała, zupełnie jakby się zrosła z niemi: to też Lubomirski był ciągle w ruchu ze swoim pułkiem przez cały ten czas parady, zawsze na czele kolumn, zawsze na wydatném miejscu, żeby go wszyscy widzieli.

Jednakże muszkietierowie, lubo złożeni z Polaków, byli częścią wojska Saskiego już to dla tego naprzód, że po konfederacji Tarnogrodzkiej król nie mógł powiększać wojska narodowego, a powtórę że chciał mieć sam pułki polskie na żołdzie swego Elektorstwa. Dla tego duch niemiecki panował wyłącznie w pułku, chociaż polskie tam brzmiały nazwiska.

Sam wódz regimentu, książę Lubomirski, był już wynarodowionym Polakiem. Najmłodszy to był syn hetmana Hieroni-

ma, który sięgał ręką po koronę razem z Leszczyńskim. Aleksander za niedoszte nadzieje ojca gniewał się na ojczyznę, i dla tego wiązał się serdecznie z królem Elektorem. Prawda, że do Augusta ciągnęły go po części i rodzinne stosunki; np. sławna w swoim czasie piękność, księżna Cieszyńska z domu Bokumówna była rodzoną jego stryjenką. Czasy już się wprawdzie zmieniły i od lat kilkunastu August II-gi kilkanaście przerzucił kochanek, przecież księżna Cieszyńska zachowała aż do tej chwili pewien wpływ swój na dworze i dawała świetne bale w Dreźnie, na których bywali panowie sascy, polscy i sam król jegomość. Księżna nigdy nie była polką, bo szła z krwi niemieckiej, ale wtenczas już, zerwawszy ostatecznie i z mężem i ze światem polskim, zupełnie stała się niemką, nie myślała o powrocie do Polski, gdzieby dziwną rolę odegrywała. Może tedy jej wpływowi po części przypisać można tę okoliczność, że książę Aleksander także wynarodowił się powoli. Ożenił się z saską Fryderyką Karoliną Fitzthumówną i córki swoje wychowywał zupełnie po niemiecku, kierując je naturalnie na żony dla Niemców. Fitzthumowie należeli także do arystokracji saskiej, jeden z nich pamiętnym jest w dziejach polskich z intryg, które prowadził w czasach wojny szwedzkiej. Fitzthumowie teraz swatali córki Lubomirskiego i coraz więcej odrywali go od ojczyzny. Po chwili książę dla Polski ujrzał się zupełnie obcym, tém bardziej, że związał się nawet krwią z królem: hrabia Rutowski albowiem ożenił się z jedną z jego córek, drugą wziął Flemming minister gabinetu saskiego, trzecia Marja, biedna, panną umarła. Czwartą już później za Augusta III wydał ojciec za p. des Alleurs'a posła francuzkiego w Saksonji, który zaraz po ślubie przeniesiony został z Dreznia do Stambułu. (*).

(*) Ślub des Alleurs'a odbył się 12 czerwca 1743 o cztery mile od Dreznia w dobrach hrabiego de Wackerbarth. Kurjer Polski N. 341. Do Turcji

Książę Lubomirski miewał przytęm urzędy polskie. Był starostą soleckim, gniewskim i ratneńskim i jako dygnitarz był naprzód kuchmistrem. Ale na mało co przed uformowaniem grand-muszkietarów został mianowany miecznikiem W. kor. (18 czerwca 1728). Poprzednio zaś, po śmierci wojewody krakowskiego a dawniej męża księżny Cieszyńskiej, otrzymał regiment dragonji w wojsku cudzoziemskim Rzplitej, o czém wiemy z gazet pisanych (we wrześniu 1727). Wszystkie te tytuły oczywiście kładł jednak książę niżej od jenerałstwa saskiego.

Życie jego po największej części upływało w Saksonji i do Polski przyjeżdżał tylko z królem i z grand-muszkietarami. Brał głos przeważny w radzie familijnej, która ciągle otaczała Augusta, a do której ledwie kto z obcych należał oprócz zięciów.

Później cokolwiek, pod zwierzchnią komendą Lubomirskiego, pułkownikiem muszkietarów polskich został Potocki, herbu Szreniawa, podczaszyc krakowski, rodzony wnuk Wacława poety, a brat samęj pani Heleny z ostatniego męża Morsztynowej, wojewodziny inflanckiej, której życie w osobnym obrazku nakreśliliśmy. Imienia tego pułkownika nie znamy. Niesiecki tylko to powiada o nim, że był »w wojsku cudzoziemskim polskim znacznej szarży.« Zdaje się, że ten Potocki więcej był młodzi polskiej do serca, jak zniemczony książę jenerał.

Ale chociaż potrzeba było przestrajać się w suknie francuzkie dla regimentu, wiał w grand-muszkietarach duch szlachecki. Byli to albowiem wszystko ludzie majątni, młodzi, waleczni, zapaleni, z poręki starych hetmanów i wojewodów, więc niedziw, że nie zapominali szlacheczyzny. Najpierwsi

jechał z żoną przez Warszawę i po drodze odwiedził hetmana W. kor. który go przyjmował z wielkimi honorami. Kazał jenerałowi Bekierskiemu odprowadzać aż do Dniestru i Chocimia.

co się zaciągnęli pod chorągwie, byli: Zbijewski, Koszucki, Starzęcki, Kietpiński (Kątkowski) i Marcin Matuszewic, który za Poniatowskiego wyszedł na kasztelana i był znakomitym literatem swojego czasu, wreszcie ów Kurlandczyk Korff, którego posądzano, że pod Marymontem, jako przyjaciel Poniatowskich, przebił Tarłę wojewodę lubelskiego (1744 r.).

Ci olbrzymi muszkietarowie polscy póty egzystowali, póki żył i panował w Rzeczypospolitej ich założyciel. Ze śmiercią jego wszystko się skończyło. W bezkrólewiu Rzeczypospolita nie chciała regimentu uznać za swoje wojsko, tém mniej miał do tego prawa nowy Elektor saski. Zatem naturalnie pułk się rozwiązał. Tej katastrofie następne towarzyszyły okoliczności.

Król zjechał na sejm i umarł nagle, więc i muszkietarowie byli z nim w Polsce. Czy to Augustowi II już się odechciało zabawy z kadetami, czy też nowe jakie snuł w głowie pomysły, dosyć, że ulubiony ten regiment polski już nie był wówczas w epoce swojej niedawnej jeszcze świetności: składała go tylko garstka ludzi, 80 osób, nie więcej. W tym składzie otrzymali muszkietarowie polscy straż u ciała królewskiego. Gdyby w Saksonji pozostali, możeby przyjęli służbę niemiecką, ale w Polsce Bieliński marszałek w. kor. nakazał im zaraz po sejmie konwokacyjnym, żeby złożyli przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Stanęli więc wprawdzie przed pałacem Mniszchowskim, ale tutaj w stanowczym razie wybuchnął gwar i bardzo różne pokazały się zdania. Jedni mówili, że pobierają gażę od elektora, więc jemu są obowiązani posłuszeństwem; mówili drudzy, że są Polakami i że król zmarły wystawił ich dla Rzeczypospolitej jako osobny regiment polski, więc ojczyzny powinni słuchać i przejść na jej żołd, tém bardziej, że marszałek koronny ich o to wzywa. Inni, chociaż prawili o powinnościach swoich względem elektora, ale nie wiedzieli jak

te powinności pogodzić z przysięgą dla obcego teraz monarchy: jak to? mielić sami bez elekcji narodu obierać króla i jemu oddawać się bezwarunkowo? Inni jeszcze obawiali się, żeby zachowawszy wierność elektorowi, nie podawali mu w ręce miecza przeciwko swoim ojcom. August III, mając synów w rękę, mógł w istocie przymus moralny wywierać na obywateli Rzeczypospolitej i tą drogą sobie jednać ich głosy szlacheckie, a w takim razie w cóżby poszła główna podstawa wolności narodowych: liberum veto, wolna elekcja? Było się nad czém dobrze namyslać. Znalazły się wreszcie takie niespokojne duchy, co odmawiały wszelkiej przysięgi i obiecywały, że bez niej pozostaną i nadal wiernymi Rzeczypospolitej. Marszałek kor. nie mógł zmusić muszkietarów do przysięgi i tego dnia sprawa skończyła się na niczym. Na inny dzień odłożono uroczystość. A przez ten czas trwały sejmiki muszkietarów i zdania się ścierały. Kwestja się wyjaśniała coraz więcej. Jeden z olbrzymów, najsumienniejszy może i najwięcej skrupulatny Matuszewicz staroście stokliski poszedł poradzić się kapitana Matlera z pułku wojewody podlaskiego, co zrobić? Znał się z nim od dawna, ile że obadwaj byli sługami jednego domu Sapieżyńskiego. Matler, człowiek wytrawny i doświadczony, siedział wtedy w więzieniu za jakieś knowania przeciw generałowi swemu: wysłuchawszy sprawy, poradził Matuszewicowi, żeby muszkietarowie natychmiast przysięgali Rzeczypospolitej. Na drugi więc dzień wyznaczony do przysięgi regiment znów stanął cały przed pałacem mniszchowskim. Wołano po kolei oficerów podług starszeństwa do sali przed marszałka i tam jeden za drugim ślubował wierność Rzeczypospolitej. Wreszcie wezwano Matuszewica, który miał jednak swoje skrupuły, więc się wykręcił zgrabnym wybiegiem, żeby i okolicznościom i sumieniu zadosyć uczynić: »nie będę już więcej muszkietarem, mó-

wił, więc mógłbym wcale nie przysięgać, ale wymagają po mnie tego, więc żebym pokazał, że syn ojczyzny, przysięgam.» Podobną się ta odpowiedź o tyle panu marszałkowi, że postanowił przywiązać do siebie Matuszewica i myślał go już posłać w podróż za granicę z synami swemi Jerzym, Augustem i Janem. Ale jakoś to zeszło, może kłopoty bezkrólewia wybiły p. Bielińskiemu pierwszą myśl z głowy. To pewna, że staroście stokliski zrobił sobie rodzaj sławy z tego, że cnotę pokazał z konieczności. Spotkawszy go raz potem marszałek na pokojach u księcia Prymasa, rozpowiedział całe zdarzenie obecnym panom i arcybiskup aż w głowę za to serdecznie ucałował starościca.

Tak więc muszkietarowie przysięgli Rzeczypospolitej i powrócili do Marywilu, gdzie na kwaterach stali podówczas. Ale nie wielu było takich patryotów: trzydziestu tylko, zatem mniejsza połowa. Książę miecznik pozostał przy nowym elektorze w Saksonji, i teraz już de facto i de jure Potocki był komendantem muszkietarów; nie odłączył się ani na krok od Rzeczypospolitej. Z nim razem przysięgł porucznik Krzyżanowski. Koni pułkowi tylko nie dano, zresztą wszystko co należało dostali, kwatery i odzież, a gażę pobierali ze skarbu koronnego. Odtąd muszkietarowie zaciągali urzędowo już z rozkazu marszałka przy straży ciała królewskiego. Ci zaś, co nie chcieli przysięgać, byli natychmiast rozpuszczeni; pobiegli więc zaraz do rezydenta saskiego z zapytaniem co o nich dwór myśli i czy mogą dalej zostać w służbie elektora? Musiał mieć na to nadesłane już stosowne instrukcje rezydent, bo każdemu z nich podarował cały ekwipaż muszkietarski z koniem, z bronią, a pensję wypłacił tylko za miesiąc, ale za służbę podziękował. Między tymi, co nie przysięgli na wierność Rzeczypospolitej, najwięcej było Kurlandczyków: rozje-

chali się też zaraz na wsze strony świata; jedni do domu, drudzy gdzie oczy pomiosą.

Bardzo niewiele pozostaje już dopowiedzieć z historii muszkietarów. Odprowadzali trzy ciała królewskie, Jana III, Marii Kazimiry i Augusta II, z Warszawy do Krakowa, potem wrócili do stolicy, widzieli elekcję i wierni Leszczyńskiemu pojechali Wisłą na łodziach w przedniej straży do Gdańska, kiedy wszystko zmykało na północ ze stolicy. Mieli tam straż przyboczną króla Stanisława.—W istocie była to już tylko straż nie regiment i stąd pewno zawieruszyła się gdzie w wojnie domowej, która następnie wybuchła. Leszczyński, kiedy się żegnał z koroną, rozpuścił niezawodnie muszkietarów, podziękowawszy im za dotychczasową służbę, a szczęśliwy jego współzawodnik nie myślał odnawiać regimentów ojcowskich.

Tak zaginał regiment olbrzymów muszkietarów Augusta II. po krótkim arcyświetnym zawodzie publicznym. Życie tego regimentu przetrwało cztery lata najwięcej. Był to jednak związek szkoły wojskowej w Polsce. Okoliczności nie dozwoliły, żeby się rozwinęła. Napróżno Polacy w paktach konwentach każdemu królowi przypominali rycerską szkołę:—były to długo pia desideria. Aliści ni stąd ni z owąd rodzi się szczęśliwa myśl w głowie królewskiej. Ale był to kwiatek zawczesny i warty na mroźne szrony zimy wystawiony. To też zwiadł. Dzieje też wspominają o fundacji Krzysztofa Miroszewskiego szkoły rycerskiej za króla Jana: i ta nie doszła.

O losach Potockiego, który był ostatnim dowódcą muszkietarów nic nie umiemy powiedzieć. Co zaś do księcia Aleksandra Lubomirskiego, ten jeszcze żył długo i zawsze był Niemcem a sercem i duszą Augustowi III-mu się oddał.

Król mu подарował w dowód łaski swojej wielki pałac Fitzthumowski w Dreźnie (w kwietniu 1737 r.). Mianował go dalej generałem kawalerji w wojsku saskim (w paździer-

1745), (*) bo Lubomirski był od dawna generałem lejtnantem. Potem podobało się księciu jeneralstwo artylerji kor. które zawarowało po drugim Rybińskim. Król, który podówczas z Lubomirskim znajdował się w Warszawie, dał księciu to jeneralstwo, połączył z nim pierwsze pułkownikowstwo i komendę pułku pieszego artylerji, wakans także po Rybińskim (20 paźdz. 1746). To nie jednakże nie przywiązywało Lubomirskiego do kraju; był to zawsze dworak i nic więcej. Jeździł za królem nieodstępny jak cień jego. Towarzyszył w drodze królownie Marii Józefie, kiedy miała zostać delfinową francuską, król jemu głównie i kuchmistrzowi saskiemu Szombergowi polecił prowadzić orszak weselny. Był Lubomirski na uroczystościach godowych w Dreźnie i odprowadził królową aż do Strasburga, potem znów do Dreznia powrócił, lnie troszcząc się nic o artylerję koronną (w marcu 1747) (**). W roku 1748 zrzucił się z miecznikowstwa, które lat 20 piastował: wzięł po nim ten urząd Józef Humiecki starosta gajowski (mianowany 15 lipca 1748). W lat cztery później (w r. 1752) książę nawet złożył i jeneralstwo artylerji a że wzięł po nim ten urząd potężny minister Bryl, i w tym nawet kroku księcia trudno nie upatrzeć dworactwa. Umarł generał naszych grand-muszkietarów już bardzo późno 16 listopada

(*) Kurjer Polski 1745. N. 466.

(**) Oto dat kilka dotyczących się tego małżeństwa z Gazet Polskich społecznych. Poseł nadzwyczajny francuzki Richelieu wyjechał do Lipska 23 grudnia 1746 r. Stanął w Hubertsburgu 24 grud. w Dreźnie 25-go. Posłuchanie jego u króla 26-go grud. Uroczysty wjazd i uroczyste posłuchanie 8 stycznia 1747 r. Szlub 12 stycznia. Królowna wyjechała z Dreznia do Francji 14-go. Przy tej okoliczności poseł francuzki w Dreźnie des Essarts otrzymał order Orła Białego i w podarunku 30,000 tal. A poseł saski w Paryżu baron Losse także order Orła Białego i 10,000 tal. Orszak saski od granic zawrócił, pojechał tylko dalej z Królową Jezuicą spowiednik i Przebendowska kasztelanka, której Ludwik XV. dał zaraz na wstępnie zausznice wartości 2,000 tal.

(*) Szkic ten narysowany podług kilku wiadomości urywkowych z Kurjera polskiego (n. p. N. 466.523 i t. d.). z Sygillat w metryce koronnej, z gazet pisanych, z „Uprzywilejowanych wiadomości,” notat Marcina Matuszewica i różnych różnych notatek.

W roku 1748 zjechał się z miłośnikami, które lat 30 pi-
stował: wziął po nim ten urząd Józef Hamiecki starosta ga-
łowski (zmianowany 15 lipca 1748). W lat następny później
(w r. 1752) książe nawet złożył i jenerałstwo arcybiskupa a że
wziął po nim ten urząd potężny minister. Był i w tym następ-
nym księciu trudno nie brnąć dworaczka. Umarł jenerał
marszałek królewski i ministerów już bardzo późno 16 listopada

[illegible]

PROSZĘ SIĘ WYSTĄPIĆ

OPOWIADANIE

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

Przed kilkunastu laty byłem świadkiem na Ukrainie sceny familijnej, która silnie na mnie zrobiła wrażenie, i którą, jako nie pozbawioną właściwego nam charakteru, czytelnikom moim opowiedzieć pragnę. W Skwirskim powiecie, w okolicy żyznej i pięknej mieszkał P. Jan Rolicki, który tam dość znaczny majątek, a razem przychylność i szacunek sąsiadów i współobywateli posiadał. Był to szlachcic starszy, mający wówczas, gdy go poznałem, przeszło lat sześćdziesiąt, wysoki, chudy, zawiedły, ale jeszcze zdrow i pełen tej siły ciała, jaką daje życie czynne, na otwartym powietrzu i przy zatrudnieniu gospodarskim; pełen oraz tej siły woli, jaką dawniej wyrabiał w ludziach takiej organizacji nałóg rozkazywania żonie, dzieciom i poddanym, którzy nie śmieli wystąpić ani z perswazją, ani ze sprzeciwieniem się słowu, wypowiedzianemu spokojnie, zimno, ale

(*) Powiastka ta drukowana już była w rozmaitościach Gaz. Lwowskiej. Jako tu mało znana, przedrukowuje się z upoważnienia Karola Szajnochy, któremu w r. 1857 ustąpiona była.

tak stanowczo i takim tonem, że wszelka reklamacja byłaby daremną, a nawet niebezpieczną być mogła. P. Jan nosił się po polsku, i nic go nie mogło skłonić do zrzucenia tej sukni, w której wyrosł, która stała się niejako drugą jego skórą, i której zmiana zrobiłaby go zupełnie innym człowiekiem, nie takim, jakim był i za jakiego chciał, aby go wszyscy mieli. „Róbcie sobie jak się wam zdaje, mówił perswadującym mu sąsiadom, a ja zostanę takim, jakim mnie P. Bóg stworzył. Po co mam uchodzić za Niemca, kiedym nie Niemiec; po co mam się oblekać gładką i pstrą korą brzoową, kiedym się urodził dębem, któremu jego szara i chropawa skóra lepiej do ciała przystaje, a może i przystojniej go okrywa.“ Takie pojmowanie tej rzeczy wyrażał zawsze strój jego, poważny, w kolorach swych tak dobrany, że nie zdradzał żadnej pretensji, nie okazywał zamilowania błyskotek, owszem miał w sobie coś surowego, jak myśl i charakter tego, co go nosił. Codzienna kapota jego była ciemno-sieraczkowa lub w lecie popielata; do kościoła, w gościnę i przy urzędowych wystąpieniach, brał żupan i kontusz popielaty lub czarny, ale obie te suknie były zawsze jednostajnego koloru, pas był włóczkowy, najczęściej czarny, czapka wysoka, rogata, także nie pstrego koloru i z czarnym barankiem. Patrząc na tę postać słuszną, wyprostowaną, imponującą, na tę twarz kościstą, wydatnych rysów, ozdobioną siwym wąsem i zamarszowaną takimiż brwiami, które obficie spadały na oczy siwe i przenikające; widząc to czoło niskie, najczęściej zmarszczone, okryte bielejącym już włosem,—na tę rękę potężną, której muskuły zdawały się być urobione z żelaza, której skórę twardą i szorstką spaliło słońce, trudno było wyobrazić go sobie w kusym fraku, w okrągłym kapeluszyku i w jasnych rękawiczkach. Nikt mu więc nie miał za złe, że nie szedł za

powszechną modą, a choć kto i radził przebranie się, w duchu przekonany był, że to prawie niepodobna, i z ukontentowaniem poglądał na ten dawny zabytek, który stał jeszcze sam jeden, silny i potężny, jak kolumna, która pozostała ze świątyni rozwalonej, po której nawet gruzy umieszczono i na modne przerobiono altanki.

Pan Jan nie był uczony, nie wiele czytał, do czego nie miał ani czasu, ani usposobienia, ale był to człowiek ze zdrowym sądem, z jasnym rozsądkiem, znający dobrze prawo miejscowe, sumienny w wypełnieniu obowiązków urzędów wyborowych, jakie piastował, używany często za rozjemcę w sądach polubownych, gospodarz akuraty, biegły, trochę za nadto przywiązany do grosza, ale nie mający na sumieniu swém niczyjej krzywdy, i we wszelkich umowach tak wierny i skrupulatny, że słowo jego starczyło za pismo, że mu nie tylko sąsiedzi i przyjaciele, ale i żydzi handlarze ślepo wierzyli. Jakoż nie zawiódł nikogo nawet w żadnej dostawie, do której się zobowiązał. A choć to często się zdarza na Ukrainie, że dla braku komunikacji, dla dróg przepaściowych w jesieni lub na wiosnę, najakuratniejsi chybają, p. Jan niechybił nigdy, i czego nie mógł odesłać na termin pańszczyznę, to odesłał dworskiemi fornalkami, używając do tego nie tylko folwarcznych koni, ale i swoich i żoninych, które zrzuciwszy pychę z serca pszenicę i żyto ciągnąć musiały.

Miał już wówczas p. Jan lat czterdzieści, gdy się ożenił. Dziwném zrządzeniem dostała mu się kobieta znacznie od niego młodsza, ładna, delikatna, w odmiennych zupełnie wyobrażeniach o subordynacji domowej wychowana, a nawet trochę z romanisowego stanowiska patrząca na życie, jego obowiązki i jego stosunki. Z początku usiłowała ona przerobić męża i, według swjej myśli i nabytych w do-

mu rodziców, widoków dom jego uorganizować. Wszakże wkrótce postrzegła, że wszystkie manewra pozornej uległości, upornego wracania z tym samym projektem, wszystkie zabiegi małżeńskiej kokieterji, interesowane umizgi, dąsy i polityczne odmowy do niczego nie prowadziły. P. Jan stał przy swoim, jak posąg wykuty z granitu, a uśmiechy i groźby, namowy i perswazje, dąsy i pieszczoty odbijały się od jego piersi i padały bez skutku przy jego kamiennych nogach. Dała więc za wygraną pani Janowa, zaczęła sobie stopniami perswadować, że wszystko musi zostać po dawnemu; że w domu tym dostatnim, obfitującym we wszystkie, istotne potrzeby, jakich stan zamożnego szlachcica wymagał, nie zmieni się nic na jotę ze staroświeckiego obyczaju; że nie ona tu panować i według swego widziami się, wszystko urządzać, ale w każdej rzeczy ulegać i gustom i nawyknieniom męża dogadzać będzie musiała. Raz przyszedłszy do tego przekonania, nawykła prędko do swjej podrzędnej roli, a w miarę uległości, znajdując w mężu coraz widoczniejsze objawy miłości małżeńskiej, troskliwości, dobroci i starania, aby wszystko miała, co według jego myśli dogodzić jej mogło, zaczęła sobie podobać w tym stanie zupełnie biernym, i święcie wykonywała obowiązki żony, a zwłaszcza matki, w czém już p. Jan tém więcej zostawiał jej woli, że Bóg dawał im tylko same córki.

Najstarsza Emilja miała usposobienie matki, jej miękką wolę, jej marzącą głowę, jej serce, któremu zachciewało się silniejszych wrażeń, gorącego uczucia i jakichś w życiu wypadków, wychodzących ze zwykłej kolei, i czarujących jej imaginacją czémścis nowém i niewyznaczaném. Różia, o sześć lat młodsza od siostry, miała wolę i energją ojca, widziała życie z prawdziwszjej jego strony, nigdy niezadumana, nigdy niewzdychająca do gwiazd i księżyca,

była wesoła, czynna, gospodarna i już w dwunastym roku życia wiedziała więcej niż matka i starsza siostra, co się działo w domu, pamiętała więcej niż one obie o wygodkach starego ojca, a nawet o potrzebach matki i Emilji, którą najczęściej zajmowało czytanie i marzenie o niebieskich migdałach.

Dwie dziewczyny, pośrednie pomiędzy Emilką i Rózią, pomarły, zostały więc tylko do ozdoby domu, dla pociechy rodziców i spełnienia wszelkich nadziei starego, — który chociaż żałował, że mu Bóg nie dał syna, nigdy jednak tego poznać nie dał, — obie te panienki, jedna faworytka matki, druga żrzenica w oku ojcowskiem. Jakkolwiek ta preferencja leżała na dnie serca i p. Jana i jego żony, oboje jednak pokrywali ją całą siłą miłości rodzicielskiej, i nigdy ani obcy, ani domowi, ani same panny nie postrzegły tego, że jedna więcej matce, druga więcej ojcu przypadła do serca. Śliczneż bo, miłe i dobre były obie, a pomimo różnicy wieku, ukształcenia, a szczególnie mimo wybitnej różnicy charakterów, kochały się serdecznie, i jedna za drugą w każdym zdarzeniu stawiała murem, i gotowa była nawet narazić się na gniew ojcowski, gdy było potrzeba, co nie-małego dowodziło poświęcenia.

Emilka była dość słusznego wzrostu, blondynka z niebieskimi oczami i niebieskiem wejrzeniem, biała i kształtna, powolna i często uśmiechnięta do tych marzeń zapewne, które się snuły po jej myśli. Najczęściej widzieć ją można była ze schyloną głową, gdy się znajdowała wśród ludzi, a z podniesioną wtedy, gdy wieczorem stała sama w oknie otwartém swego pokoju i patrzyła na niebo, lub słuchała szumu drzew, po których szeleścił wiatr ukraiński, przynosząc zdaleka odgłos dumki, którą chłopcy śpiewali na stepie, oblewającym w około wieś i ogród. Ojciec

często ją łajał za to romansowe usposobienie, i kiedy matka, pojmując je dobrze, nie śmiała bronić córki i miała tylko łzy w oczach, kiedy Emilka nie śmiejąc bronić się sama, całowała tylko jego rękę i obiecywała poprawę, wtedy jedna tylko Różia odważała się przemawiać za siostrą, karesując starego, który na nią patrzył z miłością i zwykle się dawał rozbierać.

— Czemu ty ojciec nie łajesz mnie — rzekła mu raz w podobnym zdarzeniu, — że się trzpioczę, że się śmieję, że śpię i szczebiotaniem mojem często ci przeszkadzam.

— Bo to nie złego i nie zagraża dalszemu twemu życiu — odpowiedział ojciec, głaszcząc rumianą twarzyczkę czternastoletniej dziewczynki — jak wyrośniesz, a przyjdą troski domowe i poważniejsze myśli obsiedą ci duszę, to przestaniesz trzpiotać się i szczebiotać nie będziesz, a wyjdiesz na kobietę, która w każdym razie da sobie radę.

— Otoż widzisz ojciec — mówiła wtedy Różia, klaszcząc w rączki — jak przyjdą dla Emilki troski domowe i poważniejsze myśli obsiedą jej duszę, to i ona przestanie patrzeć na gwiazdy i myśleć o niebieskich migdałach. A mnie się zdaje drogi ojezu! że równie jesteś niesprawiedliwym łajac ją za to, że ona gwiazdy rachuje, dla tego że ty tego nie lubisz, jakby niesprawiedliwą była mama, gdyby mnie łajała za to, że skaczę i świegoczę, jak wróbelek, dla tego, że ona tego nie lubi.

— Strasznieś coś mądra! rzekł stary, uśmiechając się pod wąsem i poglądając na żonę i starszą córkę, które ten rozum i ta śmiałość dziewczynki zastanawiały.

— Gdzie tam! gdzie tam mądra! odpowiedziała wówczas śmieliej jeszcze Różia — nie jestem ja mądrą. Mały paluszek Emilji mądrzejszy odemnie całej. Tylko jestem od niej odważniejsza, i wiem, że, jak ci powiem: drogi ojezu-

niu! nie gniewaj się na Emilię za to, że ona ma jasne włosy i nie łaj mnie za to, że moje ciemne, to pewnie mnie zrozumiesz i potem ją i mnie uściskasz i będzie zgoda. Nieprawdaż?

— Nieprawda, moje dziecko — mówił p. Jan, surowiej patrząc na zmieszaną dziewczynkę. — Bylbym niedorzecznym, gdybym się gniewał na nią za to, że blondynka, lub na ciebie, że nią nie jesteś. Nikt nie odpowiada za takie rzeczy, które od jego woli nie zależą. Ale kiedy kto może, a nie chce, kiedy poddaje się samoświadcząc złemu, które mu kiedyś wyjść może na szkodę, lub nawet być przyczyną zguby, to nie ma zatem niesprawiedliwości ze strony starszego, który widzi złe, i z prawa starszeństwa i miłości ostrzega, że tak niedobrze, że tak nie należy, nie rób tego, przezwyciężaj się, bo mnie zasmucasz.

Ten ton poważny, a szczególnie to zakończenie tak przeniknęło Rózię, że się rozplakała, upadła do nóg ojca i przepraszając go za swą śmiałość, przyrzekła, że sama czuwać będzie nad siostrą, że jej nieda zamysłać się i marzyć jeżeli to tak na prawdę nie tylko gniewa, ale nawet zasmuca ojca, którego radaby widzieć zawsze dobrym i wesołym. Scena ta skończyła się pokojem domowym, Emilka rzeczywiście przezwyciężała się jak mogła, matka przyglądała się pilniej dziewiętnastoletniej córce, czy nie ma jakiejś głębszej przyczyny tego jej rozmarzenia, a mała swoim rezonowaniem i sposobem, jakim rozbroiła gniew ojcowski, tym więcej jeszcze chwyciła go za serce, tak że często z boku poglądając na jej foremną główkę, na jej twarzyczkę pełną wyrazu i życia, na jej rozwijającą się postać, pełną wdzięku w każdym poruszeniu, odwracał się, aby ukryć wzruszenie i nie dać widać nad sobą góry słabości, którą dla niej poczuwał.

W rzeczy samej była przyczyna, pochylająca do ziem śliczną głowę Emilki, pełną od niejakiego czasu myśli, nierozproszonych już jak dawniej po gwiazdach nieba i obszarach ziemi, bez przedmiotu i formy, ale myśli skoncentrowanych, zebranych jakby w jeden snop promienny, który oświecał jedną tylko twarz młodzieńca, którego pochylała i pozwalał jej czytać w głębiach jego pocziwego i kochającego serca.

Młodzieńcem tym był niemający krewny samej pani Janowej, który we wsi, o parę mil stamtąd leżącej, miał kilkunastu poddanych, dworek staroświecki i dość ubogi, ogród i duży dziedziniec, opasany rowem. Tam mieszkała i gospodarowała, jak mogła, matka jego, kobieta nie zbyt czynna, nie zbyt porządna, ale kochająca tego syna jedynaka nad życie i odmawiająca sobie wszystkiego, byle tylko miał się z czego utrzymać, w uniwersytecie w Charkowie, jej Tytusek, w którego głowie i sercu wszystkie swe nadzieje złożyła. Jakoż Tytus nie zawiodł dobrej tej kobiety, i od 1831 r. pracując usilnie i żyjąc ubogo i po studencku ukończył wydział filozoficzny, i jako kandydat filozofji do roli powrócił. Trudno mu było bardzo z początku uregulować wszystko, co przez cztery lata zaniedbania i niedołężnego gospodarstwa kobiety dobrej, ale łatwowiernej i nieznającej się na wybiegach ekonoma, opuszczonem zostało. Wszakże młody człowiek przywykły do niedostatku, do ograniczania się *minimum* dochodu i wygod, odłożył na bok filozofją i książki, wziął się do roboty, i jakoś w przeciągu dwóch lat, przy sprzyjających okolicznościach urodzaju, polatał dziury, jakie zastał, i zdołał lepszym opatrzeniem potrzeb matki, oporządzeniem domku, jakiego takiego ekwipażu i t. d. postawić się na takiej stopie, że już bez wstydu mógł

się wychylić w sąsiedztwo, odwiedzić z matką krewnych, i czasem bliższego gościa w domku swoim przyjąć.

Samo przez się rozumie się, że celem takich odwiedzin był przed innymi dom p. Jana Rolickiego, którego żona nie opuszczała nigdy krewniej swej, matki Tytusa, i w gwałtownych razach, w których biedna kobieta zmuszona była odezwać się do jej serca i zamożności, przychodziła jej zawsze z pomocą i pocieszała przychylnem współczuciem. Odwiedziny te stawały się coraz częstsze, gdy p. Tytus poznał, zrozumiał i pokochał Emilję, która ze swojej strony oceniając jego przymioty, polubiwszy oboje skromnego młodzieńca i rozmowę ukształconego człowieka, zaczęła go odróżniać od innej, junackiej, gardlującej i jarmarkowej młodzieży, jaką ówczesne okoliczności wychowały i narzeczcie całą duszą do niego przyłgnęła.

Matka, przypatrując się usposobieniu córki swej, i dochodząc przyczyn wzrastającego coraz jej smutku i rozmarzenia, postrzegła prędko skłonność dwójga młodych ludzi, a znając dobrze męża swego, zasmuciła się sama i także głęboko zamyślać się zaczęła. P. Jan, jak to wyżej powiedziałem, przy wielu przymiotach, które mu powszechny szacunek jednały, miał trochę za wielkie przywiązanie do grosza, i może mimo wiedzy i woli cenił także ludzi według stopnia ich fortuny i tej niezależności, jaką ona każdemu daje. Z biedniejszymi od siebie obchodził się on po ludzku i grzecznie, ale nie mógł się odpędzić od tego podejrzenia, że zasadą zbliżania się, nadskakiwania i wszelkich oznak przyjaźni i życzliwości, jakie biedny bogatemu okazuje, jest zawsze interes. Stąd ostrożny i trzymający się zawsze obronnie względem tych wszystkich, którzy się do niego garnęli, mianowicie z krewnych żoninych, którzy byli prawie ubodzy, poufale i śmieliej obchodził się

jawniej i otwarciiej sprzyjał tylko takim, o których był pewny, że w żadnym razie nie zakończą do jego szkatułki i w niczem pomocy jego potrzebować nie będą. Na takiej samej zasadzie oparte były wszystkie jego widoki względem przyszłych zięciów, których zjawienia się co moment się spodziewał, patrząc na dorosłą już i piękną Emilkę, lubując się wzrostem i dojrzewaniem, piękniejszej jeszcze i powabniejszej od siostry, Rózi. Często więc o tym ważnym przedmiocie rozmawiał z żoną, i z tych rozmów biedna ta matka nabrała tego przekonania, że skłonność córki jej jest daremną, że p. Jan mocno w głębi serca swego postanowił, nie oddać jej tylko takiemu, któryby się bez jej posagu mógł obejść, że zatem dotrzyma tego, co postanowił, i że woli jego ani prośby żony, ani lzy córki nie złamiał i nie ugnął. W takim stanie były rzeczy, takie myśli trapiły matkę, takie trwogi gnębiły serce Emilki, gdy się zjawił konkurent, który życzeniom i widokom ojca odpowiadał. Był to obywatel około lat czterdziestu mający, nie zbyt wysokiego ukształcenia i niebardzo delikatnych uczuć, ale zamożny, na pozór nieinteresowany, mający, jak mówił, aż nadto dla siebie i żony i nie czyniący żadnej wzmianki o posagu. Po kilkubastu tygodniach bywania w domu, nie zapytawszy się wcale panny, czy jest jej życzeniem podzielić się z nim całym życiem, oświadczył intencje swe ojcu, który je przyjął. Matka naturalnie przeraziła się tą zakomunikowaną sobie wiadomością, ale, nie śmiejąc wyjawić prawdy mężowi, pokryła milczeniem wiadomą sobie skłonność córki, prosząc go tylko, aby jej sam wolę swą oznajmił. Emilka przestraszona upadła do nóg ojcu, błagając go, aby nie zadawał gwałtu jej sercu, że ona p. Zenona zaledwie zna, że nigdy nie pomyślała nawet o tém, że on pragnie jej przywiązania, że miała go po prostu za zwyczajną tylko znajomość, ale

jej nawet do głowy nie przychodziło, aby była żoną człowieka, do którego najmniejszej nie czuje skłonności.

— Namyślisz się — odpowiedział jej ojciec poważnie i surowo, dodawszy, że to jest postanowienie, od którego nie odstąpi.

Na tém tymczasowie stało, ojciec nie ponawiał propozycji, p. Zenon bywał w domu, chociaż rzadziej, a miłość Emilki dla Tytusa, tą przeszkodą, przewidzianą wprowadzie, ale w pierwszych złotych chwilach rozmarzenia niezjadającą się tak trudną do pokonania, podniesiona i rozżarzona, owładnęła całą jej duszą i podszeptywała myśl zuchwałą i zgubną, która kochającej się parze wydała się jedyną deską zbawienia.

— Ojciec nie odstąpi za nic od swego postanowienia, — mówiła raz Emilka Tytusowi w jednej z chwil rzadkich, w których serca ich mogły się sobie wynurzyć — próżnobym mu wyznała moją miłość dla ciebie, próżnobys go błagał i zaklinał się, że mi dasz szczęście i opiekę na całe życie. Jego wola silniejsza niż nasze lzy i prośby, ojciec cię szanuje, zna twoje usposobienie i serce, ale jego wyobrażenia inne. On nie uwierzy nigdy, abys mógł mię kochać bez interesu, abys się nieoglądał na mój posag i tę pomoc, jaką bym miała z domu.

— Wątpisz że — odpowiedział p. Tytus, tracąc ze złością prawie szerokie swe czoło — że pogardzam niepotrzebnym dostatkiem, że umiem żyć suchym chlebem i szklanką mleka, że nie potrzebuję, ja, dla siebie tych wszystkich wygod i błyskotek, w których ludzie bez głowy i serca zatapiają dusze. Ja dla siebie nie pragnę więcej jak mam; ale ty, jakżebyś przyzwyczaiła się do blaszanej łyżki, do wyszczerbionego talerza, do płócienkowej sofki, do bryczki bez resorów i materaca. Jeżelibym chciał mieć, to dla ciebie,

moja najdroższa Emiljo! to dla otoczenia cię tą wygodą, w jakiej wyrosłaś, i której ci miłość moja nie zastąpi.

— Nie zastąpi? — rzekła ze łzą w oku rozmarzona Emilja — jeżeli tak myślisz, to idź i zostaw mię memu losowi.

— Więc zastąpi! — zawołał w uniesieniu młody człowiek, tuląc do ust rękę kochanki — więc podzielisz się mojem ubóstwem, wyrzeczysz się dla mnie tego wszystkiego, co cię otacza? — O jeżeli tak, to chodźmyż do matki, upadnijmy jęj do nóg, i prośmy, niech zaniesie nasze życzenia, nasze serca, nasz los i życie całe przed trybunał ojca. Jeżeli ci pozwoli wyjść z domu, jak stoisz, w tój jednej sukience, którą schowam jak relikwje, aby mi przypominała tę drogą chwilę, to wezmę cię Emiljo, natęzę siły, abyś miała wszystko co ci potrzebne, abym przekonał ojca twego, że ludzi biedniejszych od siebie sądzi fałszywie, że egoizm jest przedź wadą bogatych niż biednych, że mi idzie tylko o ciebie, o twą miłość, a nie o ten worek, na którym cię ojciec chce postawić, i który cię w oczach moich nie podniesie.

Jak powiedzieli tak i zrobili. Przy pierwszej zrzeczności, gdy mogli rozmówić się z matką sam na sam, upadli jęj do nóg oboje i wyznali swoje wzajemne uczucia i udali się pod jęj opiekę i protekcję. P. Janowa niezadziwiła się wcale tępym wyznaniem, ale rozplakała się i załamała ręce, czując swą niedołężność i wiedząc dobrze, że ani jęj prośby, ani perswazje na nie się nie zdadzą. Wszakże, widząc stan oplakany i córki, którą kochała niezmiernie, i młodego człowieka, dla którego miała szczéry szacunek i serdeczną życzliwość, przyrzekła spróbować i odważyła się narazić nawet na gniew męża, który sobie tylko samemu przyznał wszystkie prawa rozrządzania losem córki, nie dopuszczając współudziału matki, której może więcej, niż jemu, praw-

dziwe szczęście jęj leżało na sercu. Była to wielka pomyłka za którą go Pan Bóg surowo ukarał.

Pan Jan odpowiedział żonie, jak przewidywała. Nie rozgniewał się wprawdzie, ale tym tonem zimnym i stanowczym, który silniej niż gniew wyrażał moc i postanowienie jego woli, rzekł:

— Moja kochana! nie kłopotuj sobie głowy losem moich dzieci; to moja rzecz nie twoja, obmyśl ich przyszłość i postanów tak, aby im było dobrze na ziemi. Romanse tu nie nie pomogą i z mojego przekonania nie mnie nie wybije. Pan Tytus jest porządny chłopak, ale nie mąż dla Emilki. Jej mężem będzie P. Zenon — i basta.

— Ależ mój drogi Janie! — mówiła płacząc żona — czyż ja nie jestem matką, czy nie mam moich praw w stanowieniu o przyszłym szczęściu moich dzieci. Nie obrażaj Pana Boga uporem, bo ja ci powiadam, że postanowienie twoje grzeszne, że dziecko swoje skaziesz na łzy i tęsknotę całego życia.

— Wiem o tęp — odpowiedział chmurząc się p. Jan — żeś matka, żeś mi te dzieci urodziła i że je kochasz według swego romansowego kodeksu. Ale wiem też i to, że jako dobra matka, powinnaś je była wychować tak, aby umiały szanować wolę ojcowską i aby święcie wierzyły, że nie to ich szczęście, co im się uroi, ale to, co ojciec względem ich losu postanowi. Na tęp więc niech będzie koniec. Proszę cię tylko, powiedz p. Tytusowi, żebymgot tu więcej niewiedział, a Emilkę uprzedź, aby p. Zenona, który tu za parę dni przyjedzie, bez żadnych grymasów, jako narzeczonego przyjął. —

Uczuła to obrażona i rozżalona matka, że to był wyrok, od którego już żadna nie pozostawała nadzieja. Uwiadomiła więc dzieci o skutku swego poselstwa, a nie dając im żadnej rady, żadnej pociechy, położyła tylko ręce ma-

cierzyńskie na ich głowach, przycisnęła oboje do piersi, i zanosząc się od płaczu, zamknęła się w swoim pokoju.

Zostawieni tak sobie samym, bez żadnej nadziei, bez żadnego ratunku, zagrożeni utratą tego wszystkiego, co sobie wyobrażali dobrem, szczęściem, rajem na ziemi, mimo wiedzy i woli, przyszli do ostateczności. Tytus pierwszy wymówił stanowcze słowo, a Emilka, wiedząc że los jej już niczem zmienić się nie da, że nie dziś to jutro będzie musiała zostać żoną człowieka, którego nie kocha, który nie ma tyle delikatności w sercu, aby się nie narzucać kobiecie, która go nie chce, zrozumiała to słowo od razu: zdawało się jej, że matka milczeniem swém i położeniem rąk na ich głowach, upoważniła ją do jego zrozumienia, że zezwoliła na krok niebezpieczny, straszny dla każdej dziewczyny, i za który równie ona, jak i ci, co ją do niego zmuszają, odpowiadają przed Bogiem.

Na drugi dzień rano już Emilki nie było w domu rodzicielskim. O godzinie drugiej w nocy wyszła do ogrodu; czekał na nią powozik kochanka, a w nim jego matka. Tam drżąc od strachu panienka rzuciła się w objęcia jedynej teraz swjej opiekunki, i w kilka dni potem była już żoną p. Tytusa. —

Pan Jan, dowiedziawszy się o ucieczce Emilki, nie zdziwił się prawie, nie rozgniewał się, nie przedsięwziął żadnego kroku, aby zapobiedz złemu lub odzyskać dziecko, które zmusił do nieposłuszeństwa. Wymówek żony słuchał milcząc, na lzy jej patrzył niby obojętnie, chociaż w duszy bolał nad tym wypadkiem, który przypisywał tej, co dziecko jego wychowała nie według surowych dawniejszych zasad, ale pozwalała głowie i sercu Emilki błąkać się po jakimśś świecie, którego nie pojmował. Tyle tylko powiedział.

— Miałem dwie córki, teraz mam tylko jedną. Proszę

bardzo, żebym więcej o niej nie słyszał. Złeś ją wychowała, teraz masz skutki. Jeżeli jej tak dobrze bez mojego mienia i bez mojego błogosławieństwa, niech używa losu jaki sobie własnym rozumem wybrała. Jeżeli żyć będę, postaram się ochronić od podobnych romansów tę co mi pozostała.

I odtąd w domu p. Jana żadnej o Emilce nie było wzmianki, cichaczem tylko matka z Rózią o niej rozmawiały, sekretnie dowiadywały się o jej zdrowiu i powodzeniu, a choć to było tak blisko, choć serce ciągnęło, nie śmiała biedna kobieta przesłać dziecku ulubionemu słów pociechy i przebaczenia, nie śmiała nigdzie z nią zjechać się, ani w kościele, ani w żadnym sąsiednim domu. Często jednak czém mogła pomagała jej w sekrecie, odesłała jej całą garderobę z tym zapasem w płótnach i materjach, które na jej wyprawę przygotowywała, obdarzała bez wiedzy męża różnemi specjalami ze swjej bogatej spiżarni, wyprawiała furami drób i inne zapasy, której się z najdawały w jej dyspozycji, ale nigdy żadnem słówkiem, żadnym liścikiem, który dla niej byłby daleko droższym, nie pocieszyła i nie uspokoiła jej serca.

Pan Jan wiedział bardzo dobrze o tych wszystkich przesyłkach, które szły co miesiąc prawie do ubogiego folwarczku p. Tytusa; żadnem jednak słowem nie dawał poznać, że postrzega to wykroczenie przeciw jego zakazowi. A gdy ludzie donosili pani, że pan widział podwodę, pytał się dokąd przeznaczona i nie mówił, gdy p. Janowa, spodziewając się jego zmarszczenia się lub wymówek, żadnych nie odbierała i przekonała się, że mąż na te jej postęпки patrzy przez szpary i udaje, że o niczem niewie, nie tylko że częściej i obficiej zasilala córkę, ale w sercu jej wzrosła nadzieja, że mąż da się z czasem przebłagać

i ugiąć, że przyjdzie wreszcie ta rokoszna chwila, w której ulubione dziecię swe i zięcia, który je otaczał niewypowiedzianą miłością i staraniami, pod dachem swym utuli i do serca swego przycisnie.

Tak przeszedł rok cały, a nie się nie zmieniło w położeniu Emilki i w trybie domu p. Jana. Różia rosła, stawała się coraz piękniejszą, coraz rozsądniejszą, ale straciła tę żywość szczęśliwego dziecka, któremu się wszystko uśmiecha, przez którego głowę nie przeszła jeszcze żadna poważniejsza myśl życia, którego serca nie dotknęła żadna z tych trosk i prób ciężkich, jakie często dość wcześnie otwierają oczy, każą się zastanawiać i nad dalszą koleją zadumać. Postępek Emilki, jej osierocenie, jej gorąca chęć obaczenia się znowu pod dachem rodzicielskim, mimo miłości męża i szczęścia jakiego używała, zmieniły zupełnie usposobienie tego miłego dziecka, i czoło jego częstém zachodziło zamyśleniem, a przedwczesna dójrzałość spędziła śmiech z jej ustek, wygnała śpiewkę z jej serca i wszelką swawolę i psoty z jej głowy. Widział to p. Jan, domyślał się powodów, ale żadnego nigdy nie czynił Rózi zapytania, bojąc się, aby mu nie powiedziała: „Sameś temu winien ojeze! przywołaj Emilkę, pobłogosław jej, a będę znowu wesół i szczęśliwa“!

Wtedy Emilka napisała list do matki, który malował stan jej serca, który kreslił jej boleść, że nie ma błogosławieństwa rodziców, a zatem tego, co dopełnia szczęście każdej młodej kobiety, co jej daje rękojmię, że w pokoju doczeka wzrostu swych dzieci i od nich nawzajem miłości i wdzięczności doświadczy. Obawiając się, że matka nie ośmieli się pokazać tego listu ojeu, a pragnąc z duszy aby on go czytał, posłała go pod ojcowskim adresem. Pan Jan rozpieczętował, a poznawszy rękę córki, i widząc na

początku te słowa: Najdroższa mamó! — chciał go odesłać żonie nie czytając. Ale po pewnym wahaniu się, czy ciekawością zdięty, o co prosi, czy może wzruszony cokolwiek widokiem tych liter, które mu przypominały, jak starannie niegdys Emilka formowała swą rękę dla przypodobania się ojcu, który ładne i czytelne pismo lubił, rzucił okiem na jej list raz, potem drugi raz, ścisnął mocno powieki, jakby chciał cofnąć nazad łzę, co się może dobywała i wreszcie cały przeczytał. Biedna kobieta nie wiedziała, że tym wybiegiem, którego użyła, aby serdeczna jej prośba do rąk się ojca dostała, pogorszy swój stan i matce wielką przyniesie boleść. Opisawszy bowiem, że została matką, że mąż ją kocha nad wszystko w świecie, że matka jego ma dla niej anielską dobroć, że chociaż miernie się utrzymuje, ale ma wszystko, co do wygody, a nawet do nie zbyt wyszukanej ozdoby życia potrzeba, dodała: „A jednak najdroższa matko! „wszystko to szczęście memu nie wystarcza. Nie dostaje mi „najśłodziej pociechy życia, to jest tej myśli, że wy radujecie się mojem szczęściem, nie dostaje mi tego przekonania, że idę drogą, którą wasza ręka przeżegnała, nie dostaje mi tej rokoszy, żebym widziała w oczach waszych „miłość dla tej malłej i niewinnej istoty, której dałam życia, której płacz rozdziera mi duszę, bo wiele razy go „słyszę, zdaje mi się, że ona skarży się i wyrzeka, że przysłała na świat bez waszej woli i waszego błogosławieństwa. Zlituj się mamó najmilsza, wstaw się za mną do „ojca, niech mi tę okropną myśl odbierze. Jeżeli nie chce „pozwolić, abym upadła do nóg jego, abym leżała przed nim „w prochu póty, póki by mię nie podniósł i nie przebaczył, „to błagam go i zaklinam, niech choć zdaleka dziecko moje pobłogosławi, abym nie drżała o nie co chwila, i w każdym jego jęku nie słyszała tej straszliwej groźby, że ży-

„cie jego będzie krótkie, żem nie zasłużyła być matką, kiedyś córką być nie umiała. O! stan mój okropny. Gdyby nie to przypomnienie, żeś ty, najdroższa mamó, wówczas, gdyś na próżno prośby nasze do ojca zanosila, podzielała naszą boleść, że związek ten serc naszych nie był przeciwny twój woli, żeś go zatwierdziła, kładąc ręce twe kochające na naszych głowach, i przyciskając mnie i jego do swój piersi; gdybym nie była pewna, żeś nam błogosławiła w duszy, i związała nas w swém sercu, choć usta twe milezały, możebym już do téj pory umarła z bólu i zmartwienia, mimo to, że kocham Tytusa nad życie, że pragnęłabym żyć dla niego i dla tego dziecka, którebym rada wychować tak, aby wam dało zapomnieć tę boleść, którą ja, nieszczęśliwa, serca wasze zalałam!”

Pan Jan wszedł do pokoju żony i oddał jej list córki. Pani Janowa patrząc na twarz męża przejęła się i drżącą ręką brała pismo, które jej podawał. Był bowiem bledszy niż zwykle, muskuły kościstego i surowego lica drżały, brwi nasunięte na oczy pokrywały ich gniewne wejście, czoło było zmarszczone, a cała jego postać zdawała się jakąś wyższą, chudsza i tak wyprężoną, jakby wkrótce strętwieć miała.

— Jezus Marja! co ci jest Janie! — rzekła kobieta, wyciągając rękę po list, który drgał w twardych palcach męża.

— Przeczytaj to — odpowiedział p. Jan — a dowiesz się, co mi jest, i kto jest przyczyną tego stanu, w jakim mnie widzisz. Nie dotrzymałaś mi przysięgi, jakąś mi uczyniła przed Bogiem. Oddzieliłaś myśl swą od mojej myśli, chęć swą od mojej chęci; błogosławiłaś to, com ja potępiał, widziałas szczęście swego dziecka tam, gdzie ja widziałem jego zgubę. Teraz masz owoce téj siejby, jakąś bez mojej wiedzy i przeciwko méj woli zrobiła. Nie przyjmuję udziału

tu w téj odpowiedzialności, jaka spada całkiem na ciebie, za łyzy i stan okropny téj nieszczęśliwej, co była kiedyś moją córką. Świadcę się Bogiem i sumieniem, że mam temu niewinien, i zmienić tego stanu nie mogę i nie powinienem. Choć mnie łyzy jej bolą, nie odwołam słowa, jakie dałem. Mam drugą córkę, którą ochronić powinienem przykładem surowości, abyś ją także nie postawiła na takiej drodze, jaką poszła tamta. Proś-że teraz Boga, aby ci zapomnieli, żeś była niebaczna matką i złą żoną, bo ja ci tego nigdy nie zapomnę.

To powiedziawszy pan Jan wyszedł, wsiadł na przygotowaną bryczkę i na parę dni wyjechał do Skwiry, gdzie go powoływały interesa. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie została żona, dotknięta tak boleśnie i tak niesprawiedliwie, znękana i rozbolała czytaniem listu córki, którego słowa łzami gorzkiemi pisane utkwily, jak owe miecze w jej macierzyńskim sercu.

Gdy pan Jan wrócił, zastał żonę w łóżku, a przy niej Różę rozplakaną i lekarza, który siedział zamyślony, męczył bakenbardy, jakby chciał z nich wycisnąć jakiś środek, któryby mógł odwrócić nieszczęście, jakie przewidywał.

Był to młody człowiek, przystojny, światły i pełen tych zalet bezinteresowności i gorliwości, jaką się odznaczała w owym czasie młoda warstwa lekarzy, wykształconych w akademii medycznej wileńskiej i w innych krajowych uniwersytetach, a która zastąpiła wówczas i coraz szerzej rugowała owe stare pokolenie doktorów, po większej części Niemców i Żydów, którzy napływali do nas niegdyś z zagranicy, eksploatując chorą szlachtę w tych samych celach, w jakich inni spekulanci, także Niemcy i Żydzi, eksploatowali zdrową. P. Karol Rogiński był tamtejszy, ojciec jego był niegdyś rządcą w Humanie; po żonie

dostał kapitałik, za który wziął z początku małą dzierżawę, a zarobiwszy na niej przy sprzyjających okolicznościach, przy pracy i oszczędności, poszedł na większą, niezmieniając trybu życia, nie powiększając budżetu swego żadną niepotrzebną expensą i garnąc troskliwie grosz do grosza, aby się utrzymać w tym stanie niezależności, który ukochał nad wszelką próżność i wygodę i aby mu wystarczyło na pokierowanie syna, który był jedyną jego dumą, i największą pociechą. P. Karol nie zawiodł jego oczekiwania. Chlubnie ukończył akademję i ze stopniem medycznym wrócił do rodziców i osiadł przy nich w tej samej wsi, gdzie mieszkał Tytus, a której najznacniejszą część, ośmdziesiąt przeszło dusz leżącą, ojciec jego dzierżawił. Tam prędko zaprzyjaźnił się z sąsiadem równie jak on młodym i oświeconym, równie jak on mającym postanowienie użycia do zacnych i szlachetnych celów tej nauki, jakiej oba długą pracą i przejściem przez poświęcającą biedę studencką nabyli. Reputacja jego wzrosła prędko, przez samą oryginalność położenia. Nie był to ani wychrzt, ani niemiec, ale szlachetny; nie osiadł w mieście powiatowem, ale na wsi; nie targował się przy wezwaniu do chorego, nie wymagał kocza i resorów, ale nie namysławiając się wcale, własne koniki do własnej bryczki zaprzągłszy, śpieszył wszędzie, gdzie go powołano, i widać Bóg tak chciał, że zanosił wszędzie zdrowie, gdzie przybył. I nie upłynęły dwa lata, a już p. Karol uznany był za najpierwszego w okolicy lekarza, już go o kilka i kilkanaście mil wzywano, już po niego koczły a czasem i karęty zajeżdżały. Wiele razy w domu p. Jana, z okazji szczęśliwych kuracji jakie się młodemu lekarzowi udawały, mówiono, Różia a dziwną słuchała uwagę, powiększoną przez to, że mieszkał właśnie tam, gdzie Emilka, że musiał pew-

nie z niemi znać się, być ich przyjacielem, i w każdym razie pośpieszyłby im z pomocą i radą. Te pochwały, jakie p. Karol odbierał i ten zbieg okoliczności utkwily go w jej głowie i urobiły tam postać interesującą, rozumną i pełną szlachetności, która ją niezmiernie zaciekała i zajęła.

Gdy po wyjeździe ojca, matka zaczęła mdleć, tak że przestraszona dziewczyna docucić się jej nie mogła, gdy potem nastąpiła gorączka i stan taki, który pod wieczór coraz pogorszając się, zatrzymał nawet starszych i doświadczeńszych domowników, Różia, wyrzucając w duszy ojcu jego surowość i niesprawiedliwość, przywiedziona do trwogi i bólesci, którą opisać trudno, nie pytając się nikogo, kazała zaprządz do powozu i lecieć co tchu po młodego lekarza, w którego umiejętności i sztuce całą swą nadzieję złożyła. W bileciku, którym zaklinała go na wszystko, aby nie żałował koni i natychmiast przyjeżdżał, dodała jeszcze te słowa: „proszę pana także i zaklinam, abys tak zarządził u siebie w domu, żeby biedna Emilecia przez „nikogo nie dowiedziała się, że mama chora.“

Bilecik ten zastał szczęściem p. Karola w domu. Wydał więc co prędzej dyspozycję, stosowną do roztropnego życzenia Rózi, konie p. Jana kazał popaść i potem zwolna jechać, a sam ledziutką swoją bryczką w przeciagu pięciu kwadransów dwie te ogromne mile przeleciał. Stan chorój był gwałtowny, ale że pomoc przyszła nie za późno, że środki niektóre, jak pijawki i t. p. były w domu, a inne p. Karol na wszelki przypadek miał w swojej podróżnej szkatuleczce, ratunek więc natychmiastowy mógł być dany, i nim lekarstwo przywieziono ze Skwiry i nim p. Jan wrócił, już pierwsze niebezpieczeństwo zdało się być odwróconem. Wszakże lekarz nie ręczył jeszcze za życie kobiety, na której twarz blada i nieruchoma, przez ciągłą sen-

ność, w jaką ją wprawiało zapalenie, poglądał co chwila mąż z wyrazem tajonej twogi, z wybijającym się na lice jego bolem, z pewnym wyrzutem srogości, który go tajemnie trawił i do stanu ponurego milczenia przywodził. Różia na krok nie odstępowała matki, nie tuliła się do ojca i nie szukała w jego karesach pociechy i ulgi, ale wiele razy postrzegła wchodzącego lekarza, twarz jej okrywała się rumieńcem, a w serce jej wstępowała nadzieja i pewność, że nie utraci matki, opiekunki kochającej i dobrej, i nie zostanie sama z ojcem, którego surowość straszyć ją zaczynała. Siódmego dnia p. Janowa otwarła oczy, poznała Różię, zaczęła płakać, postrzegłszy męża, który natychmiast wyszedł, zamknął się u siebie i sam płakał, a gdy wkrótce potem p. Karol nadjechał, i przypatrzył się stanowi chorąg, podał rękę panience, patrząc mu z trwogą w oczy, i rzekł z uśmiechem:

— Teraz możemy sobie powinszować; niebezpieczeństwo minęło.

Różia uradowana chciała przycisnąć do ust rękę młodego lekarza, który naturalnie na to nie pozwolił, a potem odstąpiwszy parę kroków i patrząc na niego z wdzięcznością i przywiązaniem, zawołała.

— O Boże mój! Boże! czém ja panu zapłacę za to dobrodziejstwo, jakieś mi pan wyświadczył.

— Podziękuj pani Bogu i idź pociesz ojca — odpowiedział p. Karol, patrząc z zajęciem i wzruszeniem na tę śliczną dziewczkę, na której twarzy malowały się wszystkie uczucia, jakich w tej stanowej chwili doświadczała.

Pani Janowa miała się coraz lepiej; p. Karol ze dwa tygodnie jeszcze jeździł codziennie, a gdy po godzinach całych siedzieli we dwoje z Różią przy chorąg, której sen był coraz zdrowszym, bardziej umacniającym, rozmawiali z sobą

o Emilji, o jej smutném położeniu, które ją odcina od kółka rodzinnego, o wielkiej dla niej miłości Tytusa, o śliczném jej dzieciątku, którego sam widok uzdrowiłby babunię i o innych tym podobnych rzeczach. Czasem Różia zapytywała go o jego rodzinę, i wtedy p. Karol mówił jej z uszanowaniem o ojcu swym, z miłością o matce i siostrze, wspominał także o sobie, o swoim zawodzie, o kolejach jakie przebył w akademji, o tej radości jakiej doznaje, że ma tak blisko przyjaciela, który równie pracował jak on, w podobnym jak on niedostatku i niewygodzie dobijał się nauki, wspinał się na ten szczebel, z którego mógłby szerzej spojrzeć na świat i bardziej kochającém okiem ogarnąć ten widnokrąg, jaki się przed nimi odkrywa. Różia słuchała go z dziwném zajęciem, twarz jej rozumniała pod słowami wymownego młodzieńca, który czuł się podnieconym widokiem takiej sympatji, takiej wdzięczności, jaką w ślicznej tej, piętnastoletniej, a nad wiek rozwiniętej panience postrzegał. Tym to sposobem i dla niego te chwile stały się niezapomniane, a wdzięczność i ta dobroć p. Karola, że jej nie uważał za dziecko, że mówił z nią tak jak z osobą dorosłą, że uczył ją tém przypuszczeniem, że ona go pojmie i zrozumie, wyrły w sercu panienki twarz zacnego młodzieńca, i stały się podstawą tego serdecznego przywiązania, jakie dla niego powzięła, które później karmiła w sobie dojrzewając, a które z czasem wyrodziło się na miłość, co niebawem całą jej duszę ogarnęła.

Szczęście, jakiego doznawała Różia, że matka przyszła do siebie i że wyzdrowienie jej mogła przypisać temu, którego już może kochała, nie wiedząc jeszcze, jakie to jest uczucie, co ją do niego pociągało, było tak wielkie, że zapomniała ojcu, że on był przyczyną tego bólu, jakiego doświadczyła. Przyszła więc do dawnego humoru, dawniejszej

wesołości, do dawniejszego nadskakiwania staremu, który ze swój strony rad był w żonie i córce zatrzeć pamięć tych chwil ciężkich, jakie przeżyły. Ale p. Janowa nie przebaczyła mężowi tej rany, jaką sercu jej zadał. Słowa te okrutne i niesprawiedliwe: „żeś złamała przysięgę daną mi przed Bogiem, żeś była złą żoną“ brzmiały ciągle w jej uszach, powtarzały się przy każdej okoliczności, gdy na twarz jego surową spójrzała, i odwróciły jej miłość od tego, z którym dwadzieścia przeszło lat przeżyła, a o którym dziś nie mogła inaczej pomyśleć, jak o człowieku twardym, nieludzkim, który swojemu uporowi i zaciętości poświęca jej pokój i szczęście dziecka, które coraz mocniejszą ogarniała miłością. Stan ten moralny, przytém trwanie p. Jana przy swoim, — wszystkie bowiem wstawiania się za Emilką przyjaciół i krewnych nie nie pomogły, — podkopał zupełnie jej zdrowie. Chociaż najtroskliwszymi otoczona staraniami męża, córki i młodego lekarza, który często ją odwiedzał, rad swych udzielał i wiadomościami o Emilce i jej dziecku pocieszał, wiedła ona coraz widoczniej, gasła z dniem każdym i nareszcie jednego rana, z wielkiem przerażeniem męża i Rózi, znaleziono ją w łóżku martwą i zastygłą.

Smutny ten wypadek nie zmienił bynajmniej położenia starszej córki p. Jana. W ludziach despotycznych nieposłuszeństwo niespodziewane ze strony tych, do których ślepej uległości nawykli, rodzi zwykle zawziętość przewyższającą wszystkie względy ludzkości, pokrewieństwa i przywiązania. Trętwieje ich dusza w uporze i postanowieniu; ani prośba, ani żal nieposłusznego nie może wywołać przebaczenia, a choć czasem w sercu ich stacza się walka między uporem i litością, na widok skutków, które stają się dziełem nieubłaganego stania przy swoim, nigdy prawie litość nie zwycięża, bo taki człowiek skutki te nie swemu

uporowi, ale nieposłuszeństwu swój ofiary przypisuje. Tym sposobem usprawiedliwia się przed Bogiem i sumieniem, że nie on winien niedoli, do jakiej doszło, ale ten, kto ją na siebie samowolnością swą ściągnął. Tak usprawiedliwiał się i pan Jan przed sobą samym i trwał w nieubłaganej zaciętości, którą wszyscy potępiali. Powiększyła się ona nawet od śmierci żony, która go wielkim napełniła bolem i zrobiła jeszcze bardziej ponurym i w sobie zamkniętym. Jak bowiem wówczas, gdy czytając list córki przeniknął się do żywego jej boleścią i stan jej oplakany przypisał nie sobie, ale pobłażliwości i nieposłuszeństwu żony, tak teraz znowu śmierć żony i to sieroctwo domu, które uczuł głębiej, niżby sądzić można, nie przyznał sobie i niesprawiedliwym wyrzutom, któremi ją śmiertelnie zranił, ale nieposłuszeństwu tejże córki, która, jak mówił, jemu zatruliła życie i matkę w grób wpędziła. Próżne więc były wszelkie wstawienia się prośby i perswazje. Emilka żyła, jak dawniej o dwie mile od rodzicielskiego domu, tak mu jednak obca, jakby ją od niego morza i lądy oddzielały, a Rózia wyrosła i dojrzała sama jedna, waleząc z tą cześcią i miłością, jaką miała dla ojca, który pod każdym innym względem na miłość i na cześć zasługiwał, a tém mimowolnym oburzeniem, jakie w niej zawziętość jego względem siostry obudzała. Rozwijająca się w niej także coraz szerzej i głębiej ogarniająca jej duszę miłość dla p. Karola, o którego wzajemnym, trwożliwym, ale głębokim przywiązaniu przekonała się, przyczyniła się jeszcze do tego, że owa swawolna, wesoła, trzpiotowata dziewczynka, gdy miała lat siedmnaście, zrobiła się kobietą zupełnie dojrzałą, patrzącą serjo na życie, przyjmującą jego próby z energją i mocą, ale zdolną do postanowienia wcale innego, niż to, do jakiego uniosła się miękka i marząca dusza jej siostry.

W takim położeniu znajdowały się osoby, o których mówię, gdy przypadek zrzucił, że ja bliżej poznał i o tym ich wzajemnym stosunku szczegółową powziął wiadomość. Mieszkalem wówczas w Kijowie, i wakacje przepędzałem w domu przyjacielskim i gościnnym marszałka W. niegdyś mojego Krzemienieckiego kolegi, w którego sercu pamięć szkolnego życia i chwil młodości razem spędzonych została żywą i niezatartą. Marszałek mieszkał o półtorej mili od p. Jana, a o milę od tej wsi, gdzie mieszkała Emilka i gdzie rodzice p. Karola znaczną część dzierżawili. Ponieważ marszałek cenił wysoce obydwóch młodych ludzi, Tytusa i Karola, prędko mnie z nimi zapoznał i zaraz uwiadomił o niemiłym położeniu, w jakim się oba znajdowali. Gdym się im bliżej przypatrzył, postrzegłem, że mąż Emilki z większą rezygnacją znosił swój los. Bolał on nad cierpieniem żony, ale nie wyrzucał sobie swego postępuku, w tém przekonaniu, że powinnością jego było uchronić kobietę, którą kochał, od nieomyślniej zguby, jaka ją w związku z człowiekiem, co się jej narzucał, czekała. Niepokój zanego lekarza był daleko gorszy. Kochał on niezmiennie Rózię, wiedział, że jest od niej kochanym, przewidywał jakim byłoby jego życie z kobietą z takim sercem, z taką głową, z charakterem tak otwartym, tak pełnym mocy i energii; a jednak pewnym był, że kwiat ten uczuć marnie zwiędnie, że ojciec, który już domyślał się ich wzajemnej skłonności, na związek ich nigdy nie pozwoli, a oni oboje nie odważą się za niego na taką ostateczność, jakiej się dopuściła Emilka, raz, że się to sprzeciwiało ich przekonaniu, a powtóre, że los siostry mówił im i ostrzegał, że takie wyłamianie się z pod praw dzieciennego posłuszeństwa nie daje szczęścia. Poznawszy Tytusa i jego żonę; oceniwszy charakter, naukę i zasady młodego lekarza, pragnąłem nie-

zmiernie poznać tego ojca, którego postać starodawna rysowała się imponująco w mojej myśli, i tę Rózię, w której dziwne zlanie młodości z dojrzałym poglądem na życie, kobiecego wdzięku z rozumem i energią męską, o czém mi i przyjaciele jej i kochanek nagadali, niezmiernie mnie zainteresowały.

Wkrótce życzeniu memu stało się zadość. Pan Jan zaproszony przez marszałka na obiad, przybył wraz z córką. Przyznaję się, że pomimo uprzedzenia przeciw niemu, jakie nieubłagana twardość dla własnego dziecka we mnie obudzała, nie mogłem się odjąć tajemnej sympatii, którą mi ku sobie pociągnął. Czy to sprawił widok tej sukni, jedyniej w okolicy, tej postawy poważnej, surowej i pełnej śmiałości, tego ujęcia, tak różnego od naszej nowej i trochę małpiej ruchliwości, co wszystko przeniosło myśl moją do dawniejszych czasów i postawiło mnie w kole postaci, których samo spójrzenie przyniotłoby nasze znalazłe pokolenie; czy to sprawiła jego niezwykła dla mnie uprzejmość i rozmowa jego, która mnie od razu uderzyła zdrowiem i siłą myśli, malującą duszę niezakrytą, mocną i uczciwą, ale wkrótce zapomniałem o mojem do niego uprzedzeniu i podzielałem wraz z innymi ten szacunek, jaki go otaczał. Rózia ujęła mnie niezmiernie. Słuszną, kształtną, z okiem ciemnym, pełnym życia i patrzącą z przenikliwością i słodyczą; z włosiem także ciemnym, który lśnił się na czole białem i rozumnym; z twarzą zdrową, z prześlicznymi ustami, których uśmiech okazywał pojętność i odpowiadał wyraziście na to, co do niej mówiono, wprzód, nim odpowiedziała słowem krótkim i stanowczym, — wydała mi się powabną, a nawet piękną. Widziałem w niej prawdziwy typ panny polskiej, którą żadne małpowanie nie skrzywiło, której próżność nie zdrobniła, która wychowała się

w surowej szkole życia, co już wcześniej pokazało jej swoją twarz prawdziwą, twarz, że tak powiem, codzienną i domową, i zdięło z siebie tę balową toaletę, tę maskę świata, pod którą inne panienki zwykle je znają, długo i często bardzo długo nie wiedząc, co się pod nią ukrywa. Zbliżyliśmy się do siebie niezmiernie prędko. Ja szukałem jej znajomości, a ona uprzedzona przez marszałkową, zem poznał, ocenił i prawie pokochał p. Karola, nie stroniła odemnie, owszem, zdawała się uprzedzać moje kroki i szła ochotnie naprzeciw tej życzliwości, jaką we mnie wzbudzała, i tej poufałości, jakiej pragnąłem.

Gdyśmy z marszałkiem odwiedzili nawzajem p. Jana w jego domu, gdzie nas Różia z całą biegłością dawniej i doświadczonej gospodyni przyjmowała, a marszałek poszedł ze starym obejrzeć jakiś szczegół gospodarstwa, który mnie nie interesował, Różia rzekła do mnie:

— Poznałeś pan moją siostrę i jej męża?

Gdym odpowiedział, jak mię zainteresowali oboje, dodała:

— Biedna Emilka! cztery lata żyje na wygnaniu, tak blisko od nas, a tak daleko. Przez cały ten czas raz tylko zeszliśmy się na grobie mamy, widzenie się nasze było krótkie, bo mię ojciec od furtki cmentarza odwołał i iść kazał. Ale nigdy nie zapomnę, żebym sto lat żyła, jak wstrzęsła się na głos ojca, z jakim bolem rzuciła się potem na mogiłę matki, jakby błagając o wstawienie się za sobą tego serca, które tam pod ciężkim kamieniem w proch się już obróciło. Gdym się zbliżyła do ojca, widziałam, że był zupełnie zmieniony, blady i jakby ziemią przysypany. Rzuciłam się wtedy do nóg jego, błagając, żeby się nad nami obiem zlitował i ducha matki przejednał. Podniósł mię drżącą ręką, widziałam, że miał łzy w oczach, a jednak, jak zwy-

kle czyni, na wszelkie prośby i wstawiania się, odwrócił się tylko i nie odpowiedział. Przekonana jestem, że ojciec kocha ją, że jej serdecznie żałuje, a przecież stoi przy swoim z oporem żelaznym, niweczając tym sposobem swój pokój i nasze szczęście. Jak to wytłumaczyć? i co to komu z tego przyjdzie?

— Ojciec pani — odpowiedziałem wówczas — broni zasady, i kosztem własnego serca stoi przy straży tych praw, które Bóg zlał na rodziców.

— Zapewne — rzekła Różia, naciskając czoło różowemi palcami zasada słuszna, prawa święte. Nie byłoby na świecie porządku, gdyby dzieci samowolnie chciały rozrządzać swym losem i rujnowały te plany, które miłość rodzicielska dla nich wysnuwa. Ale są wyjątki. Może ojciec pomylić się w swym wyborze, może córka nie pomylić się w swoim. Czasem instynkt serca młodej dziewczyny mądrzejszy od rozumu starego człowieka. I tu właśnie jest ten wypadek. Dla czegoż nie powiedzieć sobie: przemęczyłem ją i siebie przez lat cztery; przekonałem się, że szczęśliwszą jest z tym, którego sama wybrała, niżby była z tym, któremu jej przeznaczył. Jej żal i łzy tyloletnie uczyniły zadość zasadzie i prawu; mojemu sercu stało się zadość przez to przekonanie, że dobrze wybrała. Niech więc będzie zupełnie szczęśliwą, kiedy nią być może, kiedy i ja mogę już spokojnie zamknąć oczy i śmielej stanąć przed żoną, której serce macierzyńskie zgadło od razu to, czego mój rozum męski nie widział, a raczej widzieć nie chciał. Ja przynajmniej, będąc na miejscu ojca takbym sobie powiedziała i byłby koniec.

— Ale będąc w położeniu siostry — dodałem z uśmiechem — nigdybyś pani nie postąpiła tak, jak ona.

— Nigdy, za nic — rzekła Różia czerwieniąc się. — Ale widzi Pan, i tu jest różnica, która mówi na stronę Emilki.

Nasze charaktery zupełnie odmienne. Emilka miękka, słaba, trwożliwa. Dałaby się była zastraszyć rozkazem i gniewem ojca, poszłaby była za tego pana, który się jęj mimo jęj woli narzucał, byłaby nieszczęśliwą całe życie, a ojciec widząc to i mając to przekonanie, że złamał pokój i zniszczył szczęście swego dziecka, któremu tylko dobrego życzył i które usłuchało jego głosu, cierpiałby zapewne więcej, niż teraz cierpi. Ja mam więcej hartu i nie dam się ugiąć tak, abym poddała szyję w jarzmo, którego znieść nie mogę. Jeżeli mi ojciec nie pozwoli być żoną tego, którego kocham, nie będę nieczyją, a tém bardziej tego nieznośnego p. Zenona, który od niejakiego czasu znowu zaczął nas odwiedzać i zagraża tym samym ciosem mnie, jakiego siostra moja nieszczęśliwą ucieczką swą z domu uniknęła. Widać, że on położył sobie to za zadanie swego życia, abyśmy obie z jego przyczyny były nieszczęśliwe. Dziwna rzecz, co w nim ojciec nasz widzi, i dla czego chce koniecznie zachceniu jego, czy zamaskowanemu łakomstwu, dzieci swe poświęcać.

Tu Różia umilkła, a po chwili podnosząc głowę i patrząc mi jakoś serdecznie w oczy, dodała:

— Nie wiem doprawdy, dla czego ja tak otwarcie i śmiało wszystko to panu mówię.

— Może dla tego — rzekłem wyciągając do niej rękę — że znam p. Karola, że go szacuję i mocno mu życzę, aby zawsze godnym był takiego serca, jakie sobie zjednał.

Różia ścisnęła moją rękę, i za zakręciła się w jęj oku i rzekła:

— Nie widziałam go ze trzy miesiące. Ojciec domyślił się widać, co się w sercu mojem dzieje, i choć niedawno był chory, choć wie, żeby mu nikt szczerzej i umiejętniej nie poradził, posłał po innego lekarza. Byłam

obecną, gdy rozkaz ten wydawał; z jego wejrzenia domyśliłam się, dla czego powierzał się ręką, którym nie ufał; ośmieliłam się zrobić uwagę; odpowiedział mi, że wie co robi, że jego obowiązkiem jest myśleć o mnie, a nie moim rozrządzać nim. Potém spójrzawszy na mnie surowo, dodał: wolę cierpieć ciałem, jak duszą. Mam już dość z waszjej łaski. — I odtąd co trzy, co cztery dni widuję p. Zenona, a o p. Karolu słyszę tylko wtedy, gdy marszałek jest tu, lub my u nich. Los mój wkrótce się rozstrzygnie. Jeżeli pan się o tém dowiesz, — dodała, podając mi obie rączki — pożałuj mnie, bo los mój nie może być takim, jak mi się marzyło i śniło wtedy, gdy postać mojego dobrego Karola stała przedemną, a nie wiedziałam jeszcze nawet, że go kocham.

Na tém się rozmowa nasza skończyła. Nie mogłem zapomnieć wyrazu twarzy i głosu téj pani, która odpowiedziała wyobrażeniu, jakie o niej miałem, i której los zainteresował mnie więcej, niż to wyrazić mogę. Ucieszyłem się niezmiernie, powróciwszy do domu z marszałkiem, że zastałem tam p. Karola. Mogłem mu wynurzyć te wszystkie uczucia, jakie mnie przeniknęły, a nie tając przed nim niebezpieczeństwa i smutku, jaki mu zagraża, mogłem także z głębokim przekonaniem pocieszać i umacniać zagnętego młodzieńca tém, że serce takie nie zawiedzie go nigdy, że byle sam umiał być wytrwałym i cierpliwym, nie dozna pewnie zawodu, i czy za rok, czy za dziesięć lat znajdzie taką samą miłość, taką samą gotowość oddania mu życia i osłodzenia wszystkich chwil jego.

W parę tygodni potém, przyjechałem przed wieczorem do p. Jana, z tym zamiarem, żeby tam przenocować, przebyć jeszcze następny cały dzień, i potém poruczywszy opiece Boskiej śliczną Różę, którąm jak własną córkę po-

kochał, pożegnać się z niemi na długo, a może i na zawsze. Na dziedzińcu zastałem piękny powóz, który strasznie trącił konkurentem, tak był nowy, tak pretensjonalnie rozłożony. Błyszczał on bronzami i uprzężą ślicznych czterech koni i zdawało się, iż w każdym guziku, kółku i blaszce była petla, na którą serce panny ułować się miało. W rzeczy samej był to powóz p. Zenona, który był tu na obiedzie i wkrótce miał odjechać.

Gdym wszedł do bawialnego pokoju, zastałem Rózię, samą. Siedziała biedna zamysłona i miała oczy zapłakane. Gdy mnie postrzegła, zbliżyła się, podała mi rączki i rzekła:

— O! dobrze, żeś pan przyjechał. Zdaje mi się, że chwila stanowcza zbliżyła się. Nie odstępuj mnie pan — przy panu będę mocniejsza.

Nie miałem czasu odpowiedzieć i zapytać, co się zrobiło. Turkot powozu dał znać, że p. Zenon wyjechał, a w tymże samym czasie drzwi się otwały i wszedł p. Jan trzymając w ręku zgrabne safjanowe pudełko, widać z jakimś preejozami. Po przywitaniu się ze mną, stary otworzył pudełko, w którym były cztery sznurki ślicznych pereł, ze spięciem ozdobioném ametystem i brylantami, i oddając je córce rzekł:

— Masz tu Róziu prezent.

— Ktoś ofiaruje mi łyzy. Wątpię, ojcuniu! żeby to było od ciebie. A jeżeli nie od ciebie, przyjąć nie mogę — rzekła Różia i zamknawszy pudełeczko, postawiła je na komodzie.

Stary zmarszczył się i rzekł:

— Masz ten podarunek od takiego, od którego wkrótce będziesz mogła przyjąć każdy dar, jaki ci ofiarować zechce.

— Wiesz dobrze mój drogi ojcze — mówiła Różia, której twarz zbladła jak ściana — że oprócz ciebie, jeden jest tylko taki człowiek na świecie, od którego bym każdy dar chętnie przyjęła. Ale ten nie jest w stanie robić tak kosztownych podarunków. Ponieważ więc to ani od ciebie, ani od niego.... nie przyjmuję.

— O tamtym zapomnij — odpowiedział p. Jan tym tonem stanowczym, od którego już nie było apelacji — a podarunek ten przyjąć pozwalam ci i rozkazuję, bo pochodzi od pana Zenona, który za miesiąc będzie twoim mężem.

— Mężem moim p. Zenon — odpowiedziała Różia — nie będzie ani za miesiąc, ani nigdy. Nikt na świecie zmusić mię nie zdoła, abym wymówiła przed ołtarzem kłamstwo, którym się brzydzę. Ty, ojcze, chcesz szczęścia mojego, i dla tego każesz. Ja czuję to, że się mylisz, i dla tego posłuszną ci być nie mogę.

— Więc i ty postąpisz tak jak tamta! — zawołał p. Jan i powstał groźny i przeszywającym wzrokiem zmierzył nieulekłą dziewczynę.

— O tém nie myśl mój drogi ojcze — odpowiedziała Różia — Odgadłeś tajemnicę mego serca i dla tego zapewne chcesz mnie wiecznie przegrodzić od człowieka, któremu ukochała. Bądź spokojnym, ojcze drogi! środek ten niepotrzebny. Pana Karola kocham, kocham go całą duszą, jak na to zasługuje. Ale przeciwko woli twojej nie pójdę. Jeżeli mi nie pozwolisz być jego żoną, jeżeli nam nie pobłogosławisz, przysięgam ci na cień mojej matki, że nią nie będę. Ale też nie będę nieczyją, a tém bardziej tego człowieka, który chce tylko, nie wiem dla czego, być twoim zięciem, i któremu wszystko to jedno, czy Emilja, czy Rozalja, czy Chwieska, czy Maryska. Oddaj mu swoją szka-

tulkę, a w niej mój posąg, a bądź pewnym mój ojcze, że przestanie na tém i więcej niczego domagać się nie będzie.

— Sądysz go niesprawiedliwie — odpowiedział p. Jan łagodnie. — To człowiek dobry i uczciwy, który potrafi ocenić twoje poświęcenie, i zrobi cię pewnie o tyle szczęśliwą, o ile tylko kobieta nią być może, jeżeli sama nie psuje tego, co jój Bóg daje. Nie jest on już tak młody, nie jest tak gładki, jakbyś może chciała, nie nadskakuje i nie wzdycha, ale w sercu jego jest przywiązanie, w obejściu delikatność, w każdym kroku prawosć i uczciwość. Masz-że mnie za człowieka nie znającego się na ludziach, nie umiejącego z twarzy nieczyjś zdjęć maski, którą mnie kto oszukać pragnie, że sądzisz, iżbym się dał zwieść pozorami, i w ręce niegodne oddawał cię, któraś była zawsze żrzenicą w mojem oku, którą może więcej kochał, niż wszystko to na ziemi, com kochać był powinien! Róziu! masz-że mnie za tak złego ojca, że sądzisz, iżbym cię chciał ślepo poświęcić mojemu widzim się, iżbym potem obojętnie, dla tego, że sobie dogodził, patrzył na twoje łzy, na twój smutek, ja który już stoję nad grobem, który pójdę wkrótce zdać sprawę z mojego życia, który mam już i tak stanąć w obec tej, co mnie tam czeka i może obwinia. Byłabyś niewdzięczną, gdybyś tak myślała. I nie myśl tak moja droga jedynaczko! Uczyni zadość mojej woli, która się gruntuje na mojej dla ciebie miłości, uciesz mnie na stare lata moje posłuszeństwem, które Bóg błogosławi, i zatrzyj w sercu mém gorycz i ból, jaki mi nieposłuszeństwo tamtęj dało. Moja najmiłsza Róziu, jeżeli chcesz abym spokojny o ciebie umierał, zrób o co cię proszę, a nie ma ofiary jakiejbym nawzajem dla ciebie nie zrobił.

Rózia siedziała z wytężonym na ojca wzrokiem, z otwartymi przez pół ustami, dłońmi cisnęła skronie, w których

zapewne pulsa były ostatkiem życia, a z ocz jój płynęły łzy bez jój wiedzy i woli. Gdy p. Jan umilkł, posiedziała jeszcze chwilę, potem potarłszy palcami czoło, powstała nagle i rzekła z postanowieniem.

— Dobrze, ojcze! dobrze. Przywołaj Emilkę i jój męża, przebacz im i pobłogosław, a pójdę. Inaczej za nie. To moje ostatnie słowo.

Pan Jan podniósł się w całej swj wysokości, wyprężył się, jakby miał paść trupem, nie spodziewając się warunku, który łamał i kruszył jego postanowienie. Po niejakiem czasie jednak opuścił ręce, spójrzał z miłością na swe ulubione i poświęcające się dziecko; wielkość ofiary tknęła widząc jego żelazne serce, i wyciągając do niej ręce, rzekł głosem drżącym, który jakby płacz wewnętrzny przeżywał.

— I nie cofniesz swego słowa.

— Nie cofnę; tak niech mi Bóg dopomoże — rzekła Rózia z mocą, na którą w głębi duszy zadrżałem. Wtedy p. Jan przyciągnął ją do siebie, przycisnął do piersi, żyłastą ręką swą obejmował jój główkę, tulił do siebie, całował jój czoło, jój twarz i wreszcie zawołał:

— Błogosławię cię dziecko moje! zrobiłaś to posłuszeństwem, czego by nikt żadną siłą nie dokazał. Napisz do nich, niech tu jutro przyjadą i niech mi dzieci swe przywiożą.

Rózia upadła do nóg jego, on ją podniósł jeszcze i jakby konwulsyjnie ścisnął, całował i zegnał, potem widząc łzy w moich oczach, podał mi ręce, ścisnął moje dłonie i szybko wyszedł.

Wtedy Rózia otarła oczy, przystąpiła do mnie blada i drżąca i rzekła:

— Zginęłam, ale to nie! Moje życie i moje szczęście mniej warte, niż życie i szczęście tych, co już od tylu lat

boleją. Pojedź pan do Karola, powiedz mu coś widział, niechaj znieś cios ten jak mężczyzna, i oceni mój postęp, jak człowiek szlachetny i wyższy.

To powiedziawszy wyszła. Tego wieczora nie widziałem już ani ojca, ani córki.

Dom p. Jana zbudowany tak, że dwa jego skrzydła, mieszczące po kilka pokoi wchodzą w ogród. W jednym skrzydle były pokoiki gościnne, a w drugim przeciwnym był pokój panien, obecnie zajęty tylko przez Rózię. Okna tego pokoju, gdzie mnie na noc ulokowano, były naprzeciwko jej okien. Już było po jedenastej, kiedym otworzył swoje okno, i rozmyślając o tém wszystkiém, com widział i słyszał, orzeźwiał się nocnym chłodem i patrzył na niezmierny błękit zasiały gwiazdami. Okna Rózi były oświecone. Patrzyłem z zajęciem, czy jej nie dojrzę i myślałem, co też teraz zajmuje myśl i serce tej szlachetnej i starszej duszy nad swój wiek kobiety, która najdroższe uczucia serca, wszystkie nadzieje pięknego i długiego życia na ołtarzu rodzinnym złożyła. Wtedy posłyszałem na ścieżce ogrodowej kroki zbliżającego się człowieka, i wkrótce postrzegłem wysoką postać p. Jana. Szedł on zwolna i stał, a wzrok jego był ciągle zwrócony ku oświeconemu oknu córki. Po jakimś czasie zbliżył się tak, że mógł widzieć, co się wewnątrz dzieje. W tém miejscu stał długo, patrzył ciągle, i potem cofnąwszy się, usiadł na schodkach, które z ogrodu prowadziły do sali, zakrył twarz rękami i zdawało mi się, że płakał. Widok ten przeniknął mi do głębi serca. Wyszedłem do ogrodu, zbliżyłem się do rozbolełego starca, i rzekłem:

—Panie Janie! po cóż ta boleść, gdy stało się zadość twój woli.

Wtedy on powstał, wziął mnie za rękę, i do jej okna przyprowadził. Przy dziewczętem łóżeczku swém Rózia kłę-

czała. Białe szlafrocze okrywał jej kształtną kibić, ciemne włosy w pół rozplecione spadały na ramiona. Trzymała ona w ręku żelazny krzyż z wyobrażeniem Chrystusa, i wpatrzywszy się z przeniknięciem w twarz Zbawiciela, który odboleł wszystkie całej ludzkości boleści, błagała o moc do spełnienia ciężkiej ofiary.

— Patrz pan! gotuje się na śmierć — rzekł p. Jan z językiem, który mię przeraził i śpiesznie odszedł. Popatrzyłem jeszcze przez chwilę na biedne dziecko, godne lepszego losu i wróciłem do siebie. W półgodziny potem zgasło światło w pokoju Rózi, na niebie było jasno i świetnie, na ziemi cicho i spokojnie, w sercach tylko ludzkich były się namietności, męcząc i psując to, co Bóg tak pięknie uszykował, tak jasno oświecił, tak mądrze dla szczęścia ludzkiego i pokoju urządził.

Nazajutrz o dziesiątej rano przyjechała z mężem i dwójgiem ślicznych dzieci. Sceny tej pojednania i przebaczenia opisywać nie będę. Jest to jedna z tych pieśni, którą każdy słuchacz tylko w sercu swém dośpić może. Pan Jan przyjął dzieci swe tak, jakby tylko z drogi wrócili, jakby nigdy nie nie zaszło. Ścisnął Emilkę, podawał rękę p. Tytusowi, karesował i nosił starszego wnuczka, całował i żegnał młodszego. Ale najwięcej zajęty był Rózią, która z początku ożywiła się tym widokiem szczęścia siostry i zapomniała niejako o swoim losie. Piescił ją ojciec, tulił do piersi, kładł na jej rękę starszego siostrzeńca, żartując, że nie udźwignie tak zdrowego i tłustego chłopca. I Rózia i ja poglądaliśmy po sobie, nie mogąc jakoś wytłumaczyć tej zmiany, jakąśmy w całej naturze p. Jana widzieli. Wziął mu się skądś dobry humor, a nawet znalazł się żarcik, który od dawna, jak mi mówiono, nie powstał na jego ustach. W tém wszystkiém uważałem dwie rzeczy, jedną:

że im weselszym okazywał się ojciec, tém bardziej Różia smutniała i bladła — a druga, że p. Jan, mimo tej niezwykajnej mu żywości i wesołości, okazywał się chwilami jakimś niepokojnym, często zaglądał do okna i zdawał się przysłuchiwać, czy kto nie jedzie. Oboje z Rózią myśleliśmy widać jedno; za każdym bowiem zbliżeniem się jego do okna, mnie robiło się niezmiernie przykro, a ona zdawała się trętwieć i twarz jej śmiertelną okrywała się bledością. Nareszcie dał się słyszeć hurkot, powoz szybko przebiegł po przed oknami, i wprzód nim zdołaliśmy dojrzeć kto przyjechał, drzwi się otwarły i wszedł p. Karol. Różia krzyknęła, wszyscy stanęliśmy zadziwieni i w milczeniu, a stary podawszy rękę młodemu lekarzowi, rzekł.

— Chodź tu mój zięciu! oto twoja żona. Mam nadzieję, że będziesz wart takiego serca, jakie ci daje.

Gdyśmy wszyscy okazali znaki serdecznej radości, gdy Różia upadła jak długa do nóg ojca, całując w uniesieniu stopy jego, a p. Karol wyszedłszy z pierwszego zdumienia, ukląkł przy niej i kolana jego całował, p. Jan podniósł oboje, przycisnął do siebie i dodał: — Róziu moja! uczciłaś wczoraj wolę ojca posłuszeństwem, i Bóg nie dopuścił, abym złamał to serce, które się tak odważnie poświęcić umiało. Nauczyłaś mię, jak się przewycięzać, a ten Chrystus, w którego oblicze wpatrywałaś się wczoraj, gotując się na śmierć, natchnął mnie inaczej niż chciałem, i nauczył starego jego ojcowskiej powinności względem dziecka, które wypełniło swoją. Masz-że teraz moje błogosławieństwo za tę chwilę rokoszną, jakiej doznaję; masz je i ty, której winę siostra twoja zmyła. Nacieszcież się sobą, i w modlitwach waszych proście Boga, aby mi pozwolił jeszcze lat kilka patrzeć na wasze szczęście.

Gdy obie pary uklęknęły przed wzruszonym i wyprostowanym starcem, a ja, przypadkowy świadek tej sceny, płakałem zdaleka, pan Jan rzekł po chwili:

— No! dosyć tego na dziś. Jutro, moje dzieci! pojedziemy wszyscy do grobu matki waszej, gdzie duch jej czeka zapewne z błogosławieństwem dla was, a da Bóg z przebaczeniem dla mnie.

Wzrost do Krainy

Żywa ja z wami... ale czy ten samy?

Czy się zmieniło coś w mojej duszy?

Jeszcze nadchodzi, drzewo liściem pruszy.

I tui, jak drzewa, zawsze coś zrywamy.

Niby tak samo, a przecież inaczej.

Imo się okiem do okna wodni...

Jedni mnie ufają, czy Pan Bóg przebaczy?

Jeszcze więcej, czy to świat nagrodi?

Jeszcze stracił ufność, przez się trąci?

Czasu nadarmo z myśłami się bawi?

Jeszcze chwila świat, czemu was lubię?

Jeszcze ja świata, czemu jeszcze żyję?

Wzrost kładę rękę na sercu, czy poka...

Pokaz i wola: Kocham braci ludzi...

Gdy serce kocha, to się coś wyzuka...

I szum brzozy na nowo rozbudzi...

Bo miłość braci to ma taką siłę.

Ze chodzę niewiem jakim przyciąg biady.

Jakos się zrobi, że to będzie miłe.

I że się przebranie, coś wyzdrobi biady.

Wzrost i w sobie, w sobie Purisy.

Wzrost i w sobie, w sobie Purisy.

Znowu ja z wami... ale czy ten samy?
Czy nie zmieniło nic się w mojej duszy?
Jesień nadchodzi, drzewo liściem pruszy,
I my, jak drzewa, zawsze coś zrywamy.

Niby tak samo, a przecież inaczej,
Innëm się okiem dookoła wodzi....
Jeślim miałem ufnym... czy Pan Bóg przebaczy?
Jeżeli więcęć, czy to świat nagrodzi?

Jeżelim stracił ufnosć, przez się trudzę?
Czemu nadarmo z myślami się biję?
Jeśli mi obmierzył świat, czemu was łudzę?
Jeśli ja światu, czemu jeszcze żyję?

Więc kładę rękę na sercu, czy puka—
Puka i woła: —kocham braci ludzi....
Gdy serce kocha, to się coś wyszuka
I snem leżące na nowo rozbudzi....

Bo miłość braci to ma taką siłę,
Że choćby niewiem jakie przyszyły biedy,
Jakoś się zrobi, że to będzie mile
I że się przebrnie, ani wiedzieć kiedy.

Człowiek się skupi w sobie i uciszy,
Po tylu stratach i po tylu bolach,

Nad mogiłami zmarłych towarzyszy,
Sam jeden siedząc na żałobnych polach.....

Popatrzy w górę, poswarzy się trocha,
I podda duszę pod Boże rozkazy,
Wygada Bogu wszystko i wyszłocha—
I znowu kocha i milczy jak głazy.

Kiedym raz pierwszy do chat waszych wchodził,
W onym Poznańskim naszym Wielkopole,
Grób mi tam żaden drogi nie przeszkodził,
Pszenica rosła na rodzinném polu.

Dziś wszyscy moi pokryli się w doly,
I trawa na nich pusiła się szumna,
To nie stać głosu do pieśni wesołej,
Kiedy z weselem zamknęła się frumna.

Z nikim się nie znam, ni wiem co zacząć oni,
Ni kto mnie woła, ani kto mnie słucha,
A przyjść tak obcym, to niech Pan Bóg broni,
Śród zimnych twarzy człowiek jak bez ducha.

A przecie idę, bo myślę tak sobie:—
Piosenka nędzę ściera z duszy mojej,
To może serca, których wszystko w grobie,
Także piosenka moja uspokoi.

Może przekona te dusze prostacze,
Że nie daremno krzyż się dźwiga Boży,
Że nikt przed Bogiem daremnie nie płacze,
I że dla duszy tém lepiej im gorzej.

Że ją Bóg uczy, przez różne koleje,
Żeby chodziła o swęj własnej mocy,
Wszystko odbierze nawet i nadzieję,
Tę już ostatnią gwiazdkę w ciemnej nocy.

A jeśli człowiek tej próbie wydoła,
To zrobi z niego tęczę w czasie burzy,

To zrobi z niego spokoju Anioła,
Który ubóstwu niewidzialnie służy;

To zrobi z niego niebieską kapełę,
O złotych włosach gwiazdę na błękiecie,
To zrobi z niego wieczyste wesele,
Miłość i zgodę i prawdę i życie.

Więc idę ufny, nie w moich słuchaczy,
Ale w tę prawdę, co mi w duszy gada,
A lekkie słowa toż Pan Bóg przebaczy,
Kiedy co chwila na nie łąza upada.

O słowa moje, deszczem łez wilgotne,
Czas wam do ziemi pod rolę uprawną!
O myśli moje! o myśli samotne,
Kiedym raz pierwszy niośł was, jakże dawno!

Teofil Lenartowicz.

Rzym 8 kwietnia 1860 r.

Pokuta Szafranca.

Zdradziecki mnich zbrojny najechał sąsiada,
Łokietek miecz chwyta, rumaka dosiada
I woła: Polacy! z bułatem do pracy,
Kraj bronić i tępić Krzyżowce!

Wnet orzeł lechicki swe skrzydła rozpina,
A za nim tuż w ślady orężna drużyna,
Szle modły do Boga, uderza na wroga
I trupem zascieła Połowce.

I okrzyk zwycięzki w niebiosy aż bije:
Znękane Krzyżactwo! Władysław niech żyje!

Lecz król czuł tęsknicę, więc podniósł przyłbicę,
I tak się do mężnych odzywa:

»Dopóki nam w żyłach praojców krew płynie,
»Od obcych napadów Ojczyzna nie zginie,
»Nie wtedy kraj w biedzie, gdy wróg go najedzie,
»Lecz gdy go niezgoda rozrywa;

»Gdy możny, niepomny na bratnie swobody,
»Zagrabia bezwstydnie szlacheckie zagrody,
»I dobrem spółbraci swe skarby bogaci,
»A o kim chcę mówić snąć wiecie!....

»Bo pomstę u Boga krew znajdzie niewinna,
»Przeklęty od ludu zmarł Włodek ze Skrzynna;
»Mazowsze, Pomorze wołały: o Boże!
»Ach dzięki, żeś zabrał go przecie!...

»Szafraniec, twe imię strach w kraju roznosi,
»Król polski cię wzywa — Władysław cię prosi,
»Zaniechaj grabieży, niech z prawych rycerzy,
»Nikt dłoni zbójctwem nie plami!

»Bądź ojcem dla ludu, dobywaj szablicy
»Na kraju obronę, gdy wróg na granicy,
»By kiedyś na grobie wspomnienie o tobie
»Z narodu mieszało się łzami.«

Król umilkł — na wojsko wzrok rzucił spokojny,
W tém z grona rycerzy wystąpił mąż zbrojny,
Szmer rozległ się w koło, — on dumne swe czoło
Uchylił pod stopy królewskie.

»Dzięki, rzekł, królu, że łaskę mi wracasz,
»Niech Bóg tak przebaczy, jak ty mi wybaczasz:
»Swojego dokażę, sam grzechy me zmażę
»I zyskam Królestwo niebieskie.

»Niech odtąd szablica bezczynnie rdzewieje
»Wyrzekam się zbroi, pielgrzymą strój wdzieje,

»Jak każą zwyczaje, pociągnę w te kraje,
»Gdzie Boski namiestnik rozgrzesza!«

To mówiąc uściśnął królewskie kolana,
A w miesiąc, jak wówczas przystało na pana,
Z bogatym przyborem i mnogich sług dworem
Szafraniec do Rzymu pośpiesza.

Tak Polskę opuścił, a nieraz gdy w drodze
Chciał zamki plondrować i Niemców bić srodze,
Pomyślał wnet z bolem, że przysiągł przed królem,
Więc zamki pomijał spokojnie.

Aż doniósł do Rzymu wieść rozgłos skrzydlaty,
Że ciągnie do Rzymu pan polski, bogaty,
Wprzód zbrojny i butny, dziś pielgrzym pokutny,
Dla modlitw zapomniał o wojnie.

Od młodych lat w kraju wiódł żywot przeklęty,
Gdy wreszcie zstąpił na niego Duch święty
I Rzym mu ukazał, by zbrodnie tam zmazał
Pokutą i żalem za grzechy.

Więc przybył do Rzymu i kląkł przed papieżem,
Z prawicą na szabli, na ustach z pacierzem,
I skruszon straszliwie, upraszał żarliwie
O promień duchownej pociechy.

Gdy się tak z grzechów swych szczerze spowiadał,
Jak mnichów rozpędzał, klasztory napadał,
Jak z hucem wojaków mordował Krzyżaków;
Namiestnik do niego rzekł święty:

»Twojego żywota niezmiernie są zbrodnie
»Lecz zechciej, a możesz zagładzić je godnie,
»W sumieniu wzbudź skruchę, miej w Bogu otuchę,
»Bezbożnik jest tylko przełęty!...

»Żałujesz?... więc z wiary nie jesteś wyzuty,
»Lecz niedość na żalu, potrzeba pokuty

»Tę musisz odprawić, gdy duszę chcesz zbawić,
»A ja ci ją, synu, naznaczę.

»Więc słuchaj:—wróciwszy w ojczyste twe strony,
»Gdziekolwiek jest kościół cudami wstawiony,
»Z pokorą, ochotą, tam pójdziesz piechotą
»Przywdziawszy odzienie żebracze.

A na to Szafraniec odpowie: »Przez Boga!
»Takowa pokuta jest dla mnie za sroga;
»Nie w naszym to kraju bywało w zwyczaju,
»By pan się za chama przebierał!...

»Ja zawsze z orszakiem—czy w nocy czy we dnie!
»Niech dziad tak żałuje za grzechy powszednie,
»Lub za to, że komu wziął chleb pokryjomu,
»Gdy głód mu już bardzo doskwierał!...

Zdziwiły papieża te polskie zwyczaje;
Pomyśli i drugą pokutę zadaje:
Do końca żywota co piątek, sobota,
By pościł o chlebie i wodzie.

»O! to jeszcze trudniej! — Szafraniec zawoła—
»Prawdziwy pan polski tak pościć nie zdoła;
»Czy piątek, sobota,—otwarte są wrota
»I nikt nie śmie myśleć o głodzie!

»A skoro się gości najędzie czereda,
»Gospodarz w kielichach wyprzedzić się nie da;
»Każdego szlachcica wiwatem zaszczyca,
»Gdyż klejnot należy się sławić!...

Zdziwiły papieża te polskie zwyczaje,
Pomyśli i trzecią pokutę zadaje;
Bo żał zdjął go żywy, by pan tak uocziwy
Swą duszę miał piekłu zostawić.

»Z grzesznego żywota bogate masz zbiory,
»Więc siedem kościołów i cztery klasztory—

Rzekł papież — wystawisz, tém duszę swą zbawisz!
A na to Szafraniec w te słowa:

»Co! u nas klasztory? Przez Bogarodzie! —
»Czy już są tak puste opatów skarbnice,
»By szlachcic swe mienie w ich tłoczył kieszenie,
»A mnich co raz weźmie, to schowa!

»A bracia, jak w kraju krzyknęli by chórem:
»Szafraniec się korzy przed mniszym kapturem!...
»Na starość, przed zgonem,—patrz! drzy przed zakonem
»Snać legnie niedługo już w grobie!

Zuów zdziwił się papież, lecz mądry, wymowny,
Podumał i z palca zdjął pierścień kosztowny;
»Weź pierścień ten złoty, cudownej roboty,
»I wiecznie, rzekł, noś go przy sobie.

A pierścień był taki:—wąż złoty tarcz zdobił,
Na której rytownik zamorski wyłobił
Dwa trupie piszczele i czaszkę,—na czele
Zaś napis stał: *mori memento*.

Szafraniec go przyjął radośnie, z pokorą,
Na Piotra ołtarzu położył dań sporą,
I polskim zwyczajem, zatęsknił za krajem,
Za Lechią ojczystą i świętą.

Szczęśliwy, że Papież pokuty nie żądał,
Odjechał, a w drodze na pierścień spoglądał,
I rój myśli nowy ten napis grobowy
Przed duszą grzesznika rozwijał.

Tak ciągnął ku Polsce, a nieraz, gdy w drodze
Chciał zamki plondrować i Niemców bić srodze,
Wnet napis straszliwy dreszcz budził w nim żywy,
Więc zamki spokojnie pomijał.

Powrócił do kraju, a *mori memento*
Jak tylko spostrzegł, wnet trwogę czuł świętą,

Gdyż znał to dowodnie, że kiedyś za zbrodnie
Przed sądem Chrystusa odpowie.

I dręczył go żywot na grzechach osnuty
I żał, że nie przyjął papieża pokuty,
Więc błąd chciał naprawić, by duszę raz zbawić
I pokój stroskanęj dać głowie.

Wnet więc, by zmniejszyć ów żal, co go trawił,
Do miejsc sławnych cudem pielgrzymkę odprawił;
By Boga przebłagać jał biednych wspomagać
I począł budować klasztor.

Tak wzmocnion na duchu, do końca żywota,
Gorliwie już poscił co piątek, sobota,
I żył bogobojnie, — a odtąd spokojnie
Poglądał na *memento mori*.

Edmund Chojceki.

Paryż, d. 8 kwietnia 1860 r.

Improwizacja na Górze Orłów.

Zwiedzając w roku 1858 Gdańsk i jego urocze okolice,
w dzień pogodny, wśród liczego towarzystwa, udaliśmy się
na górę wznoszącą się za miastem, nad samym brzegiem Bal-
tyckiego morza, a z której się ogarnia słynnie piękny widok; —
góra ta nosi poetyczną nazwę *Góry Orłów*.

Strome i dzikie ścieżki doprowadziły nas do szczytu gó-
ry; szczyt ten jest urządzony w kształt amfiteatru, tak, iż
odarniowane jego stopnie z trzech stron zasłaniają krajobraz;

z czwartęj tylko strony widok się otwiera na nieskończoność
morza. Bałtyk w świetle zachodzącego słońca iskrzył się cu-
downą grą kolorów; nie było na nim widać żadnego okrętu,
tylko jedna mała łódeczka, w której dostrzegliśmy trzy posta-
cie, z wolna i z trudem oddalając się od brzegu, płynęła ku nie-
znanym dla nas celom; wtedy zażądano, żebym na szczycie
góry zaimprovizowała i za przedmiot mi podano, widok tej
łódki na morzu.

ŁÓDKA NA MORZU.

Wzrok mój zdumiony w tych obszarach tonie,
Nawet i orłom z tych gór nie zazdrości!
Morze i niebo obiegałam oczyma.

W mgły rubinowej koronie,

Widzę olbrzyma

Nieskończoności.

W jego objęciach z pereł i z szafiru,

Widzę jak prądem porwana

Łódeczka, walcząc z gwałtownością wiru,

Ku brzegom tajemnym zmierza,

Naksztalt srebrnego puklerza,

Okrywa ją morska piana...

Bałwany, grzywą potrzęsając dumnie,

Odwagą łódki dziwnie się zdziwiły;

Ich nowy hufiec naciera co chwila...

Łódka już znikła w szmaragdowej trumnie,

I znów ze szklanej mogiły

Skroń zmartwychwstańczą wychyla!

A w tej łódeczce widzę trzy postacie:

Starzec wiosłuje z czołem w majestacie,

Przy nim uboga a piękna niewiasta

Patrzy na dziecię, które stoi w łodzi;

A kiedy patrzy, zdaje się, że wzrasta,

Matczyna duma kolumną z niej wschodzi.

Dziecię pogląda okiem tak wesolém,
 Jakby nie znało zdrady co zagraża,
 Pod przezroczystym żywiołem.
 O piękna trójco!... W postaci wiosłarza,
 Koronnój srebrzystym włosem,
 Zda mi się widzieć wielką postać Wiary,
 Co walcząc z burzą i losem,
 Rozwija żagli zwyciężkie sztandary.

A w téj uroczej kobiecie
 Poznaję Miłości postać;
 Gdyby tonęło jój dziecko,
 Ona by sama chciała falą zostać,
 Aby je porwać w ostróżne objęcia,
 Unieść do brzegu i złożyć na kwiatach.
 A w rzewnych rysach dziecięcia
 Z których się jeszcze taki spokój leje,
 Jakby o innych pamiętało światach,
 Zda mi się widzieć: Nadzieję!...

Deotyma.

ANIÓŁ NA NIEBIE I SZATAN NA ZIEMI.

IMPROWIZACJA.

Czemuż na niebios radosnym szafirze,
 Światel się tyle złoci i purpurzy?
 Czemuż na ziemi takie łyzy i krzyże?
 Czemuż dla zbrodni, w doczesnej podróży,
 Droga się kwieci skarby wszechwładnemi?
 Czemuż najświętszym tak rzadko się szczęści?
 Czemuż o Boże? Bo dotąd najczęściej
 Anioł jest w Niebie, a szatan na ziemi.

Anieli klęczą u stóp Przedwiecznego,
 Wieki jak chwile nikną im z pamięci....
 Ledwie niekiedy, litością dotknięci,
 Z objęć zachwyty wyrwawszy się, zbiegą
 W dolinę płaczu; — jedna taka chwila
 Szalę przyszłości ku Niebu przechyla;
 Lecz takie chwile są jak błyskawica...
 Już piorun szczęścia Anioła pochwyca!

A szatan... został. Oh! on się nie śpieszy
 Do bram siarczystych, gdzie stoją rozpaczę;
 On się orzeźwia, wśród cierpiącej rzeszy,
 Łzami, któremi niemowlątko płacze;
 Krwią, którą bracia toczą z piersi brata....
 Upadek ludzki tarczą dla szatana,
 Dla niego rozpacz człowieczego świata
 Jest jeszcze rajem, gdy z piekłem zrównana!
 I on najczęściej, on prawa stanowi
 Wśród drżących ludów. Czemuż tak jest Boże?
 O! bo nim człowiek dosięgnie do Ciebie,
 Te się dwie moce zdają nierównemi;
 Anioł modlitwą wojuje na Niebie
 A szatan czynem wojuje na ziemi.

Lecz przyjdzie chwila, biała jako zorza,
 Gdy z wytrwałości równy szatanowi,
 Gdy w zachwyceniu równy Archaniółom,
 Rozsiawszy miłość i mir w koło siebie,
 Będzie panował duchem i żywiołem
 Człowiek na ziemi i człowiek na Niebie.

Deotyma.

Cantate Domino Canticum Novum.**Psalm Dawidowy 95.**

Śpiewajcie Panu pieśń nową! Od ziemi
 Głos w głosie, głosy śpiewajcie wszystkimi,
 Śpiewajcie Panu w pokłon — na pokłony!
 Niech wždy dzień na dzień ubłogostawiony,
 Dawca zbawienia od luda do luda
 Promieni Ludom wszem w cudach nad cuda!
 Wielki, przesiłany Pan — toć i przesrogi,
 Groźniejszy w pomście swój nad wszystkie bogi;
 Bowiem te ziemskie bogi z czarta cielce,
 Pan zaś jest sprawca Niebios, mocny wielce.
 W pójrzeniu Pana wszechpiękność, wszechwiedza,
 Wielmożny, święty, kogo niem nawiedza.
 Udercież czołem pogany w cześć, w chwałę!
 Uwielbicie jedno Imię przespaniałe!
 Całopalenia przynosić do zgłiszczą!
 Uwielbicie Pana w zgłiszczu — co oczyszcza!
 Padaj się ziemio przed Panem na pował,
 Pomiędzy Ludy głos — że Pan królował.
 Otoć utwierdził świat, że nieruchomy,
 Na słuszne sądów Jego czeka gromy!
 Wesel się Niebo! Płasaj ziemio! morze,
 Przed Panem — poklask podawaj w przestworze,
 Że przyszedł! Przyszedł na króla i sędzie;
 I na stolicy oto nam usiedzie,
 I będzie sądził i rządził na zawdy,
 W sprawiedliwości swój i wedle prawdy!

J. B. Z.

ORZEŁ SWATEM.**OBRAZEK SERBSKI**

Skreślił

T. T. Jeż.

Żiwko był ubogim. Cały majątek jego stanowiło to co było na nim: spencer z prostego sukna, szerokie *szalwary*, fcz z kutasem, długa strzelba i kuszak z ładunkami, z za którego sterczały głównie nabijanych bronzem pistoletów i czarna rękojeść długiego jataganu. Zresztą nie posiadał nic: żadnej ojcowizny, ani dukatów, ani nawet rodziny, pomimo to, że urodził się, wyrósł i wychował w Serbji, z ojca Serba i z matki Serbki. Może on i miał krewnych, ale nic o nich nie wiedział. Dziwnym losu zrządzeniem znalazł się w dzieciństwie sam na świecie, bez matki i bez ojca. Matki nie pamiętał wcale — odumarała go w niemowlęcych latach; ojca zaś przypominał sobie jak przez sen i to nie w postaci człowieka całego, ale w postaci głowy ludzkiej, którą zamiast tułowiu podtrzymywał w górze cienki i wysoki pal.

Opowiadali ludzie, że ojciec Żiwka, w czasach kiedy Serbja wybijała się na niepodległość, był jednym ze sławniejszych hajduków. Brał on udział we wszystkich walkach Jerzego Czarnego i Miłosza Obrenowicza i bił się walecznie. Zaliczano go powszechnie do tych junaków, którym Serbja za-

wdzięczała wydobyć się z tureckiego jarzma. Senatorowie, naczelnicy, kapitanowie, knezie, których, po zakończeniu walki, otoczył powszechny szacunek, byli jego towarzyszami, nazywali go *pobratimem*; a kiedy o bojach i znojach wspominali, to wspominali i o nim. Oni przeżyli, a on zginął i zginął nie na polu bitwy, nie od kuli ani jataganu wroga, ale sam książę Miłosz, o sobiście kazał mu odrąbać łeb. Dla wytłumaczenia tego wypadku muszę w krótkich wyrazach opowiedzieć stan Serbji po ukończeniu wojny z Turcją.

Żaden może naród nie wyszedł z walki w większym jak Serbja rozprężeniu. Podczas walki Serbja była obozem, a każdy jej mieszkaniec żołnierzem, lecz nie żołnierzem regularnym, ale ochotnikiem, który chodził i bił się jak się mu spodobало: to zbiegając się niekiedy do większych kup, pod wodzę główniejszych naczelników, to rozpraszając się na drobne oddziały, kierujące się instynktem w górach i borach, i prowadzące wojnę, której ani podjazdową, ani partyzancką nazwać nie można, ale raczej obławową, dla tego, że nosiła ona na sobie charakter myśliwskiej obławy. Serbowie polowali na Turków, Turcy na Serbów. Oddziały wojskowe lub pojedynczy wojownicy, ludzie uzbrojeni i bezbronni, byli zarówno nieprzyjaciółmi. Z tego powodu wszystkie miasta a szczególnie wsie były albo obozowiskami, albo posterunkami i czatami, wszystkie wąwozy, każdy kamień i każde drzewo miejscami zasadzek, służącymi tak dobrze do ukrycia wielkiej gromady jako też jednego człowieka. Nieraz przed kolumną turecką, maszerującą wawozem, zabrzmiął strzał pojedynczy, kula gwizdnęła i jeden z wyznawców Mahometa przeniósł się do wieczności. Kolumna zatrzymywała się, szykowała, wysyłała zwiady—nieprzyjaciela nie było. Nieraz samowtór krwawe walki staczane były w ostepach. Ludność przyzwyczaiła się do tych zasadzek i tajemniczych wycieczek. Stały się one dla niej koniecznością, po-

trzebą życia, zajęciem, bez którego nie można było obejść się. Kobiety i dzieci, jak dzikie zwierzęta, chowały się w niedostępnych okolicach, mężowie bili się. Społeczeństwo serbskie stało się społeczeństwem hajduckiem, które żyło z boju i dla boju.

Na takie społeczeństwo spadło niespodzianie dobrodziejstwo pokoju. Wysoka Porta uznała niepodległość Serbji; Miłosz Obrenowicz zasiadł na książęcym tronie; wojna ustała.

Dobrodziejstwo pokoju raczej zdziwiło, nie zaś uradowało starych hajduków. Im zdawało się, że oni urodzili się do wojny. Nie umieli więc oswoić się z pokojem, nie wiedzieli co z nim począć. Książę Miłosz chciał z obozu-Serbji zrobić Serbję-państwo, a hajduków przemienić na obywateli; chciał, aby w nowym księstwie zakwitły praca, przemysł, handel, a nawet nauki i sztuki, o których ani śniło się dzikim wojownikom. Poznał więc książę od razu, że zwyczajnymi łagodnymi środkami nie dopnie celu wewnętrznego urządzenia Serbji. Od razu przeto wziął się do środków nadzwyczajnych i surowych, zaprowadzając prawa, które niewiele zapewne różniły się od Drakońskich—karząc śmiercią za byle co, za najmniejsze przekroczenia, na przykład za zamordowanie Turka. Serbom nie mogło pomieścić się w głowach, aby to, co przed niedawnym czasem było zasługą, miało stać się zbrodnią; nie mogli również zrozumieć, aby dobry chrześcijanin, mógł bezkarnie puszczać muzułmanina, mogąc go na tamten świat wyprowadzić. Nie stosowali się więc do zakazów kniazia i z tego powodu bardzo często ściągali na siebie karę śmierci, a nie mogąc, albo raczej nie chcąc zrozumieć, aby kara spadała na nich za zabicie poganina, wymyślali jakieś postronne, uboczne przyczyny. Jeżeli, na przykład przy zabójstwie zdarzył się rabunek i zabójca został ściętym, to zawsze tłumaczyli sobie, że rabunek był istotną przyczyną kary. Traktaty z wysoką Portą zaręczały bezpieczeństwo po-

dróżyjącym po Serbji muzułmaninom. Książę Miłosz dokładał wszelkich usiłowań do dotrzymania traktatów, a Serbowie dokładali wszelkich usiłności do złamania ich, przekonanyymi będąc, że zasługą jest przed Panem Bogiem tępić niewiernych. Nie było przeto innego sposobu dotrzymania traktatów, jak wybijać hajduków z głów przekonania ich, strącając im głowy z karków. Srożył się więc książę, posuwając się niekiedy aż do okrucieństw, karząc śmiercią nie tylko za morderstwa, ale za proste grabieże i złodziejstwa; a dla postrachu i wrażenia, wystawiając na widok publiczny łby ściętych, po wszystkich rynkach i krzyżowych drogach.

Ojciec Żiwka, pojmany na gorącym uczynku morderstwa, popełnionego na podróżnym Turku, któremu zabrał sakwy i kilimki, został ściętym i Serbowie powód śmierci jego upatrywali nie w morderstwie, które nie wydało się im naganem, ale w rabunku.

—Za głupstwo—powiadali—za *niszte kilimcze*, odrąbali mu Pandury łeb... Trzeba było, żeby on tych kilimków nie ruszał, to książę zabójstwo byłby mu z pewnością przebaczył...

Ekzekucja Żiwkowego ojca odbyła się w Niegotynie. Żiwko miał podówczas dziewięć, może dziesięć lat. Siedział on wraz z ojcem w więzieniu, nie jako spółwinowajca, ale dla tego, że być przy ojcu, znaczyło dla niego być w domu: stary bowiem hajduk domu nie miał, albo raczej miał dom wszędzie, gdzie zaszedł w gościnę, a dla syna był wszystkiem: wodził go i nosił ze sobą, odziewał i karmił i czuwał nad nim, jak najczulsza matka. Można by było wprawdzie posadzić małego Żiwka, jeżeli nie o spółwinę, to o obecność przy występku, dla tego że był świadkiem śmierci Turka. Stało się to następującym sposobem. Żiwko szedł z ojcem i spuszczał się z nim stromą ścieżką z góry, kiedy usłyszeli prychanie koni, powolny tentent po drodze, na dolinie. Ojciec zatrzymał

się i wpatrzył w stronę, z kąd tentent dochodził. Z za załomu góry wyjechało dwóch Turków. Ojciec Żiwka przysiadł natychmiast, jak myśliwy na widok zbliżającej się zwierzyny, szepnął przez zęby „Turczyn!” i dodał ciężkie przekleństwo, a przychyliwszy Żiwka do ziemi i zaleciwszy mu wyrazem „pst” milczenie, przyklął na prawe kolano, na lewem oparł łokieć, położył strzelbę w widłach lewej dłoni, odwiódł kurek, zmierzył i strzelił. Z dwóch Turków jadących, jeden tylko pozostał na koniu, ale ten zawrócił na miejscu i oddalił się pędem; drugi pozostał na drodze ciałem, a duszą tak szybko wyniosł się na tamten świat, że zastygł z różańcem w ręku, który jadąc liczył, a w którym rozsunał tylko szeroko paciorki, gdy spadał z konia. Koń jego nie rozhukał się. Gdy pozbył się jezdca z grzbietu, poskoczył, potem stanął, potem schylił łeb i począł wachać zioła rosnące przy drodze. Ojciec Żiwka podszedł ku Turkowi, stanął nad nim, oczy hajduka iskrzyły się złością, klął proroka i mahometańskiego Boga, a kopnąwszy z gniewem trupa nogą, podszedł do konia i zdjął sakwy i kilimki, które przytroczone były u siodła i przewiesiwszy je przez ramię, udał się do Niegotyna.

W Niegotynie bawił wówczas książę Miłosz. Stary hajduk śpieszył powitać książę, dawnego swego znajomego, towarzysza trudów i naczelnika. Wypadek z Turkiem nie zmienił bynajmniej postanowienia jego. Poszedł prosto do Niegotyna z kilimkami tureckimi na grzbiecie i z najzupełniejszym spokojem w sumieniu, a przyszedłszy do miasta i zaszedłszy do *hanu* (gospody), wcale nie myślał o ukryciu prawnej i prawej, według niego, zdobyczy. Powitał handzego (*) i wszystkich obecnych, zawiesił sakwy na kółku, przykrył je kilimkiem i zażądał kawy dla siebie i syna, usiadł na otaczającej do koła

(*) Handzi — karczmarz.

izbę szerokiej ławie, na której okrom kilku Serbów, siedział i nieznajomy jakiś Turek. Turek zdawało się ani zważał na wejście hajduka—siedział z podgiętymi pod siebie nogami, milczał i palił fajkę; a kiedy ten ostatni, z przekąsem, w wyrażnej chęci dokuczenia, odezwał się do niego *merhaba salam-alelkum*, Turek zamiast odpowiedzieć *alelkum-salam*, odparł spokojnie i niedbale:

—Safał - giełdy. (*)

Handzi zbliżył się do hajduka i rzekł:

—Dobrze, żeś przyszedł... Książę pytał się o ciebie i będzie bardzo tobie rad...

—O! odparł hajduk—toż to nic dziwnego... My znamy się z sobą od takich lat—i pokazał na Żiwka. Przecież razem pasaliśmy świnie w Szumadyńskich lasach, a potem razem biliśmy Turczyń... O my znamy się z sobą, tak jak mój kinał zna się z moją ręką.

Książę Miłosz rzeczywiście był rad hajdukowi, posadził go obok siebie z prawej strony i kazał przynieść najstarszego niegotyńskiego wina, i powiadał senatorom i naczelnikowi, że ojciec Żiwka jest najdawniejszym jego pobratymem. Senatorowie i naczelnik, dla dogodzenia może księciu, a może dla tego, że i im miłą była obecność jednego z junaków odrodzonej Serbji, okazywali się bardzo względem hajduka gościnnymi—przepijali do niego i rozmawiali z nim o dawnych czasach i minionych bojach. I kiedy oni tak bawili się czaszą i rozmową, wszedł do izby Turek, którego widzieliśmy w ha-

(*) Merhaba i Salam-alelkum są powitaniem, któremi pozdrawiają się wyłącznie muzułmanie. Do chrześcijan mówi się hosz-giełdy a odpowiada się safał-giełdy.

i pozdrowiwszy Turka jak gościa, ukazał mu miejsce na sofie, klasnął na *czubukdzija* i kazał mu przynieść *czubuk* i kawę. (*)

—*Ne habet*! (co słyhać)—odezwał się do Turka.

—Słyhać, kniaziu,—odparł Turek—że Serbowie niedotrzymują traktatów, któreś ty zawarł z padyszachem i twoją pieczęcią podpisał. (**)

Książę spójrzył po senatorach i ministrach pytającym wzrokiem. Jeden z nich odezwał się:

Tłumacz się jaśniej, Islamito... O jakim niedotrzymaniu mówisz?... jakie masz prawo upominać się o traktaty?..—

—Mam prawo—odparł Turek, odejmując cybuch od ust i wypuszczając powoli kłęb dymu—upomnieć się o krew za krew...

Zaręczyłeś, kniaziu, bezpieczeństwo dla podróżujących po twoim kraju poddanych padyszacha... Jechało nas dwóch z Niegotyna do Semendrji, ja i pobratym mój Osman-Effendi... I nie dojechalśmy... Osman-Effendi leży zabity o godzinę drogi od Niegotyna, a ja powróciłem...

Turek począł palić fajkę, a wzrok kniazia zaiskrzył się gniewem.

Naczelniku—rzekł do jednego z obecnych urzędników—nakaz surowol, w moim imieniu, wszystkim niegotyńskim pandurom, aby wyszukali zabójcę... Nie wyjadę z Niegotyna, póki ten oto muzułmanin nie otrzyma zapłaty za krew swego pobratyma.

—Nie masz potrzeby, kniaziu, rozsyłać pandurów—odezwał się Turek, a ukazując na Żiwkowego ojca, dodał:—Ten oto hajduk przyniósł na ramieniu swoim kilimki mego pobra-

(*) Czubukdzija—służący do cybuchów. Serbowie przechowują niektóre zwyczaje tureckie.

(**) Przyłożenie pieczęci zastępuje na wschodzie podpis.

tyman.. A kiedy on mnie pozdrowił powitaniem, które w jego ustach było szyderstwem z mojej wiary, od razu poznałem, że jego ręka poślaza kulę, od której zginął Osman-Effendi... Nie masz potrzeby, kniaziu, rozsyłać pandurów twoich... Oni, szukając, tracą ślad i może niewinni ludzie ucierpią... Ja opłaty nie przyjmę... żądam krwi za krew...

—Cóż ty na to? — rzekł książę do hajduka, który przez cały ten czas milczał i słuchał obojętnie, jak by to nie o niego rzecz chodziła.

—Cóż! — odparł hajduk — hm!.. nie mam nic na to innego do odpowiedzi, tylko to, że ten pies niewierny nie szczeka kłamstwem: że ten co przyniósł na swoich grzbiecie kilimki, postawił kulę Turczynowi...

—Nie będziesz — ze ty, pobratymie kochany, nosił święty tureckich kilimków w swoim życiu! — przerwał książę, kładąc w dłonie dwóch pandurów.

—Weźcie go, osadźcie w więzieniu i trzymajcie aż do dnia targowego... a pamiętajcie, że odpowiadacie za niego własnymi głowami... Jak dzień targowy przyjdzie i ludzie się zjadą, wbijcie ostry pal na rynku, oderznijcie mu łeb, ciało pogrzebce na smętarzu a łeb wbijcie na pal i zostawcie go tam póty, póki białemi nie zabieleje kośćmi!... Idź, bracie, za pandurami!

Hajduk wydmuchnął tytuń z fajki, wstał i wyszedł.

W więzieniu nie stracił on fantazji. Żałował tylko, że nie miał drugiego strzału, to nie byłoby, jak powiadał, komu poznać kilimki. Kazał sobie przywołać Żiwka i trzymał go przy sobie do ostatniej chwili. Stary hajduk obchodził się z synem jak zwykle — nie lepiej ani gorzej, nie czulej ani obojętniej, — nie wspominając mu nic o blizkim na wieki rozłączeniu, ani troszcząc się o zabezpieczenie losu dziecka. Może on liczył na dawną z kniazem znajomość i zażyłość... Je-

żeli liczył, to się przeliczył: bo gdy przyszła niedziela i ludzie po cerkwi skupili się na rynku, wyrok kniazia wykonanym został co do joty. Pandury wbili ostry pal, wyprowadzili hajduka, związali mu w tył ręce, posadzili go na ziemi, jeden z nich wydobył z za pasa kinżał, lewą rękę wziął go za łeb, a prawą rozmachnął się i wyciął w kark.

—Tylko, bracie, od razu — mówił hajduk, gdy pandur miał go za łeb — tylko od razu, po junacku!

Pandur rąbnął, kinżał ugrzązł w karku, i głowa hajduka pochyliła się, ale nie oddzieliła od tułowa. Krew lunęła a nie-naruszone gardło pozwoliło mu jeszcze mówić.

—Oh!... ty kobieta nie junak!... tobie kury rznąć nie ludzi!... Poderznij gardło!

Pandur wyprostował mu głowę, pociągnął ostrzem po gardło i podniósł do góry łeb hajduka, który jeszcze coś mówił, ruszał ustami, ale już niemożna go było zrozumieć.

A ludzie cisnęli się jedni przez drugich, przypatrywali się z ciekawością. Kobiety szczególnie wspinały się na palce i zaglądały i nie jednej robiło się mdło i słabo.

—Oh! lele-kuku!.. kuku-lele!.. — wykrzykiwały cieniemi głosy i utyskiwały na surowość kniazia, każącego zabijać niewinnego chrześcijanina.

—Na cóż mu było brać kilimki!... — powadali męszczyźni.

Wkrótce po nad tłumem na wysokim palu, wzniósł się łeb hajduka, — kilka smużek krwi spłynęło po ociosaniu drzewa, a twarz bladła i zbladła jak niedobielony wosk i stała się niby wilgotna. Zmarszczone czoło, wpół zmrużone oczy, rozwarte usta przerażająco wyglądały. Dolna szczeka odchyliła się, a nad nią długie wasy roztrzepały się jakby je wicher rozstrzepił.

Tłum długo stał pod palem, przypatrywał się i gwarzył. Nad wieczorem rozszedł się i na rynku pozostał tylko płaczący chłopczyzna, na którego nikt nie zważał, którym nikt nie interesował się.

Chłopczyzną tym był Żiwko. Przesiedział on pod palem dzień cały i noc jedną, usnął; a gdy zaświtał poranek dnia następnego, obudził się, przetarł oczy, podniósł się i najpierwszą jego myślą była myśl o ojcu, najpierwszemi wyrazy—wołanie: ojczel! ojczel!.. Martwa głowa hajduka nie mu nie odpowiedziała. Twarz jej bardziej przez noc zblętała, wąsy bardziej się roztrzepały i te ostatnie, pochylając się lekko pod powiewem porankowego wiatru, którego silniejsze podmuchy targały niemi, ożywiały trupią twarz jakimś dzikim, przerażającym ruchem.

Żiwko usiadł pod palem i zapłakał. Dzień się rozwidniał. Ludzie poczęli snuć się po rynku. Ten, to ów zatrzymał się, pomruczał coś do siebie i szedł dalej. Każdy patrzył na głowę hajduka; nikt nie zwracał uwagi na jego dziecko, dla którego, na całym, szerokim Bożym świecie pozostał tylko trupi łeb ojca, wbity na palu tak wysoko, że chłopiec, chociaż wyciągał do niego rączkę, nie mógł go dostać, ani dotknąć.

Jeden z przechodniów zatrzymał się dłużej i pierwszy zwrócił uwagę na Żiwka. Spoglądał on to na głowę starego hajduka, to na płaczącego chłopczykę.

—Czego płaczesz?... — zapytał się przechodzień, podchodząc do pala.

Żiwko nie odpowiedział, bo nie wiedział, jaką dać odpowiedź. Nie wiedział on, czego płacze, bo nie rozumiał strasy, jaką ponosił. Może mu głód dokuczył, może przejął go chłód nocny. Mocniej tylko i gwałtowniej załkał, dla tego, że w łagodnym tonie zapytania dziecięce jego serce przeżuło współczucie.

—Jak się nazywasz?... — pytał dalej przechodzień.

—Żiwko... — odpowiedział tym razem chłopiec.

—Cóż tu robisz?

—Czekam na ojca — odparł Żiwko.

—Gdzie twój ojciec?... —

Chłopiec wyciągnął rękę i ukazał na martwą głowę.

—O! toż niedoczekasz się go do dnia sądnego — rzekł przechodzień wpół do siebie, wpół do Żiwka, i po chwili milczenia dodał:

—Chodź ze mną, chłopcze.

Żiwko i na to nie wiedział, co odpowiedzieć. Dotychczas nie rozporządzał on sobą; rozporządzał nim ojciec; — więc kiedy mu go zabrakło, nie umiał użyć woli swojej na przyjęcie lub odrzucenie propozycji nieznajomego. Opierał się jednakże z razu, spoglądał do góry, jakby z ust ojca czekał rozkazu. Lecz przechodzień przemógł z łatwością opór jego, wytłumaczywszy mu, że ojca przywoła później, kiedy głowę jego zdejmą z pala. Czego dzieciom wytłumaczyć nie można!.. Uwierzył Żiwko i poszedł. Przechodzień zaprowadził go na wieś, leżącą w jednym z wąwozów tych gór, które napelniała sobą Niegotyński obwód.

Wież ta nazywała się *Majdan - Pek*. Dziś Majdan - Pek jest miasteczkiem, zabudowanym na wzór niemiecki. Ale w owych czasach, kiedy Żiwko był dzieckiem, nie było tam domów murowanych, ani sklepów, ani fabryk rządowych. *Pek* (nazwa górnego strumienia) płynął jak dziś; ale płynął sobie swobodnie, rozlewając się wiosenną porą po dolinie, kręcąc się w zygzaki coraz inne każdego niemal roku. *Starica* (nazwa góry), skalista i stroma, stała jak dziś, odziewając się w chmury zapowiadające niepogodę. Ale u stóp Staricy nie miasto, a tylko kilkanaście widać było chałup wieśniaczych, odgradzonych od niej strumieniem i przytulonych do przeciwległej góry, która, jak wszystkie inne, idące wzdłuż Peku, pokryta była gęstym i głuchym lasem. — Idąc z biegiem Peku, przechodziło się na przemian przez wązkie i stronne wąwozy i we-

sołe uśmiechające się zielenią doliny, i spotykało się ciągle to jakieś nie donieszczone przez czas ruiny, to czarne mogiły żużli, wznoszące się wśród obrastających je do koła pokrzyw i burzanów, a na bokach gór dostrzegać się dawały otwory pieczar, czy przejść jakichś podziemnych, urobionych ręką ludzką i prowadzących w głąb łona gór. Te ruiny, te kupy żużli i te otwory pokazywały wyraźnie, że na dolinie Peku mieszkał niegdyś przemysł, który wrywał się, jak kret, w ziemię, wynosił z niej skarby i przepalał je na dolinie, słowem: że niegdyś były tam kopalnie. O kopalniach tych zachowało się podanie pomiędzy mieszkańcami Majdan-Peku, opowiadającymi, że Turczyn tam niegdyś topił *gwoździe* i *bakir* (żelazo i miedź). Lecz sami mieszkańcy nie trudnili się górnictwem. Mieli oni w posiadaniu swoim bogate i obszerne doliny, które mogły by być żyznemi, gdyby kto przeorał je i zasiał. Serb jednakże nie lubi rolnictwa. Uprawą roli trudni się on o tyle tylko, o ile konieczność tego wymaga, przekładając nad nią: chów bydła, owiec, a szczególnie świń. Jako u rozmaitych narodów, rozmaitemi są o przyzwoitości i nieprzyzwoitości wyobrażenia... U nas na przykład pielęgnowanie świń zalicza się do najpodrzedniejszych, jeżeli nie do najpodlejszych zajęć ludzkich; — u Serbów zaś jest ono najmilszym i najprzyzwoitszym zatrudnieniem. Tytuł *świński trgovec* (handlarz świń) znaczy tam tyle, co u nas *zaczny obywatel* i jak my *zaczny obywatelom*, tak oni *świńskim* trgovcóm powierzają zależne od wyborów urzędy. Gdyby mieli oni marszałków, prezesów, sędziów etc., to niezawodnie wszystkich tych dygnitarzy braliby z pomiędzy ludzi, trudniących się hodowaniem nierogacizny. Książ Miłosz Obrenowicz, był także *świńskim* trgovcem i stronnicy jego podnoszą ten szczegół jako dowód prawdziwej jego Serbskości. Mieszkańcy Majdan-Peku nie trudnili się rolnictwem. Po-

siadali oni bydłowiłowce, bo nie można było nie trzymać trzód, mając takie, jako doliny Peku, pastwiska, a więc posiadali najwięcej świń, dla których lasy obfitego i tłucznego dostarczały pokarmu. Lasy i góry, otaczające Majdan-Pek, były prawdziwem *Królestwem*, oddanem na wyłączne posiadanie i użytek tych miłych Serbom czworonożnych. Wyjawszy dzikich, nieprzystępnych ostępów, zagłuchłych i zbyt gęstych kniej i urwistych wąwozów, na wszystkich niemal łagodniejszych pochyłościach, przechadzały się one poważnie, pokwikujać i pochrunkując takim tonem, jakim naprz: pochrzakuje dobrze mający się człowiek, który kontent jest z siebie i nie myśli o jakichś tam obowiązkach, poświęceniach, ofiarach. I miały świnię najzupełniejszą rację: nie miały bowiem potrzeby troszczyć się o nic: — w lasach majdan-pekskich obfitowały we wszystko, w pokarm, który im dęby i buki i rozmaite owocowe drzewa rzucały pod nogi, w miękkie, wygodne na mchach i liściach pośłania i nadto czuwały nad nimi troskliwie oczy Serbów. Co się tyczy tego ostatniego, to jest — czuwania, to to odbywało się z całą skrupulatnością i z całym rozmyślowaniem, przez majdan-pekską młodzież, i nie bez tego, aby przy tego rodzaju pasterstwie, aczkolwiek nieopiewanem przez żadnego, o ile mi wiadomo, ani ze starożytnych ani z nowoczesnych poetów, nie tworzyły się bukoliki. Wyływać one musiały z samego rodzaju zatrudnienia. Młody Serb, wygnawszy swię, pozostawał przy nich i w samotności oddawał się marzeniom. A wiadomo, że samotne marzenia młodego człowieka są wszystkie warjacja mi na dwie nuty: na nutę sławy i na nutę miłości: póki człowiek młody, to te dwie rzeczy — sława i miłość najsilniejszym w sercu jego odzywają się odgłosem. Sława, jeżeli opiera się na idei kraju i ludzkości, dobra i piękna z jednej, na osobistych zdolnościach z drugiej

strony, doprowadzić może młodzieńca do wielkości; miłość zaś, przeprowadziwszy go przez różliczne zachwyty, odczary i złudzenia, doprowadza zwykle do małżeństwa. Ale tak sława jak miłość, zanim staną u pewnego jakiegoś kresu, naszarpią pierwiej, namęczą młode serce, napełniając je to burzą niepokojów, chcen, niecierpliwości, to rozpaczą zawodów, to zachwytem nadziei. A cała ta historia, albo raczej choroba serca najwygodniej odbyć się może, chodząc za świniami.

Gotów kto zarzucić mi, że to nie prawda: że do sławy i miłości potrzeba przygotować serce ludzkie, przysposobić je uprawić niby grządkę pod kwiaty. I ja tak myślałem, póki pomiędzy dzikimi prawie ludźmi nie przekonałem się, że sława i miłość są wrodzonymi w każdym człowieku popędami. Nie potrzeba pod nie przyspasabiać ani uprawiać serca: na nieuprawnem wyrosną one i nawet wybijają tak samo, a nawet może silniej niekiedy i wyżej, jak na najuprawnieszym. Można w człowieku popędy te zgłuszyć, spodliwszy go od niemowlęstwa niewolą, poddaństwem, opanowawszy wszystkie jego chwile, zbydłciwszy go nieustanną, ciężką i ciągłą fizyczną pracą,—lecz, aby w pozostawionym samemu sobie człowieku nie miały one odzywać się—to nieprawda.

W Serbji, do rozwijania tych wrodzonych popędów ku sławie i miłości, potężną pomoc stanowią śpiewy narodowe, w których rapsodycznym sposobem opowiedzianą jest cała bohaterka strona historii Serbskiej. Śpiewy te są—że tak powiem—moralną kolebką ducha młodzieży tamecznej. Młody Serb przenika się niemi na wskrós, wyucza się ich na pamięć, powtarza je i na ich tle rozwija i buduje swoje młodociane marzenia. I najlepszym dla marzeń tych miejscem są właśnie góry i lasy, najwygodniejszym zajęciem—chodzenie za nierogacizną. W górach Serbowi przychodzi natychmiast na myśl królewicz Marko:

Gorom jezdi Kralewitiu Marko, w górach jeździ król Marko,

Gorom jezdi i gorom biesieda: w górach jeździ i gorom biesieda:

Crna goro, puna ti si lada, czarna goro, pełna ci si łada,

Al u tebe ladne vode nie ma, Al u tebie ładne wody nie ma,

Ladne vode, ni erwneho winca, Ładne wody, ni erwneho winca,

Da napoim siebie i konica i t. d. Da napoję siebie i konicę i t. d.

W górach Serb, gdy zaśpiewa, to zawsze chorem, bo śpiew jego podchwycą i zawtórują mu tysiączne echa; w górach, gdy zechce podumać, to mu nikt nie przerwie, ani wążący się w obłokach orzeł, ani szepcące liśćmi odwieczne swoje sekreta drzewa, ani nakoniec pogardzone u nas czworonożne, przechadzające się sobie spokojnie i poważnie i poszukujące grzybów i żółędzi.

Do takiej szkoły dostał się nasz Żiwko. Przypadkowy opiekun jego i dobroczyńca posiadał świnię i przyprowadziwszy go z sobą do Majdan-Peku, wysłał go od razu w góry z innymi chłopakami i ze starszymi młodzieńcami. W towarzystwie rówieśników i starszych, rósł Żiwko i kształcił się.—Z początku przysłuchiwał się rozmowom ich i śpiewom, gdy, zgromadziwszy się w lesie pod rozłożystym bukiem, rozmawiali i śpiewali; następnie z upływem lat, począł i on w rozmowach tych i śpiewach brać udział co raz większy i większy, aż nareszcie stanął na równi z nauczycielami swoimi.

Edukacja ta dopełniła się we wsi. Tam starcy uczyli ich dziejów bliższej epoki narodowej, opowiadając dzieje własnych żywotów. Nie było pomiędzy starcami ani jednego, któryby nie walczył pod *Crnym Georgiem* lub *Miłoszem*. Młodzież upijała się ich opowiadaniem, serca jej rosły, wzdymały się, w uszach dzwoniły bojowe okrzyki: „na jurisz!... udri-bre!...”

Natura obdarzyła Żiwka gorącym sercem i bujną wyobraźnią, a gdy na taką wyobraźnię padły takie ziarna, jak opowieści sławnych czynów ojców i prapjców, to zrobiło mu się

ciasno i nisko w majdan-pekskich górach. Wyrывał się myślą i chęciem w świat, na nieznany jakiś przestwór, wlatywał na szczyt jakiejś góry i ze szczytu rozglądał dookoła. I rzeczywiście wdrapywał się na najwyższe, jakie były w okolicy miejsca, a gdy mu jeszcze nie było dość wysoko, wlażył na drzewa, i jak Goszczyńskiego *Nebaba* po Smilańszczyźnie, bładził oczyma po przestrzeni, jaka się pod nim rozlegała. Na tej przestrzeni, niby gęsto ustawione na sianozęci stogi, stały góry i góry, a wszystkie zielone, wyjąwszy jedną *Staricę*, a wszystkie jednakiego stożkowego kształtu, jakby jakaś potężna ręka urobiła je i wygładziła umyślnie. Czasami ze szczytu któregoś z nich wysunął słup dymu i wyglądał jak olbrzymia płowa kita na zielonym bukcie drzew. Za górami siłniały pasma jakiegoś, niby chmury rozwleczone po horyzoncie, niby mur opasujący dookoła niwę nasadzoną górami. Było to pięknie, dobrze wyglądał ten porządek zaprowadzony przez Stwórcę w majdan-pekskiej okolicy, ale w Żiwku zrodziło się zapytanie:

— Czy tak na całym świecie?

Myśl jego rwała się po za ten mur czy chmury.

Najwyższym punktem w pobliżu Majdan-Peku jest szczyt *Staricy*. Dochodzi się doń łagodną z razu od południa pochyłością, która służy niby za piedestał stromięcym się raptownie skałom. Południowi Słowianie taką o tworzeniu się skał opowiadają legendę. Kiedy Pan Bóg ukończył ziemię, ogładził ją i uporządkował, kamieni nie było: na całym świecie był grunt, wydający zioła, trawy, zboża i drzewa. Było to dobrze, ale zbyt jednotonnie. Dla urozmaicenia więc ziemi kazał Stwórcę jednemu (nie pamiętam któremu) z Archaniołów ponasypywać gdzie niegdzie kamieni. Archanioł nabrał kamieni w duży worek i, chodząc tędy i owędy, siał je po górach. Dodają oni, iż przechadzka ta archanielska skończyła

się w Czarnogórze, albo raczej, że obszedłszy cały świat, przyszedłszy tam, znudził się Archanioł noszeniem ciężkiego worka i wszystkie pozostające w nim kamienie wytrząsł na Czarnogórę. Musiało kamieni tych być jeszcze bardzo dużo, kiedy tyle dostało się Czarnogórcom... Lecz i *Starica* pod tym względem nie została upośledzoną. Zdaje się, jakby kto nasypał na tym miejscu kupę skał, z których spodu wrastają w ziemię, a zwierzchnie piętrzą się i wspinają bezładnie. A nie drobne to kamyki, lecz olbrzymie masy, ciężkie, długie ściany. Wieki przyodziały je w jednych miejscach w zielony strój mchów, w drugich — w trawy i drzewka, wyrastające w rozpadlinach. I pięknie im w tym przystrojeniu, chociaż dodać należy, że skąpym jest ono, ale tym piękniejszym: nie może oko dość nalubować się i nacieszyć drzewinką, gdy dostrzeże ją z dołu, umieszczoną na nagim, płowym kamieniem łonie: — zdaje się, jakby się dostrzegło ziarenko uczucia, zaronione w głębi zimnego nieczułego serca, jakby się znalazło kropelkę wilgoci na spiekłej, piaszczystej pustyni.

Trudno było dostać się na szczyt *Staricy*, — to też nikt i nie kusił się o to. Stopa ludzka nie deptała wyniosłego jej czoła, oko ludzkie nie przeglądało tajemnic jej rozpadlin, jej pieczar naturalnych, jej mchów i zarostów. Umysł jednakże ludzki nie lubi próżni: jest on badawczym, miłującym zaciekanie się w tajemnice, które — jeżeli nie jest w stanie zgłębić dokładnie — tłumaczy sobie zagadkowym sposobem. Domyślano się więc rozmaitych tajemnic na *Staricy*. Opowiadano o zamieszkujących ją duchach, o olbrzymich węzach, o niedźwiedziach i orłach. Domysł o duchach był utworem fantazji ludowej, węże wchodziły także do fantastycznej kategorii; ale niedźwiedzie i orły były rzeczywistością. Niedźwiedzi było słychać niekiedy, jak w cichą noc rozlegało się głuchym echem

ich mruczenie, a orłów codzien prawie widać było krążących lub spoczywających na skałach.

Žiwko był już na wszystkich górach, — nie był jeszcze na Staricy.

— Oh! gdybym to ja ze Staricy mógł popatrzeć się na świat Boży! — myślał sobie w duszy.

I myśl ta zamieniła się w końcu w pragnienie. Rozpytywał się on, czy kto nie był na Staricy, ale nikt nie był. Przysłuchiwał się opowiadaniom o jej tajemnicach i ciekawość jego coraz wzrastała.

Od chwili jak pragnienie to wyrodziło się w duszy Žiwka, przestał on z trzodą swego opiekuna chodzić po odleglejszych górach. Wyganiał ją dzień w dzień pod Staricę, a zachodząc coraz z innej strony, obszedł w końcu podstawę góry do koła. Rozpatrywał on ścieżki, prowadzące na nią i widział ich dużo i puszczał się wieloma, lecz żadna nie zaprowadziła go na szczyt; każda kończyła się u podnóża ściany skał, lub gubiła wśród przewałów kamieni.

— Dójdę, muszę dojść, aż tam wysoko! — mówił Žiwko sam do siebie.

A jeżeli kto powie sobie: „dójdę!”, i jeżeli to „dójdę” z silnem wypowiedziane jest postanowieniem, to i dójdzie. Młodość szczególnie posiada ten przywilej dojścia.

„Łam czego rozum nie złamie!” powiedział wieszcz nasz, śpiewając o młodości. To też młody Žiwko postanowił złamać trudności — i złamał je.

Razu pewnego usiadł on sobie pod Staricą i zadumał się, i ruszał ustami, jakby myśl jego formowała ciche wyrazy i roniła je bez głosu. — I podumawszy tak przez czas jakiś, jął się do opatrywania broni, bez której żaden Serb nie wychodzi z domu — a w którą zaopatrzył go gospodarz jego. Wydobył z za kuszaka kinżal i poprobował palcem ostrza. Wy-

dobył pistolety, wykręcił je, odczyścił, nabił dużym nabojem, podsypał świeżego na panewkę prochu i przykręcił skałki. Zrobił to samo i z janczarką, której w lufę wpędził kulę, obwinawszy ją dobrze szmatką. A skończywszy te przygotowania, i powiedziawszy półgłosem:

— Teraz i niedźwiedziom i węzom się obronę; a od duchów — dodał — tém się będę bronił: — przeżegnał się i ruszył.

Szło mu to trudno z razu. Po kilkakrotnie powtarzać musiał próby i po kilkakrotnie zdawało mu się, że będzie musiał zaniechać zamiar zuchwały. To się usuwał grunt pod nogami, to takie spotykał zawady, których przewyciężyć nie mógł. Obchodził, zachodził, próbował, drapał się, czepiał krzewów i roślin, przeskakiwał przez takie miejsca, w których krok chybiony lub niepewno wykonane skoczenie mógł życiem przepłacić, szedł takimi krawędziami, które mu co chwila groziły runięciem i pociągnięciem go w przepaść i rozbiciem o ostrza kamieni — ale szedł ciągle. Częstokroć musiał schodzić i znów się piąć do góry. Oglądał się za niedźwiedziami — niedźwiedzi nie było; przypatrywał się, azali nie obaczy węży — węże nie pokazywały się; chociaż wyobraźnia nawiewała mu ciągle do słuchu niedźwiedzie mruczenie i węzowe syczenie. Zdarzały się i miejsca wygodniejsze — łączki i ciecienienia skał; na nich Žiwko spoczywał, a spoczawszy, szedł dalej. I tak skacząc i przełaząc, schodząc i wspinając się z łączki na łączkę, ze skały na skałę, przełamał wszystkie trudności i dostał się nareszcie na szczyt Staricy. Stał, odechnął, obejrzał się, ale cóż? — Nic widzieć nie mógł. Horyzont szarzał, powietrze wiało chłodem, oko tonęło w przestrzeni, w której nic rozpoznać nie można było.

Žiwko, biorąc się do przedsięwzięcia swego, obliczył się z własnymi siłami; lecz nie obliczył się z czasem. Wyszedł rankiem z dołu, a zaszedł na górę wieczorem. Nic nie zobaczył

i ujrzał się uwięzionym na szczycie na całą noc, gdyż o powrocie nocną porą ani myśleć można było. Zrobiło mu się jakoś, jak to powiadają: „nie jako, ale wyboru nie było” — trzeba było nocować na Staricy. Samo nocowanie, nie trwożyło go ani martwiło bynajmniej, lecz przedstawiły się dwie poboczne przyczyny, z których jedna trwogą, druga zmartwieniem go przejmowała. Trwogę wyrodziły w nim opowiadania w Majdan-Peku o tajemnicach góry, o włóczących się po nich duchach; zmartwieniem napoiły go pozostawione w lesie bez opieki świnię. Bał się z jednej strony duchów, z drugiej strony gospodarza. O duchach nie wiedział jeszcze dokładnie, co one mogą mu uczynić złego; ale o gospodarzu wiedział najdokładniej w świecie, że go zbije na winne jabłko, i że to zabicie nie skończy się na jednym razie, jeżeli (co było przypuszczalnym) kilka, a może kilkanaście świń przepadnie. Zainteresowały go szczególnie prosięta i tak zajęty wyobraźnię jego, że zapomniał o duchach.

—Co się z niemi stanie! — wołał głośno na szczycie Staricy, a echa powtarzały wołanie jego — w co się one obrócą!... kto je obroni, jeżeli wilk napadnie!... Och, *majka jegol* (ulubiony wykrzyknik Serbów)... a jam o tém ani pomyślał!... wolałbym był nie chodzić na Staricę!...

I takimi myślami trapiiony, biedny nasz Żiwko przepędził noc całą, a doczekawszy się rozświtu, nie rozglądał się już po widnokręgu, nie zachwycał się jutrzeńką, ale jak skoro zdołał rozpoznać górę, puścił się na powrót. Starał się on tą samą drogą zejść, którą wyszedł, lecz śpieszył się i w pośpiechu nie rozpoznał śladów wczorajszych, które, prawdę powiedziawszy, były nie do rozpoznania. Grupy skał i konturna spadków Staricy inaczej przedstawiały się z góry, jak z dołu. Więc, na chybił trafił, bohater nasz puścił się pierwszą łagodniejszą pochyłością. Lecz, zaledwie zrobił kilka kroków,

grunt pod nim osunął się i on zsunął się kilka sążni. Zatrzymał się, oparłszy się nogami, o coś twardszego, — ale nie na długo się zatrzymał. Obejrzał się i ujrzał się na krawędzi urwiska, wiszącego nad jeżącemi się niżej skałami. Leżąc na brzuchu prostopadle do krawędzi, głową tylko mógł obracać i wypatrywać drogę do wydobycia się z tego położenia. Ani krzewinki żadnej, ani kamyka nie było pod ręką. Po krótkim rozpatrywaniu się, przyszedł Żiwko do tego przeświadczenia, iż najmniejsze ruszenie się grozi mu śmiercią niechybną — rozbiciem o skały, których ostrza niewyraźnie pokazywały mu się z po za krawędzi urwiska. Znalazł się on w takim położeniu, z którego go już żadna pomoc ludzka wydobyć nie mogła. Na próżno spoglądał do góry, na pochyłość, po której się zsunął: — wznosiła się ona nad głowę jego prostopadle prawie, gładko, milcząco; napróżno puszczał oko wzdłuż krawędzi — nie było najmniejszej nadziei ratunku.

Smutnem jest takie położenie dla młodego, rwącego się w świat serca. Roilo świat szeroki, nieograniczony przestwór życia — a znajduje śmierć. Skończyły się rojenia na krawędzi urwiska.

—Wszystko się skończyło!... — powiedział Żiwko do siebie i począł modlić się. W modlitwie swojej zawarł on dwie rzeczy: polecał duszę Panu Bogu i prosił Go o cud.

Boże ratuj! — zawołał w chwili, kiedy osuwała się z pod nóg jego opora.

Parta ciężarem jego ciała, krawędź odłamała się i Żiwko spadł. Pęd spadania zaćmił mu wzrok; nie widział.

Lecz w tej prawie chwili, w której oderwał się od krawędzi urwiska, uczuł że ciało jego uderzyło o inne ciało, miękkie, elastyczne, na którym podskoczył niby piłka i zwaliwszy się bokiem, uczuł pod sobą jakiś łomot i usłyszał pisk. Równocześnie

czesnie z tym piskiem odzyskał widzenie i natychmiast chciał oglądać się do koła, dla ocenienia położenia swego, gdyż wyraźnie miejsce, na które spadł, nie było ostrzem kamienia, ale czémś inném, czego jednakże od razu rozpoznać nie mógł. Lecz w tejże samej chwili usłyszał nad sobą szum, po którym nastąpiło silne uderzenie, pisk, bicie i drapanie. Wszystko to razem ogłuszyło Żiwka, ale ból, pochodzący od bicia i drapania, oddziaływając na organizm jego, przywołał go do zmysłów. Żiwko instynktowie począł bronić się od uderzeń i po pierwszym postawieniu się w pozycji obronnej poznał, że ma do czynienia z orłem. Wkrótce po pierwszym spadnięciu na Żiwka, orzeł opuścił go, wznosił się w powietrze i Żiwko miał czas poznać, iż znajduje się w orlém gnieździe. Od razu stało się dla niego zrozumiałem to elastyczne, miękkie ciało, o które uderzył się. Spadając z krawędzi urwiska, spotkał się z podnoszącym się do lotu orłem, po nad samem jego gniazdem. Spotkanie to, osłabiło pęd i uchroniło Żiwka nie od śmierci, która by go nie spotkała już w gnieździe, ale od złamania ręki lub nogi. Zdrow i cały podniósł się nasz Żiwko, usiadł i gdy zabierał się do dalszego oceniania tego nowego swego położenia, usłyszał szum skrzydeł i bojowy pisk orli. — Wzniósł wzrok do góry: — dwa gromne orły krążyły nad gniazdem.

Poznał Żiwko, co go czeka. Poznał, że pierwsze zaatakowanie przez orła było próbą wyrzucenia go z gniazda; próbą, która zamienić się ma w bój na śmierć. Spójrztał w gniazdo, — w gnieździe pisklę jedno tuliło się do obwodu wyłobienia, a drugie leżało nieżywe. Z gniazda znów podniósł oczy do góry i w tej chwili machinalnie zerwał się i stanął — i szybko wydobyl kinzał z za pasa. Obydwa orły z powietrza prostopadle prawie spadały na gniazdo. Żiwko nastawił ostrze kinzału. Jeden z orłów uderzył o nie piersiami, ale tak silnie,

że cały kinzał Żiwka pochłonał w swoje ciało i padł od razu u nóg jego; lecz drugi, atakujący go z boku, powalił go i utopiwszy szpony w jego odzież, począł go bić skrzydłami i dziobem. Przeciwno temu ostatniemu Żiwko nie mógł użyć kinzału, który pozostał w ciele pierwszego orła: wszczął więc z nim bój gołemi rękami. A był to zacięty bój... Orzeł i Żiwko rozwinęli całą wściekłość rozpaczy. Orzeł dziobem starał się zadawać ciosy w twarz i głowę przeciwnika, a skrzydłami tłukł go po rękach; Żiwko jedną ręką zasłaniał głowę, drugą usiłował odpechnąć ptaka od siebie. Probował on użyć pistoletów, które miał za pasem, lecz orzeł, jakby myśl jego odgadrywał, nie dawał mu czasu sięgnąć za pas. Uderzenia po uderzeniach spadały szybko, gwałtownie; uderzeniom towarzyszył pisk jakiś wściekły i głuszający łopot. Ta walka człowieka z ptakiem była piękną — i rozstrzygnęła się na korzyść człowieka. Żiwko zwyciężył orła. Udało mu się pochwycić go za kark, zdusić — i udusić. Orzeł opuścił skrzydła, wysunął szpony i obwisł w rękach Żiwka.

Pokonawszy przeciwników swoich odetchnął Żiwko z głębi piersi, odetchnął „pełno, szeroko,“ jak Farys Mickiewicza, po prześcignieniu wichrów arabistańskiej pustyni. Twarz jego ociekła krwią, na ciele czuł ból: — był zbity i podrapany.

W krótkim przeciągu czasu tyle wrażeń wstrząsnęło jego umysłem, że nie mógł od razu przyjść do siebie. Pewność śmierci... cudowne ocalenie... walka z ptakami, niosąca znów śmierć... zwycięstwo — mknęły mu szybko przez myśl, pochłaniając jedno drugie. Jasnym tylko było dla niego, że żyje — więc podziękował Panu Bogu. I dopiero, po uczynieniu aktu dziękczynienia, serdecznego, jakiego nigdy w życiu nie czynił — chociaż, jako prawowierny Chrześcijanin, modlił się co wieczór i co rana — począł rozpatrywać się do koła siebie. Wiedział się w obszernem gnieździe orlém, ułożonem z kamien;

i chróstu i wystanem mehem, suchemi ziołami i pierzem. Widział się panem tego gniazda, zdobytego kosztem życia trzech istot: dwóch starych orłów i jednego pisklęcia. Drugie pisklę tuliło się do obwodu gniazda i co chwila próbowało wyskoczyć przez opaskę chróścianą. Podnosiło puchowe skrzydełka i podskakiwało, jakby chciało wylecieć. Żiwko przez czas jakiś przypatrywał się tym próbom orlęcia i poczęło mu się robić rzewnie i w końcu żal mu serce ścisnął. Przypomniat sobie swoje na świecie sieroctwo. Przyszło mu na myśl, że i on w gwałtowny sposób pozbawionym został ojca, i nie pozostał mu ani brat ani siostra — aż jakiś miłosierny człowiek przygarnął sierotę. Przypomniat sobie i blady łeb ojca na palu.

—A i to orle—myślał dalej—patrzy się na trupy ojca i matki i brata.. i ono tak osierociałe, jak ja...Mnie ludzie przygarnęli, a jego, kto przygarnie?...zdechnie biedne z głodu we własnem gnieździe.

—Nie!... nie zdechnie!... zawołał głośno — Ja mu będę opiekunem i bratem!...

Przyszedłszy do tego postanowienia, zabrał Żiwko orle i jął schodzić z góry. Schodzenie przyszło mu nie bez trudu, bo, jak wiadomo, orły gniazda swoje w niedostępnych zakładają miejscach. Ale snadź Opatrzność w szczególną naszego Żiwka wzięła opiekę; bo znalazła się pochyłość, po której do gniazda nie można by dostać się z dołu, ale która z góry pozwalała zsunąć się na łączkę i z tej łączki wydostać się na bezpieczniejsze przechody. Trzymając orle delikatnie i ostróżnie, śpieszył Żiwko na dół, a stanawszy na pewnym już gruncie, ruszył pędem do miejsca, w którym wczora zostawił swoje świnię.

Chodził Żiwko po lesie i szukał, zaglądał w gęstwinę i krzaki—napróżno. Widział po ziemi ślady:—tu chodziły, tu spoczywały, tu poryły, ale—cóż z tego! kiedy żadnej świni spotkać nie mógł. Po długiem nareszcie szukaniu, spotkał jedną — i o ma-

ło nie zapłakał!... Nie poznała go... stanęła, sapnęła, fuknęła i niby dzika w krzaki uciekła.

—Kiedy tak — rzekł do siebie — to już nie mam po co wracać do Majdan-Peku... Potłukłem się na Staricy... zbiły mnie orły... jeszcze i gospodarz ma mnie bić!... E!... pójdę w świat.

I jak powiedział, tak zrobił. Zeszedł nad Pek, umył się w strumieniu i poszedł w świat.

Jeszcze w Serbji nie jest tak źle, jak w niektórych ucywilizowanych krajach, aby człowiek chodzący po kraju bez roboty i bez pieniędzy, miał koniecznie umierać z głodu. Można tam nic nie robić, nic nie mieć, i pomimo to żyć. Nawet Serbowie mają wrodzony do pracy wstręt, — wolą bawić się handlem, — a komu na handel nie staje, ten woli chodzić, przepędzać czas na gawędce po *hanach* (karczmach), żartować z Cincarów, Macedonczyków, Cyganów, Żydów i Bolgarów, ale do pracy nie da się namówić. Uspodobienie to jest tak powszechnem, że powstała w Serbji osobna klasa tak zwanych *betiarów* (beżennych włóczęgów) żyjących z dnia na dzień, bez jutra i pochopnych tylko do zaburzeń w kraju. W 1848 roku rząd pozbył się ich ryczałtowym sposobem, namówiwszy na wzięcie udziału w wojnie Węgierskiej i dawszy im Kniczana na jenerała; a gdy wojna skończyła się, obstawił mocną strażą granicę i nie puszczał ich na powrót. Nie wiele to jednakże pomogło; gdyż *betiary* znów namnożyli się.

Żiwko tedy, wykonawszy postanowienie swoje, jako jeden więcej *betiar* wystąpił w Serbji. Zachodziła jednakże mała różnica jedna pomiędzy nim a *betiarami* w ogólności różnica. *Betiary* żyją bez celu, a on miał cel życia: — wychowywał orla. Cel ten ułatwił mu na samym wstępie wystąpienie w świecie. W pierwszym bowiem hanie, do którego zaszedł, *hadzi* (karczmarz), ujrawszy u niego orle, natychmiast zaproponował mu sprzedaż, a gdy Żiwko odmówił, dał mu jeść i zatrzymał go

w nadziei, że da się namówić i odstąpi płaka. Żiwko jednakże nie dał się namówić i poszedł dalej, i gdzie zaszedł, wszędzie ludzie przyjmowali go chętnie, gościli i raczyli, dla orła. Z tego powodu i orzeł miał się dobrze, a przy nim i Żiwko. Orzeł rósł, porastał w pierze; Żiwko mężniał i ocierał się pomiędzy ludźmi.

Ocieranie się to było niejako dokonaniem, albo raczej dopełnieniem edukacji Żiwka. Napatrzył się on na wiele niewidzianych rzeczy, nasłuchiwał się rozmaitych rozmaitości, pomiędzy którymi, jako najważniejsze uważać należy dzieje narodowe, których uczył się, słuchając rozpowiadań o wypadkach na miejscach, na których zaszły. Zaszedł on południowym pograniczem Serbji aż na Szumadję, a z Szumadji środkiem kraju dotarł do tureckiej granicy i zawróciwszy ku północy doszedł do Dunaju. Na pograniczu, po strażnicach, dowiedział się o zbytkach Arnautów i miał nawet nieraz sposobność zamienić z nimi po parę strzałów, przez płot, którym Serbja od Turcji się odgradziła. Nad Dunajem, na granicy Austriackiej, gdzie strażnicy mniej potrzebują mieć się na baczności, nauczył się i nie bardzo ważnych przedmiotów, jak na przykład grać w karty — w *dziandara* i w *kończynę*. (*) Wszystko to gromadziło się w nim w jedną całość i formowało z niego skończonego *betiara*. Nabrał on pewności siebie, zaufania w siebie i zarazem przekonania, że owe sławne dzieje, których ojczyzna jego była teatrem, nie przeminęły bezpowrotnie: — że trzeba czekać, a można się doczekać. Wyobrażnia jego ukłótyła się powoli tym wyrazem: „czekać”. Czekał więc, chodził i nie nie robił.

A orzeł rósł, potężniał. Wychowywał się on prawie jak

(*) Dziandar — gra w karty, kończyzna znana jest i u nas i bardzo rozpowszechniona na Wschodzie.

na wolności, bo mu Żiwko skrzydeł nie obcinał, szponów nie tępił, ani go więził w klatce, ani mu kładł na nogi hańbiące pęta, któreby utrudzały jego chód lub lot. Całą odmianą orlego jego losu było, iż nie rósł na skałach wśród orłów, ale na dolinach, wśród ludzi. Włóczył się on z Żiwkiem razem, siedząc na jego ramieniu, a niekiedy lecąc po nad nim. Zdarzało się tak, że gdy Żiwko puszczał się w drogę, orzeł zrywał się i odlatywał i krążył, latał po skałach i górach, nie było go widać czasem przez dzień cały i nad wieczorem dopiero przylatywał do opiekuna swego. Wówczas zawsze znać było po nim, że go szukał: w powietrzu wydawał okrzyk i z piskiem, pędem kuli, zlatywał ku niemu. Pisk ten i pęd przypominały Żiwkowi walkę w gnieździe z jego rodzicami, kiedy ci z wściekłością rozpaczy usiłowali wyrzucić go. Lecz młody orzeł nie wiedział o tej walce i był z Żiwkiem zupełnie jako brat z bratem. Oswoił się z ludźmi, ale do opiekuna swego przywiązał się i umiał go wśród największych tłumów rozpoznać. Po jarmarkach, przechadzał się po rynku swobodnie, pozwalał się każdemu zbliżać się do siebie, przyjmował karesy, pożerał mięso i ochłapy, którymi go chętnie częstowano, ale nikomu nie dał się wiać, za nikim nie poszedł, tylko za Żiwkiem, z którym zawsze nocował, siedząc przy jego głowie. Przyjaźń ta orła i człowieka była dziwną i nierozzerwaną. Serbowie kiwali głowami i mówili:

— *Otca niego!*... kto by się spodziewał, aby orzeł mógł tak się kochać z człowiekiem!...

I Żiwko, z powodu tej zażyłości z orłem, stał się znanym w Serbji. Wszędzie byli mu radzi, wszędzie go przyjmowano, po wsiach i miasteczkach dzieci gromadą za nim chodziły, gdy szedł z orłem na ramieniu, a dziewczęta ciekawie wyglądały przez okna.

Kto nie wie, niech się dowie, że ciekawość jest jedną

z najsilniejszych dziewczych własności. Ciekawością zgrzeszyła najpierwsza kobieta w raju i pozbawiła siebie i ojca rodzaju ludzkiego i cały ród ludzki szczęśliwości bez granic. Ciekawość, powiada przysłowie, jest pierwszym gradusem do piekła. A jednakże pomimo tego wszystkiego, dziewczęta nie mogą powstrzymać się od ciekawości. Niech coś tylko pokaże się im takiego, czego one nie widziały, to już oczów oderwać nie mogą.

To też, gdzie tylko Żiwko i orzeł pokazali się, we wszystkich oknach, we wszystkich szparach były oczy, które pęty na nich patrzyły, póki, bądź wprost, bądź z ukosa, można było ich zajrzeć.

Ale nikt tak nie rozciekawiał się, jak Lubica, córka jedynaczka Simy Pawłowicza.

Gdy Żiwko po raz pierwszy zjawił się w Gładowej, gdzie mieszkał Sima Pawłowicz, i gdy przypadkiem przeszedł мимо jego domu, Lubica o mało okna głową nie wytłukła, a gdy przechodzący *betiar* zniknął z przed okna, wybiegła na podwórze, z podwórza na ogród, spinała się na płoty i ścigała go wzrokiem. A gdy Żiwko znikł tak, że już go dojrzeć nie mogła, pędem powróciła do domu i stanąwszy przed ojcem zapierzona i zaczerwieniona, tak do niego przemówiła:

—Ojcie, ja chcę widzieć orła z blizka!...

—A to znów co takiego! — odpowiedział Sima tonem do brotliwej wymówki — skądże ja tobie, moje dziecko, wezmę orła?...

—Nie potrzeba go brać — mówiła śpiesząc się Lubica — ale potrzeba tylko zawołać *betiara*, u którego on siedzi na ramieniu — i opowiedzawszy ojcu, że widziała człowieka z orłem, który udał się ku rynkowi miasta, dodała przymilając się:

—Ojcie mój, ojcie!... pójdz i zawołaj go, a śpiesz się, bo on może odejdzie...

Sima Pawłowicz uśmiechnął się, wstał, wziął w rękę cy-

buch i kapciuch i nie mówiąc udał się na miasto. Lubica usiadła przy oknie.

Lubica była jedynaczką bogatego kupca, który ją rozpieszczał tak, jak tylko jedynaczka mogła być rozpieszczoną. Nie było nic takiego, czego by stary Sima Lubicy odmówił. Została mu się ona jedna po żonie, którą pojął w podeszłych będąc już latach i która rozstała się z tym światem, wydając na świat Lubicę. Miała ona ośmnaście lat niespełna, była niebrzydka, a szczególnie czarnymi oczami umiała tak jakoś patrzeć filuternie i ogniście, że pomimowolnie trzeba było zapatrywać się na nią, a przy tem posiadała kilka tysięcy dukatów na wiano, co w Serbji ma swoje znaczenie. Było też kilku starających się o jej rękę, lecz ona zbywała ich ni tem ni owem, a Sima ani jej odmawiał nikomu, ani przyrzekał, starając się o to jedynie i nadewszystko, aby jej we wszystkim dogodzić. To też ubierała się niby księżniczka jaka: pełno miała na sobie największych dukatów, i we włosach i na piersiach, — jej kaftaniki, szalwary i suknie były z czystego jedwabiu, — jej bransolety, pierścionki i kółczyki, — z prawdziwego złota, a co najdroższymi futerkami podbite były jej chałaciki.

Gdy Sima wyszedł na miasto, Lubica usiadła przy oknie i patrzyła na drogę, którą ma powrócić. Niecierpliwiło ją, że ojca długo widać nie było.

—Może już orła nie ma w mieście!... mówiła do siebie — o! czemuż sama nie zawołałam *betiara*!... byłby przyszedł, bo dla czegoż-by nie miał przyjsć!... A jeżeli poszedł śpiesznie, to go już ojciec nie dogoni. O! i ja orła nie będę widziała...

I zasępiła się Lubica. Lecz od razu zapomniła o smutku, gdy ujrzała wchodzących przez wrota: ojca i Żiwka z orłem.

—Masz, czegoś chciała! — rzekł Sima, wprowadziwszy Żiwka do izby.

Lubica spuściła głowę i z podłogi spoglądała na pysznego ptaka, który zeskoczył z Żiwkowego ramienia i chodził po izbie.

—Co za śliczny ptak! — odezwała się, podchodząc ku niemu i wyciągając rączkę, dla pogłaskania go.

Orzeł zatrzymał się, — Lubica przysiadła i pieścić się z nim poczęła.

—Co za śliczny ptak! — powtarzała co chwila.

A Żiwko myślał sobie:

—Co za śliczna dziewczyna!

—Ojcie, kup mi tego orła!... rzekła Lubica...

Stary Sima uśmiechnął się i zwracając się do Żiwka, zapytał:

—Co chcesz, człowieku, za orła?

—Nic — odparł Żiwko — ja bym go za żadne skarby świata nie sprzedał.

—Ojcie, kup mi tego orła!... — powtórzyła dziewczyna błagającym tonem.

—A jakże ja go, moje dziecko, kupię, kiedy on nie jest na sprzedaż! — odpowiedział Sima — pogadaj sama z człowiekiem; może on ci go odda.

Lubica odwróciła głowę, bystro spojrzęła Żiwkowi w oczy, spotkała się z jego wzrokiem i spuściła głowę.

Krótko to była chwila, jak błyskawiczne mgnienie, a jednakże ważna: bo w tej krótkiej chwili, z tego przelotnego, powietrznego skrzyżowania się dwóch wzroków urodziło się — ziarno miłości.

Chłopiec i dziewczyna spojrzeli sobie w oczy, i w tym spojrzeniu, tak z jednej jak z drugiej strony, wyraziła się chęć posiadania ptaka. Lubica chciała go dostać, Żiwko chciał go

zatrzymać. I ona i on mieli silne postanowienie, nie odstąpić od swego „chcę”. Jakież więc być mogło bezpośrednie następstwo tego postanowienia?... Oczywiście, nie inne, jeno — walka, napasć z jednej strony, z drugiej obrona.

I była walka. Rozpoczęła się ona od tego pierwszego spojrzenia.

Lubica powiedziała sobie w duchu:

—On mi da tego ptaka.

Żiwko powiedział sobie w duchu:

—Nie dam jej tego ptaka.

Od tej chwili ośmnasto-letnia dziewczyna stała się napastnicą; dwudziesto-kilkuletni chłopiec został obrońcą; a przedmiotem napasć i obrony był orzeł.

Sima zatrzymał Żiwka na noc, bo pomyślał sobie:

—Dziewczyna napięści się z ptakiem, nagłaszcze się go i zubożętnieje... — Rzekł więc, do mającego się ku odejściu Żiwka:

—Dokąd śpieszysz się, człowieku!... Zostań u mnie prze-nocuj... Czy na ciebie kto czeka?... może jaka czarnobréwa?...

Na wyraz „czarnobréwa”, znów niechcący skrzyżowały się na moment wzroki młodych ludzi. Żiwkowi coś szepnęło:

—Gdyby taka czarnobréwa czekała gdzie na mnie... o! to... pozazdrościłbym skrzydeł memu orłowi...

Westchnął więc — niewiedzieć dla czego, a Lubica przytu-liła się do orła, który w tej chwili strzepił pióra i wyciąga-jąc szyję ocierał głowę o jej piersi. Nie można zaręczyć, że i tych pieszczot nie zazdrościł ptakowi nasz bohater.

Orzeł, jakby rozumiał o co rzecz chodzi, przez cały dzień bardzo chętnie garnał się do dziewczyny i z pewną gracją przy-jmował jej pieszczoty. Lubica nie mogła się nim nacieszyć.

—Ojcie! — rzekła, gdy na chwilę oddalił się Żiwko z iz-by — ty mi tego ptaka kupisz... kupisz koniecznie!... albo!...

—Albo, co? — zapytał Sima z uśmiechem, przyzwyczajony do kaprysów rozpieszczonej córki.

—Albo! oddam za niego wszystkie moje dukacze, kołczyki i korale, wszystkie futra i jedwabie.

—A jeżeli *betiar* nie weźmie, przecież słyszałaś, jak mówił, że nie odda orła za żadne skarby na świecie...

—Za żadne?... — zapytała dziewczyna ze zdziwieniem, i popatrzyła uważnie na wchodzącego w tym momencie Żiwka. Wydał się jej dziwnym człowiekiem, który jej kaprysowi „za żadne skarby” dogodzić nie chce. Dotychczas nikt się jej nie sprzeciwił. Ona była przekonana, że każdy junak z Gładowy, z Radziejewa a nawet z Niegotyna, z radością wykonałby najdziwniejszy jej rozkaz. Aż znalazł się jakiś *betiar*, który zarzucił sobie z jej dziewczęcej potęgi... Ubodło ją to do żywego; czuła się obrażoną. Postanowiła więc zemścić się, ukarać *betiara* i dopiąć swego, tłumacząc to innemi wyrazami: tak się rozkaprysiła, że postawiła sobie taką ostateczność: albo mieć orła, albo... nie wiedziała jeszcze od razu czem zrównoważyć tę ostateczność; lecz do dopięcia swego wzięła się instynktowo, prawdziwie kobiecym sposobem.

Powiedziałam „instynktowo”, a niepowinienym tak mówić, dla tego, że „kobięce sposoby” w wielkiem są w Serbji użyciu, a szczególnie w obwodach, w których populacja jest mieszaną. Takim jest obwód Niegotyński — więcej tam Wołochów niż Serbów, i z tego powodu w obyczajach przeważa Wołoszczyzna. Przewaga ta postrzegac się daje szczególnie na płci niewieściej. Zaletą, czy — jak kto chce — wadą Wołoszek jest to, że są zalotne, że mają zwyczaj wszelkimi środkami uwydatniać wdzięki swoje, dla zwabienia ku sobie chłopców. I posiadają tych środków co nie miara. Nie mówię nic o czarach; ale, gdyby kto zechciał pisać historję wabności, to radzę mu badać ją w Niegotyńskiem. Tam historyk, znajdzie ją

taką, jaką była w pierwotnym swoim stanie; tam odszuka pierwowzory wszystkich gotowalnianych przyborów, używanych przez eleganterki najbardziej eleganckiego świata. Róża bieleńsza tam jeszcze, albo w kształcie korzeni pewnych roślin, albo w kształcie farby rozartanej na czerepku rozbitego garnka. Czernidło do włosów używa się tam jeszcze pod postacią prostego węgla i łoju. Kosmetyki zastępują się tam jeszcze mocno pachnącemi ziołami i korzonkami. A do uwyrażnienia pewnych wypukłości i zaokrągłości kibici, uciekają się tam do takich mniej więcej sposobów, jakich używają u nas końscy szachraje, dla sporządzenia u koni odsady ogonów. Serbki przejęły od Wołoszek zwyczaj sztucznego upiększania się i nawet emulują z niemi w tym względzie.

Owóż Lubica, gdy się dowiedziała, że za żadne skarby orła nie dostanie, nie napierała się go u Żiwka, ale uprosiła ojca, aby zatrzymał *betiara* jeszcze i na dzień następny.

—To ci ten orzeł prędko się sprzykrzy... — mówił Sima.

—To nic — odparła dziewczyna — niechże ja nacieszę się nim póty przynajmniej, póki mi się nie sprzykrzy, a jak się sprzykrzy, to go *betiar* zabierze i pójdzie z nim.

Wydało się Simie, że nic nad to nie może być logiczniejszego i wygodniejszego. Powtórzył więc Żiwkowi od słowa do słowa, co mu córka powiedziała i ku wielkiemu swemu zadowoleniu nie otrzymał od Żiwka odmownej odpowiedzi.

Pierwszego jeszcze dnia, w parę godzin po przestąpieniu przez bohatera naszego, proga Simowego domu, w stroju Lubicy dały się postrzedz małe pewne odmiany i dodatki. Niby niechcący zablakał się jakiś kwiatek pomiędzy jej warkocze i dziwnie pięknie ozdobił się na tle kruczonych włosów; nad brwią jej zjawiała się czarna, mała muszka a na piersiach sznur dukatów. Żiwkowi szczególnie owa muszka wpadła w oko.

ko, która błyszczała, mieniła się i tak jakoś wisiła na gładkiem czole Lubicy, że bezustannie chciało się na nią spoglądać.

Ale nazajutrz dopiero wystąpiła Lubica w całym blasku toalety, której plan ułożyła sobie jeszcze z wieczora i dopełniała go, położywszy się do snu.

—On sam będzie mnie prosił, abym wzięła tego orła, myślała sobie dziewczyna.

W miarę jednakże jak usypiała, ten orzeł i ten ona zlewali się w jakieś jedno. To Żiwko, w północnej jej wyobraźni, przybierał postać ptaka; to ptak przybierał postać Żiwka i ona zawsze była tuż przy tym ptaku — Żiwku. Przysniło się jej nawet, że ją betiar otulił skrzydłami i w tém otuleniu było jej ciepło, słodko, miło. A gdy się obudziła rankiem, to tak się jej na jawie zachciało orła, ale tak zachciało, że nie mogła dać sobie rady; i aż łzy jej w oczach stawały, na myśl, że może przyjdzie się jej z nim rozstać. I wlaźło jej w głowę: „może, z którego snuła niewyraźne jakieś przypuszczenia, obiecujące jej, że orzeł u niej pozostanie. I ubierała się, stroiła. Usiadła przed zwierciadłem i powoli zawijała warkocze, splatała je i układała i zdobiła, tu dukaczami, ówdzie kwiatami; porozkładała przed sobą czerepki z farbami i ostróżnie, małym paluszkiem, potarła różem policzki, podnosząc lekko naturalne ich rumieńce i zakreśliła w czarny lśniący łuk brwi. Potem, z równą starannością, ułożyła na sobie całe odzienie, włożyła na szyję łańcuch złoty i niby pół pancerzem zakryła pierś sznurami dukaczów i koralu, które spadając wyginały się symetrycznie w dwóch punktach, w których zdawało się, jakby zalotnica podłożyła umyślnie dwa kłębuszki czy jabłuszka. Wdziała wyszywany złotem kaftanik, z pod kaftanika wyglądał czerwony, jedwabny pasek, wązkim obręczem ochwytyjący jej smukłą kibić; a z pod paska spływały aż do stóp szerokie, fałdzone szalwary, utkane z jakiejs lekkiej, mieniacej się, ozdobionej w zyg-zaki i w błyszczące rzutki materji.

Gdy, tak ustrojona, wyszła do gościnnej izby, od razu posunęła do orła i poczęła przemawiać do niego i piścić się z nim.

Żiwko, nie wiadomo dla czego, mimowolnie oblizał się i doświadczył takiego wrażenia, jakby kto przy nim jadł kwaśne jabłko. Pierwszy raz w życiu rozgniewało go to, że orzeł przyjmował obce pieszczoty. Chciał, si raptem odechciało się mu — opuścić natychmiast dom Simy Pawłowicza.

Lubica ani patrzała na bohatera naszego, jakby go nie było w izbie; ale za to Żiwko nie mógł od Lubicy oczu oderwać. I było tak ciągle prawie. Wyznać jednakże należy, że dziewczyna spoglądała na chłopca, ale tak, jak umieją spoglądać dziewczęta, co to nie patrząc, patrzą i widzą doskonale.

I widziała ona, że Żiwko jest wcale przystojnym chłopcem, że nawet w jego postawie było coś takiego, jakby był pokrewnym z orłem. Uboga odzież nie defigurowała go bynajmniej, a ubóstwo i stan betjarski — w Serbji, gdzie ludzie nie dzielą się na klasy — nie czyniły jej najmniejszego wstrętu.

Nie przemawiała wszakże do niego; nie prosiła go, mudawała, że ją tylko orzeł obchodzi; gdy usiadła na sofie, to na to niby, aby patrzeć na ptaka z daleka, a gdy podniosła się, to na to, aby go pogłaskać lub nakarmić. Manewra ta niecierpliwiły Żiwka. Rozmawiał on z Simą; ale mu rozmowa ciągle się rwała, nie dostawało mu czasem wątku, czasem słów. Dziwnem się to wydało włóczędze, który tyle świata obszedł, tylu ludzi widział i nigdy nie zdarzyło się mu zapomnieć języka w gębie.

—Co to się ze mną stało!... — powiedział sam do siebie — czary, czy co!...

—Cóż!... podobał się tobie mój orzeł?... zapytał raz pewnego Lubicy.

—Jeżeli mi go sprzedasz, to ci bardzo pięknie podziękuje — odparła dziewczyna.

—Sprzedasz!... mruknął Żiwko — nie sprzedam go...

Tego rodzaju zaczepki powtarzały się kilkakrotnie ze strony Żiwka — i co raz wyraźniej widzieć się dawało, iż że orzeł jest pokrywką innego targu, albo raczej innej walki, w której już nie Lubica, ale Żiwko był stroną napastniczą, ale jakąś bojaźliwą, czy ostróżną.

—Weź orła!... zdobył się raz bohater nasz na odwagę — ale z orłem weź i mnie!...

Lubica pokraśniała na tę niespodzianą propozycję, a Sima roześmiał się na całe gardło, a to zapewne dla tego, że dziewczyna w inném ją, jak stary jej ojciec wzięta znaczeniu. Dla Simy była ona żartem.

Żart ten jednakże bardzo prędko, sprzedę jak Sima mógł się tego spodziewać, zamienił się na rzeczywistość. Orzeł zbliżał ku sobie młodych ludzi i zbliżył ich w końcu tak, że się nie żartem pokochali, i nie żartem stanęli obok siebie pod szlubnym wiankiem.

Jak się oni kochali, jak wyznali sobie miłość, jak przyznali się do niej przed ojcem, i jak się pobrali: o tém nie mam potrzeby rozpisywać się, dla tego, że to jest zwyczajna kolej, którą wszystkie prawie małżeństwa, przed zostaniem małżeństwami, przebiegają. Powtórzę tylko, co Sima powiedział do Żiwka przed szlubem:

—No! — rzekł do niego stary — orzeł ci wyswatał moją Lubicę!.. Odkąd świat światem, nikt nie słyszał o takim swacie!..

Czyś się spodziewał, że kiedyś wpadł na Staricy do orlego gniazda, abyś w niem znalazł swata?...

Paryż, 1859 r.

W SZWAJCARJI

przez
JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów,
Czemu nie leci za Niebieskie szranki,
Do téj zbawionéj i do téj kochanki.

II.

W Szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconéj głowie:
Widzisz tam tęczę na borze, w parowie,
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nie ją nie zburzy, i nie ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnie,
Przez tęczę idzie po skraju doliny,
Szczypać kwitnące róże i kaliny —
Lub jaki gołąb co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślił,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca.

Tak pełna w sobie anielskiego świtu,
Z tak rozwidniaoną żrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy —
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął przedko-romans kłecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić,
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę
I roztopi się i zgaśnie i zniknie.

I byłem jak ci co się we śnie boją,
Bo jużem kochał — bo już była moja.
I tak raz pierwszy spotkałem ją sama,
Pod jasnej tęczy różnofarbną bramą,
Powiew miłości owiał mnie nroczy,
Stałem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi,
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszozy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę, poranek był skwarny,
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny:
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stały blisko, złote, nieruchome,
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne żrenice,
I długo patrząc nieruchome obie,
Głowy promienne przekładły na siebie.
Rzekłem — i za to, z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przeleciał do mnie,

Przeleciał szybko, i wrócił z podróży,
Do swego gniazdka, do pereł, do róży —
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? Ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita
Ani tak oko wędrowca zachwycę,
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różowe ma lica,
Jak ten rumieniec od wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mnie prowadziła wszędzie.
Ach! ona była jak białe labędzie,
Była jeziora błękitnego panią,
Pływała lecąc — łódź płynęła za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody.
I z takimśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie,
Bo ona była jak wodne boginie,
Miała powozy z delfinów, gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną,
I mogła była co chce zrobić ze mną.

V.

Raz, że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny,

Wyspowiadałem się potem z tej winy.
 Słuchajcie! Otó przed Tella kościołem
 Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
 I powiedziała mi w głos, że mnie kocha
 I odesłała znów mnie na jezioro,
 Łódkę mą pierśią odtrąciwszy białą.
 A ja! Ach! nie wiem co się ze mną stało,
 Czy mnie Anieli do nieba zabiorą,
 Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
 Czy uśmiechami rozrywa się łono,
 Czy serce jako łódź rozegrzany taje,
 Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
 Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty,
 Czyli uśmiechów pełna, czy tęsknoty?
 Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
 Na serce spadły, jak gołębi chmura,
 Pić łyż i białe w nich obmywać pióra,
 Aby się czyste rozlecieć po niebie...
 W tém zawołała łódź ze mną do siebie,
 Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
 I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
 Stoi — cichości pełna i kolorów —
 Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
 Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
 Że się już dawno sercami kochamy,
 A pod tym progiem są na wodzie plamy
 Od sosen, co się kołyszą na niebie,
 I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie,
 White do wody trzymaliśmy oczy,
 A pod tym progiem fala tak się toczy,
 I tak swawolna i taka ruchoma,
 Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
 I przybliżyła, łącząc je rękoma,

Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
 Ach! fala taka szalona i pusta,
 Że połączyła nawet nasze usta,
 Choć sercem tylko byliśmy złączeni!
 Fala tak pełna ruchu i promieni,
 Że jednym światła objawszy nas kołem,
 Zmieszała niby anioła z aniołem.
 Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierną,
 Falo! niewierna falo! i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
 Przez jasne łąki do lodowej groty,
 Tam ją obielł dzień alabastrowy,
 I mróz nad czołem mój jasnej królowej
 Perłami okrył wszystkie polne róże,
 I ze sklepienia łyż leciały duże,
 A we łzach sylfy, z jasnością ogromną,
 Deszczem spadały na białą i skromną.
 Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,
 Cała się szatą okryła zazdrośniej,
 I wszystko oczom ciekawym ukradła,
 I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
 Na alabastry widne choć zakryte....
 Tak nieruchoma stała, a koło niej
 Igrały tęczę w blaski rozmaite....
 Jak biała róża, kiedy się rozwija,
 Róż pokazuje z piersi odemkniętej
 Taki rumieniec wyszedł z lica świętej;
 I zamysłona odwróciła głowę,
 Palec na ściany kładąc marmurowe,
 Jak ta co imie ukochane kręśli,
 Lub o błękitnych jakich myślach myśli.
 Wreście się do mnie obróciwszy rzekła:
 Może za miłość ja pójde do piekła

I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
 Wszczepiona będę w kryształowe lody,
 Jako ta bańka z powietrza i tęczy;
 Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
 Ta jasność słońca stworzona promieniem,
 Którą lód w sobie mrozi i zabija,
 Można ją z lodu uwolnić westchnieniem....

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony,
 Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
 Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
 Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
 Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory,
 Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
 Rzucają cienie na lecące chmury —
 O! moja luba tam pójdziemy z tobą!
 A jeśli z takiej nie wrócimy góry
 Ludzie pomysł, że nas wzięły duchy,
 I gdzieś w niebieskie uniosły lazury,
 Ześmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
 I ulecieli gdzieś z plejad gromadą,
 I tylko po nas potok spadnie głuchy
 I łez błyszczącą rzuci się kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
 Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
 Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą,
 Ach! najciekawszy na świecie nie zgadną.
 W jakim *szalecie* żyłem z moją miłą,
 I wiele nam róż do okien świeciło,
 I wiele wiszeń na okół rośło,
 Ile na różach słowików się niosło,

Ile tam w każdą moc miesięczną, bladą,
 Klóteń słowików płaczących z kaskadą,
 Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
 Ach! tego nawet śpiącym nie odstąpić,
 Ani pokazać ani zawrzeć w słowie,
 Łąka i *szalet* i róże w parowie!
 W takim parowie nasz stróż-aniół biały
 Rozwijał skrzydła od skały do skały,
 I nakrywał ten cały parów dżiki,
Szalet i róże, i nas i słowiki!

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
 I nadto barwy co się w różach płoni,
 I chciała już nas miłość ująć zdradą,
 Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą
 Byliśmy niczem niestrwożeni, sami,
 Czytając książkę pełną łez — ze łzami.
 W tém duch mi jakiś podszeptnął do ucha,
 Ażebym z książki na nią przeszedł okiem.
 Była jak anioł co myśli i słucha,
 I nagle takim przejrzystym obłokiem
 Rumieniec smutny twarz jej umalował,
 Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
 Ale ją w usta różane całował,
 I czułem ją tu na mych rękach białą,
 Sercem bijącą, brylantową w oczach!
 W tém nagle w jasnej kaskady warkoczach,
 Coś pomieszało się i coś urzekło,
 Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
 I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami,
 Cdtąd jużemy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
 Smutniejsza, cichsza, i bielsza i bledsza,

Coraz się w głębszych zanurzała cieniach,
 I obrywała róże na strumieniach;
 Albo przy kaskad naciągniętej lutni
 Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
 Ręce na białej zakładała szyi,
 Jak ta co boi się, albo co się broni,
 Lub jako gołąb co w strumieniu pije,
 Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
 Już wolnym sennym błakała się krokiem,
 I jaskółeczek utraciła zwinność,
 I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
 I rzekłem luba! jak Bóg jest na niebie,
 Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna,
 Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
 Otoś ty wczoraj w tym źródle co bije,
 Na jasnej łące myła twarz i szyję,
 A tam za tobą prosta, niedaleka,
 Jak służebnica co z rąbkami czeka,
 Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
 Oczekiwała aż wyjdiesz z kąpieli.
 Widząc was obie takie białe w parze,
 Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę,
 I drzeć zacząłem i zadrzałem wszystek,
 I jeden tylko poruszyłem listek,
 Ten listek inne poruszył listeczki,
 I szmer się zrobił, ty wybiegłaś z rzeczki —
 I takeś prędko uciekała złąka,
 Żeś łonem kwiatu potrafiła prety,
 I lilijowa wnet łodyga pękła,
 I kwiat z niej opadł twoją piersią ścięty...
 A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.

I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą,
 Nie jam był winien, lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mihry,
 I widać było, że nie wiedząc płonie;
 Głębszemi oczu stały się szafiry,
 I prędsza fala białości na łonie,
 I dziwnym ogniem rozpalone skronie
 Wezesne zwiędnięcie dawały blawatom.
 Ona z tych była co się skarżą matkom,
 I skarżyła się cichiej gwiazd gromadzie,
 Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
 Gdy kwiaty szepeją miłośnie do ucha,
 Co zamysłone własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzie teraz, o miła, z rozpaczą,
 Aniołom Boskim mówisz rozżalona,
 Jak ci co mówiąc skarżą się i płaczą,
 Że była burza gromami czerwona;
 Że była grota posępna i ciemna,
 I w grocie kaskad z kryształu zasłona;
 Że była trwoga w ciemności tajemna,
 Razem niepamięć jakaś Boskiej kary,
 I skarga smutna czystych nimf podziemna;
 Że nas tak samych dzieci mrok odstąpił szary
 I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,
 I ptasząt nas tak obudziły gwary —
 Mówisz ty o tym, jak ta co się skarży?...

XV.

Z grotty ta piękna wyjść nie śmiała sama,
 Słońca się może bała na lazurze,
 Że za promienne będzie i za duże;

Albo, że będzie jako czarna plama;
 Ale na niebie była z tęczy brama
 Na wypłakaną rozwieszona chmurze.
 Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,
 Że były takie jak wczoraj różowe;
 Zerwała jedną i podniosła głowę.
 I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
 Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
 Krążek księżyca toczący w błękiecie,
 Zda się, że nowe ją zdziwiło życie.
 Tak czegoś w ciszy słuchała, tak biegła,
 Aż gdzieś w kryształach spostrzegła.
 Na licu swoim przezroczystą białość,
 Żywszy ust koral i większą omdlałość,
 I uśmiech pełny tęsknoty — i żalność,
 A więc się cała okryła w warkoczu,
 I więcéj na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
 Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
 I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
 I ciszej źródła po murawach dyszą,
 Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
 I o czémś cichém pomówić ze światem,
 Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
 Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą,
 Wychodzi błąd pierścioneń Dyanny,
 Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
 I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
 I wszystkie źródła jęk wydają szklanny.
 O takiej chwili — ach! dwa serca płaczą,
 Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą
 Jeżeli o czém zapomnieć — zapomną!...

O takiej chwili z moją panią skromną,
 Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
 Już rozmawiali o rzeczach anielskich!

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
 Z gór słychać było pustelnika dzwonek,
 Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
 Może rozgrzeszy, może rozweseli,
 Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
 Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
 Szybko zamknęła wszystkie okienice,
 Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty,
 I ustroiwszy się jak gór dziewice,
 Wybiegła do mnie — myślałem że padnę!
 Ani jej oczy kiedy takie ładne,
 Ani jej usta takie były świeże,
 Motyla miała czarnego na głowie —
 (Ten alabastrów od smagłości strzeże,
 I przeświecony od słońca w połowie,
 Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże) —
 A pod motylem pochowane róże,
 Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawie,
 Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe.
 Widząc, że zawsze strzegę serca strony,
 Złośliwy motyl usiadł przechylony,
 Myślałem, że mu to skrzydło połamię.
 Siadł i na lewe przechylił się ramie.
 I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
 Gdy wyobraźnia cała w szczęściu dumna?...
 Gdym z góry spójrzał na dolinę naszą,
 Szalet się oku wydawał jak trumna,
 Maleńki, cichy — kiedym spójrzał z góry,
 Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury,

I niespokojne o nas gołębice,
 I zadumane o nas w łąkach trzody,
 Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
 Zabite ćwiekiem śmierci okienice, —
 Wszystko zaczęło mnie straszyć i smucić,
 Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
 Szedłem posępny i drżący na góry....
 Jezioro czarne, głązy, śniegi, chmury,
 Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
 Słońce czerwone jak krew, o zachodzie,
 Dóm pustelnika śniegiem przesypany,
 I dwa ogromne na straży brytany, —
 Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyłe,
 ...Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.
 Pamiętam tylko, że promień zachodu
 Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
 Kiedy na palec jój, zimny jak z lodu,
 Kładłem pierścionek.....

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie,
 O! niepytajcie wy mnie, smutne, o nią,
 Są łyzy co mówić na zawsze zabronią.
 A kiedy mówię, wpadam w zamyslenie,
 I widzę jasne błękitu spójrzenie,
 Co się zaczyna nademną litować,
 I widzę usta co mnie chcą całować,
 I drzę — i znów mię ogarną płomienie,
 I nie wiem gdzie iść, i gdzie być samotnym.
 I stoję błądy i kreślę jój rysy,
 Lub imię piszę na piasku wilgotnym, —
 I błądzą między róże i cyprysy,
 Jak człowiek który skarb drogi postrada,

Zmysły utracił, i płacząc usiadał
 Tam kędy urny na grobowcach siedzą,
 Myszając, że groby o niej co powiedzą.....

XIX.

Jest pod moimi oknami fontanna
 Co wiecznie płacze zapłakany szumem,
 Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
 Żyją słowiki, — jedna szyba szklanna,
 Gdzie co noc błąda zaziera Dyanna
 I czło moje smutnym blaskiem mamili,
 I tak mnie budzą zalanego łzami,
 To drzewo, księżyc ten i ta fontanna,
 I wstaję błądy, przez okno wyzieram,
 Słuchając różnych płaczów na dolinie,
 Słowiki jęczą i fontanna płynie,
 Mówią mi o niej — ja serce otwieram,
 I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
 I schnę i wędnę i ach! nie umieram...
 I co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębie,
 Nie wiem jak sobie jój postać malować:
 Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
 Jak z otwartymi skrzydłami łabędzie,
 Czy wtenczas kiedy uciekała trwożna?
 Czy kiedy na jedną ze mną księgi kartę,
 Wbijając oczy błękitne otwarte,
 Na każde moje spójrzenie ostróżna?
 Czy kiedy wiejskim otoczona dworem,
 Chodziła gdyby zaklęta królowa,
 Czy kiedy cicha uśnie pod jaworem?
 Czy kiedy goni, czy kiedy się chowa,

W księżycu blasku biała, lub wieczorem,
Od Alp na śniegu różowych różowa?
XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę aż za ciemnych skał krawędzie,
Spójrzę w lejącą po niebie łabędzie
I tam polecę — gdzie one polecą!
Boć tu i tam — za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle, i wiem że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tęp,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawsze,
Miejsce gdzie żaden Duch nie traci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe, —
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali, zaszeleści złotem,
I załoskuje tak duszę tajemnie,
Że stęknie, ocknie się i wyjdzie ze mnie!...

WIERZS APOLINAREGO ZAGORSKIEGO

NAPISANY DO IMIENNIKA w r. 1855.

Pokój tobie duszo młoda!
W tobie cnota i pogoda!
Blaskiem twoich oczu świecił!
Promienieje ciszą czoła,
I tym wdziękiem co rozkwita,
Jako róża w pół rozwita,
Na twych ustach kwiecie!
Serce ciche, pokój tobie,
O nie zaznaj życia burzy!
Niech namiętność nie rozorze

Twego lica, niech nie schmurzy
Ducha blasku, co w pokorze,
Jako wdzięczny kwiat stepowy,
Łśni anielstwem Panu!
Idź po ziemi, dążąc w Niebo,
A stóp twoich znacz tu ślady
Chrześcijaństwem. Męstwo cnoty,
Korność wiary, duch prostoty,
Miłosierdzie, czyn ofiary,
Miłość Boga, ludzi, wiary —
To niewieści wieniec twój!
Żyj więc w wierze, czyni i miłuj.

LIST DEOTYMY

DO CYPRJANA NORWIDA

Pomiędzy najpoetyczniejszymi wrażeniami moich lat
dziecinnych, rysuje się postać potrójnie opromieniona bla-
skim lutni, pędzla i dłuta; nieraz sobie przypominałam
śpiewaka Czarnych kwiatów, który puściwszy się w dalekie
krajiny, tyle wzniosłych wspomnień po sobie zostawił.
Jakież było moje zdumienie i chlubna radość, gdy w wie-
le lat potem, na wątły dźwięk struny, z której próbowa-
łam wydobyć melodję, tenże śpiewak ozwał się do mnie
słowem pełnem pobłażliwej zachęty i ostrzegających prze-
powiedni; a głos jego zkadźże mnie doleciał?

Z drugiej półkuli, z tej ziemi młodzieńczej,

Która jest wiecznym celem mej tęsknoty;

Tam to roślinność tłoczy a nie wieńczy,

W powietrzu tańczą skrzydlate klejnoty;

Tam grzechotników piosenka straszliwa,

Znaczy rytm w szumie wulkanów i lasów.

Wędrowiec, w głębi wonnych puszczy, odkrywa
 Śmiercią zaklęte pałace Inkasów,
 Nad niemi kondor, ta postać wspaniała,
 Jako sęp sroga, a jak orzeł dumna;
 Mknąc się przegląda w Njagarowej fali,
 O której twórca Atali
 Rzekł: „To jedyna kolumna,
 „Która z potopu została.“

Istotnie ziemia Kolumba jest ziemią moich marzeń; choć
 może nie tyle jęj teraźniejszych mieszkańców, ile piramid
 Meksykańskich, lasów dziewiczych i cudownych wodospa-
 dów jestem ciekawa, — tą ciekawością lutnistki, która za-
 wsze i wszędzie szuka nowęj struny do uwiązania w lutni.

Na duszy tak poetycznej jak dusza naszego wieszca
 snycerza-malarza, ziemia ta młoda a już osiwała, postę-
 powa a już cofnięta, musiała wyrzucić wrażenie silne i nie-
 zwykłe. Na odczwę, która mnie ztamtąd od niego doszła
 żywo pragnęłam odpisać; lecz ogólnikowość adresu: *Ame-
 ryka*, wytrąciła mi pióro z ręki.

Niedługo potem doszedł mnie przesłiczny rysunek, mi-
 strzowską wykonany dłonią i ewangeliczném owiany technie-
 niem. Dołączony list do mojęj mamy, zawierał dla mnie
 tyle wyrazów zaszczytnych, że teraz, otrzymawszy do-
 kładniejszy adres, nie wiem jak mam od razu w jeden sro-
 pek uwiązać dziękczynienia za te promienne kłósy współ-
 czucia, któremi duchową moją drogę usypał oblubieniec
 potrójnej sztuki.

Potrójna sztuka !... ileż te wyrazy budzą w duszy ko-
 losalnych wspomnień ! Staje wnet w pamięci niebotyczna
 postać Michała Anioła, tego Tytana, który nie tylko chciał
 się wdrzeć, lecz i wdarł się do trzech niebios natchnienia.

O trzykroć szczęsny, kto oczy orlemi,
 Z Buonarottim trzech gwiazd w życiu szuka!
 Choć potok cierpień ściga go gwałtownie,
 Choć hydra błędu ślizga się po ziemi,
 On się nie lęka, bo ma trzy warownie,
 Wybudowane nad chmury Izawem:

Warownią duszy jest sztuka.

O! kiedy człowiek natchnieniem skrzydlaty,
 Za te słoneczne schroni się okopy,
 Natenczas orły całują mu stopy,
 Troska napróżno miota się i zżyma....
 A tryumfator z chorągwią strojona,
 Z potrójną tarczą, potrójną koroną,
 Przebiega ciche, szafirowe światy,
 I każdą gwiazdę pyta jak wyrocznie,
 I mieszka z Panem pod niebios namiotem,
 Aż na świat ziemski spadnie strudzon lotem,
 I pokrzepiony do walki pobieży.
 Gdy znów się trudzi, w gwiazdach znów odpocznie;...

I tyś Cypryjanie! z takich jest rycerzy!...

Warszawa 1 Maja 1857 r.

Odpowiedź.

W marmurów kraju, Buonarotti dziecko,
 Piersi mamki Etruskiej (1) ssące;
 Ruszać się ucząc, chodzą już po świecie,
 Gdzie stąpi — to lat tysiące....

Medyceuszów książęca zażyłość
 Ku młodzieńcowi pośpieszy,
 Krzesło w senacie (2) zajmie on przez miłość,
 Papież go z sławy rozgrzeszy!

Wałów strzedz będzie jak Archanioł-Michał,
 Mojżesza kształcąc w dział dymie, (3)

I nie napróżno nawet będzie wzdychał
Do *Boskie* (4) mającej imię.
Lecz na północy.... nie Etruska mowa,
Marmur się kończy, gdzie lody —
I młot Odyna, nie dłuto, w nich kowa
Ku innym światom przechody! (5)

To, jeśli po mnie co zostawić zdołam,
Trzech sztuk boleśną potęgą,
To jeśli postać jakową wywołam,
Nie będzie *formą* — ni księgą....

A dziś co kreszę albo z brązu leję,
To tylko jak w murze ówiekiem
Więzień — kto inny ma laur i nadzieję,
Ja — jeden zaszczyt, być człekiem.

Cyprjan Kamil Norwid.

- (1) Mamki Etruskiej. Znajac naturę twórczości i dłuta Michała Anioła, nie można nie zwrócić uwagi na biograficzny szczegół, iż mamka jego była żoną obrabiającego kamienie rzemieślnika, z okolicy, w której prawie jedyne są mury Cyklopejskie.
- (2) Michał Anioł za odrodzeniem rzeczypospolitej Florenckiej był członkiem rady ósmiu na czele narodu i nie jest tu mowa o ofiarowaniu mu Senatorstwa za pośrednictwem Celliniego, której to godności zapewne nie chciał, kiedy nie posłowi nie odpowiedział.
- (3) Fortyfikuje miasto jako przywódca inżynierji i artylerji.
- (4) Boskie imię, olimpijskie — Olimpija.
- (5) Wedle tak podań północnych, jako też wiary, a nawet mniemań klasycznych starożytnych historyków, pasmo pod biegunem północnym mrokami swemi daje przejście dla duchów na planetę.

PADEWSKIE NAGROBKŁ

Notatka z podróży

J. L. KRASZEWSKIEGO.

Przechodząc powoli piękną i starożytną świątynię, szukałem na niej zatartych śladów fresków, których ledwie gdzie niegdzie pozostały szczątki; gdy niespodzianie wzrok mój padł na tablicę marmurową, i cofnąłem się zadziwiony, czytając na niej te rozezulające wyrazy w naszym języku wypisane...

Karolina z Hr. Wojnów X. Jabłonowska

Przeszła do wieczności w obcych krajach,

Znalazła spoczynek i ojczyznę pod tym ołtarzem,

Wśród zwłok swych rodaków,

U. w Wenecji XVII Stycznia MDCCCXL.

Dziwne wrażenie uczynił na mnie ten napis polski, zabłąkany na murach padwańskiej świątyni; czytałem go i odczytywałem smutny, gdy obok i w koło, na grobowcach zgromadzonych przy nim i tulących się do ołtarza, dostrzegłem inne imiona znane... Uważnie przypatrując się, rozpoznałem na obrazie ś. Stanisława i ucieszyłem się, widząc, że trafił na nasz polski ołtarz, niegdyś w tych czasach wzniesiony, gdy mnóstwo jeszcze Polaków uczęszczało do głównej akademji tutejszej. Wśród nich to, pod opieką ś. Stanisława, X. Jabłonowska znalazła sobie ojczyznę,

z tém uczuciem nam tylko właściwém, że i w śmierci nawet tulemy się do siebie i garniemy razem. — Pobiegłem prosić księdza, aby nam mszą świętą u ołtarza tego za nas żywych i zmarłych naszych odprawiono, i poklekaliśmy wkrótce, łącząc modlitwy nasze, nie za kilku wybranych, ale za wszystkich a wszystkich.....

Po nabożeństwie mogłem już swobodnie zająć się rozpatrzeniem grobowców, które ołtarz otaczały i wyszukianiem innych polskich w bazylice padwańskiej od trzechset lat pokładzionych.

Najstarszy polski grobowiec znajduje się z lewej strony kościoła w kaplicy ś. Bartłomieja, założonej przez Lanza-rotich i pod ich opieką zostającej; pokrywa on zwłoki znakomitego Erazma Kretkowskiego, zmarłego w Padwie w 1558 roku. Skromny ten pomnik, wsparty na dwóch łapach, we wgłębieniu ma brązowe piękne popiersie Kretkowskiego i herb rodziny u góry (Dołęga). Napis na nim następujący:

D. O. M.

Erasmus a Kretkow. Polon Palatinus. Brzestensis Castellano Gnesnen. Capitan. Pisdren. et Coet. qui anno aetatis suae quinquag. obiit Patavii die maij XVI. MDLVIII. Amici popuerunt.

Dalej następują wiersze łacińskie śliczne, ale nie dziw bo Kochanowskiego (w Epigramm. pomieszczone), dziś może jedyne świadectwo życia niezmordowanego wędrowca.

*Hic te Cretcovi mors, et tua fata manebant,
Cum terras omnes, et cum maria omnia circum
Lustrares, nullo defessus membra labore,*

Te rapidus Ganges gelidaeque Boristhenis undae,

Te Tagus et Rhaenus, te ripa binominis Istri

Et septem gemini noverunt ostia Nili.

Nunc concessisti magnum visurus Olympum

*Aethereasque domos, ubi diis immistis, inanes
Et curas et spes hominum, lamentaque vides....*

Jeszcze niżej na podstawie dołożono:

*Et hoc de consensu nobilium de Lazaretis,
Lazarotis, et ex eorum liberalitate.*

Trudnaby była do zrozumienia szczodroblivość panów de Lazarotis, gdybyśmy skąd inąd nie wiedzieli, że z razu o grób Kretkowskiego żywe były spory. Zakonnicy zgodzili się byli pogrzebać ciało Kretkowskiego w kaplicy ś. Bartłomieja, ale Lanza-rotowie sprzeciwili się temu mocno. Cały rok była o to walka między zakonnikami i rodziną Lanza-rotich, nareszeie wymogła napis, że za jej pozwoleniem i szczodroblivością Kretkowski tu pochowany został. — O życiu tego niezmordowanego wędrowca wiemy mało. Był on synem wojewody brzesko-kujawskiego, sam kasztelanem gnieźnieńskim i posłem od Zygmunta Augusta do Turcji. Jak z nagrobku Kochanowskiego okazuje się, był w Egipcie, w Indjach, Portugalji, Niemczech, Rusi, Węgrzech, i w 50. roku życia bezzenny tułacz w Padwie zmarł, kończąc swe pielgrzymki u grobu wielkiego świętego. Na owe czasy podróże takie były niezwykłością, i wolno się nam domyślać, że Kretkowski miał szczególne w nich zamiłowanie, bez którego by, kosztu, trudu i niebezpieczeństw takich nie podjął. — Co za szkoda, że z tych ciekawych pielgrzymek nie nam, prócz grobowca w Padwie, nie pozostało!

Drugi po nim, który się tu położył jest... nie wiem do-
prawdy, czy go mam Kańskim czy Kątskim nazwać, ale zda-
je mi się, że Kański — (Cappellari tak z Okolskiego osadził).
Nagrobek brzmi jak następuje:

Andreae Kanzki nobili Polono omni virtute

Et doctrina ornato, in ipso aetatis et virtutis

Flore, Deo sic et fatis volentibus, abrepto,

Illustriss: Firleiorum familia clienti,

Bene de se merito. P. C.

Italiam peragro dum sospes quinq. per annos,

Hei patriam repetens mors mihi vertit iter.

Obiit anno MDLXXXVI.

Mense Martio.

Kamień ten znajduje się w południowej ścianie klasztoru od strony kapitułarza. — Kańscy herbu Janina mieszkali w Lubelskiem, gdzie i Firlejowie się gnieździli, być więc bardzo może, że ten klient Firlejów do rodziny Kańskich Janinów należał. I o nim nad to, co nagrobek wzmiankuje, że lat pięć po Włoszech podróżując, w powrocie do kraju śmiercią zatrzymany został w Padwie, i że mu Firlejowie pamiątkę położyli, dalej nic nie wiemy.

Na pilastrze po lewej stronie kaplicy ś. Józefa, znajdujemy trzeci grobowiec polski z XVI. wieku, Mikołaja Ponętowskiego. Jest to wielka sztuka marmuru, paragonem zwanego, otoczona korniszą, po nad którą wznosi się wgłębienie z *pietra rossa*, przeznaczone widocznie na popiersie, którego lub nie postawiono lub znikło, niewiem jakim sposobem.

Napis brzmi następująco:

Nicolao Ponetowski Polono

Nobilitate antiqua claro, egregijs

Animi bonis ita ornato, ut aetatem

Doctrina, doctrinam anteverterit iudicio,

Publicisq. muneribus in patria

Praeclare gestis saepius id testatum

Fecerit, quem mors iniqua iuvenem imo

Decepta ante annos senem, dum vitam

Patavii quaerit, vitae eripuit anno

Christi MDXCVIII. XIX. Julii

Aetatis suae XXVIII.

Monumentum hoc Andrea Frater et amici moesti P. C.

Grobowiec ten znał już Starowski i z niego ów Mikołaj Ponętowski wszedł do herbarzów naszych, choć o nim więcej nad to, co podał napis, nie wiedzą genealogowie i wspomnianych tu publicznych urzędów przezeń sprawowanych nie wzmiankują.

Na grobowcu jest kilka herbów, z których jeden zdaje się być Firlejów. Oprócz tego w archiwach konwentu znajduje się wiadomość, że jednym z przyjaciół, co Ponętowskiemu stawili grobowiec, był Jan Firlej podskarbi koronny, a że Walenty Ponętowski był żonaty, jak wiemy, z Firlejąwną, był może nasz Mikołaj blizkim jego krewnym. Ponętowski przybył, jak widać, do sławnych lekarzy padewskich, których nauka od śmierci, w 28 roku życia, wybawić go nie mogła.

U pilastru pierwszego kaplicy ś. Józefa znajduje się także grobowiec w stylu XVII. wieku, dosyć złego smaku, przeciążony ozdobami, z popiersiem pochowanego tu Adama Zalińskiego i datą fałszywą 1503 r. gdy w istocie czytać należy rok 1603. Napis ten znany był naszym heraldykom, którzy go wspominają; jest on następujący:

T. V. Q. M.

Adamus Zaliński eques polonus, generis nobilitate, corporis elegantia, morum suavitate, disciplinarum et linguarum peritia, maximarumq. virtutum splendone clarissimus. Cum horum potiss. partem haud ad deformatam primi sed ad quam optime informatam recreatamq. secundi Adami imaginem in se exprimendam non minus feliciter quam diligenter comparavisset. Cumq. peragrata studiose, caste, ac fortiter Europa, visa Africa, Hierosolymam servatoris sui cruore sacram militaturus adire cogitaret. Repente in coelestem incredibili suor. ac patriae cum do-

lore an. aet. XXV. sanete, et religiose evolavit. Huic amor, observantia, necessitudo Perillust. ac generosiss. V. D. Joanne Witoslawskij defuncti affine atq. vero bonorum omnium ex asse haerede, impensas liberaliter subministrante nob. vero marco Lentowski cons. totos VIII an. individuo aetate procurante hocce triumphans monum.

P. O. M. E.

Anno. Dom. Incarn. CICIJIII.

Żaliński ten, syn sędziego ziemskiego tucholskiego z Elżbiety Mortęskiej, podkomorzanki chełmińskiej, jedy-nak u rodziców, którzy oprócz niego mieli tylko córkę wydaną za Witosławskiego Janusza, udał się był snąć dla ukształcenia w podróż, pod przewodnictwem Marka Łętowskiego (herbu Niezgoda) później opata Paradyskiego i z nim przebiegł całą Europę, był w Afryce, wybierał się wreszcie do Jeruzalem, gdy go w 25-m roku życia śmierć w Padwie pochwyciła. Łożył na grobowiec tego pełnego nadziei, pięknej postaci, miłych obyczajów, młodzieńca, szwagier Witosławski, a pilnował wykonania Łętowski, towarzysz piel-grzymki, jest bowiem ślad w aktach municypalnych (vol. 2847. Processo s. pag. 55.) że Łętowski prosił o miej-sce na grób w czerwcu 1602 (przy ołtarzu ś. Marji Magda-leny) i śmierć Żalińskiego do 1602 odnieść należy.

Dotąd Polacy w Padwie, do której ich tyłu dla nauki uczęszczało, chociaż mieli w Akademji osobną swą nację, najliczniejszą po niemieckiej, swego radcę, syndyka, pro-kuratora i innych urzędników, nie postarali się o ołtarz i miejsce spoczynku; dopiero za starszeństwa Mikołaja Os-solińskiego w r. 1607 jego staraniem wzniesiony został oł-tarz ś. Stanisława i przy nim grobom wyznaczone miejsce.

Ołtarz ten nosi dziś jeszcze świadczący o tem napis:

Dei opt. max. gloriae D. Stanislai Pat. Pat. cultui suae suorumq. pia memoriae natio polona aram hanc cum sepulchro Generoso D. Nicolao Ossoliński ab Ossolin Nationis consiliario curante.

F. P. Q. S. P. M.

Illustr. D. D. Civit Praesidib. Hermolao Zane praet. Jo- anne Maripetro Praef. Anno Christi.

CICICCVII Cal. Juni

W prawo jest jeszcze napis z téjże epoki:

Momentanea prorsus ista vita est, sed vixisse bene et mo- ri beate hoc virtutis opus pium et perenne. Sic gens vota Deo ferens Polona et solvens cineri decora iusta, ad tumbam haec meditatur illa ad aram felices lachrimae precesque diae Immortule quibus paratur aevum.

Ołtarz ten opisujemy osobno, to tylko dodam, że gdy w r. 1809 poprawiano go, pokazały się ukryte dotąd herby Mazowsza, Inflant i Pomeranji, położone tu wraz za- pewne z innemi jeszcze w 1607 r. Do dziś dnia tarcze te są widoczne, a nad niemi stoją dwa napisy:

Insigne Ducatus Masoviae

Insigne Ducatus Livoniae et Pomeraniae.

Przed samym ołtarzem w posadzce leży kamień, pokry- wający zwłoki Stanisława Mińskiego, wojewody łęczyckiego, sławnego swoich czasów senatora i statysty, którego dow- cipne listy do rokoszan po rękopismach współczesnych się spotykają.

Grobowiec ma napis krótki i skromny:

Stanislaus Minski de Minsko palatinus Lancicien. Can- cellarius Regni Poloniae mens regis et regni, ultimum decus et spes familiae obiit Patavii Anno MDCVII Ju- lij XXI. Aetatis XLIV. Erasmus Debiński Decanus Crac.

Affinis et Excer. Testi F. F. O vita fallax quae desinis dum vivere expedit.

Bernardo Gonzati w opisie Bazyliki ś. Antoniego, mówiąc o tym grobowcu (vol. II. 240.) domyślił się urodzenia Mińskiego w Mińsku litewskim, który stolicą księstwa nazywa, ale nie popełniamyż my podobnych tej omyłek w codziennych badaniach naszych? Szczęściem, że nas Włosi nie czytają. Miński liczy się do znakomitszych mężów swojego czasu, rodzina ta herbu Prus 3-go, oddawna osiedlona była w Mazowszu, pisali się z Gościeszyc a później z Mińska pod Warszawą, Stanisław był niemal jedyną jej gwiazdą. Rodził się on z Doroty Goryńskiej, ojciec jego był wojskim warszawskim; młody Stanisław naprzód dostał kasztelanję zakroczymską, około 1589 jeszcze ją trzymając, potem województwo łęczyckie około 1596 r. — Wysłany do Rzymu dla starania o kanonizację ś. Jacka, dokonał ją i chorągiew świętego przywiózł do Krakowa. Później dostał mniejszą pieczęć koronną. Czynny w czasie rokосу krzątał się, pisał, jeździł i nie załując siebie, z przeziębienia, jak mówi Niesiecki, słuch utracił. To pewna, że w swych żartobliwych listach do rokosszan już im pisze często: *Stanislaus Miński surdus ... N... N. caeco.*

Za radą królewską, chcąc się z tej przykrzej wyleczyć choroby, udał się Miński do Neapolu i tam znaczną ulgę w cierpieniu znalazłszy już powracał, wezwany na powrót przez Zygmunta III, gdy na drodze z gorącą nadzwyczajnego dostawszy maligny, w Padwie życie skończył. Chwała go powszechnie współcześni, między innymi Reszka, jako wzór senatora, męża stanu. W językach obcych, greckim i innych wielką miał biegłość, o dowcipie świadczą zachowane listy jego do przewodzców rokosszan. Żonaty był

z Anną Kryską wojewodzianką plocką, a dwie jego córki wyszły za Jana Tęczyńskiego Wdę krakowskiego, druga za Marcina Zarębę, na nim też ród Mińskich, o ile wiemy, się skończył.

Na prawym pilastrze przy tymże ołtarzu ś. Stanisława spoczywają wnętrzności młodo zmarłego Aleksandra Kazimierza Sapiehy, z następującym napisem:

D. O. M.

Alexandri Casimiri Sapiehae, Sigismundi III. Poloniae et Sueciae Regis, in magno Ducatu Lithuaniae Dapiferi, memoriae qui in ipso aetatis suae flore, magno patriae et familiae damno Patavij obiit Anno MDCXIX novemb. XXX. die. Cujus corpore in patriam conducto viscera hic condita. Viator ora pro anima.

Mało bardzo wiemy o tym Sapiezie, którego Niesiecki i genealogie tak gdzieś skryły, żeśmy go w nich wyszukać, nie mogli.

Do Polaków tu liczy się także Stefan Ubaldini dalla Riva, którego grobowiec na pilastrze z prawej strony ołtarza ś. Stanisława się znajduje; ale i o nim ledwie tyle wiemy, co z napisu. Rodzina Ubaldinich, stara florencka, miała się przenieść do Polski dopiero około 1542, wedle Gamurriniego, ale próżno szukaliśmy jej u naszych genealogów.

D. O. M.

Viator Benevole

*Sistis (sic) gradum, haec quae vides non nisi miranda
Perlustras.*

Stephanus de Ripa ex illustri Ubaldinorum familia hac sub humo requiescit, aetruscus genere, Patria et natalibus Sarmata. Hic praeter quam quod virtutum splendore eluxerit, multa phiae et facultatis oratoriae eruditione linguarumque peritia, quam exteris peragrande regiones conquest, mirifice floruit. Hujus ingenium

doctissimae Parisien. urbis Gymnasia non obstupere solum, sed et laurea apollinari ut dignum indicarunt, sic ornarunt et condecorarunt. Hunc in armis bellantem, strenuum et festum agnovit Moschus et exhorruit, vidit et audivit Turca, dum casu captum detineret Turcicae in primum post aliarum linguarum in eo peritiam, quem non nisi cum lacte materno eum succisse credit. His florentem tandem mors immatura post gravissimas morborum procillas, hic Patavii idibus Augusti Anno a Christo nato M. D. C. XXI. sustulit., posteritati haec, quae bene, pie, et praeclare gessit, contemplanda et imitanda relinquendo, haec pio, pie viator pie praeceris. Obiit unno aetatis suae XXXVI.

Wśród gmatwaniny właściwej stylowi lapidarnemu XVII. wieku, ledwie dojść można, że Stefan de Riva (inaczej dalla Riva) urodził się w Polsce, przykładał do filozofji i nauk, podróżował wiele, uczył się i laur poetycki otrzymał w Paryżu, wojował w Moskwie i Turcji, wzięty został w niewolę przez Turków i doskonale ich język sobie przyswoił, nareszcie po ciężkiej chorobie zmarł w Padwie, 36-letni. Pomimo starannego poszukiwania o nim, u naszych pisarzy, żadnej się nam wzmianki znaleźć nie udało.

W lewej nawie, na pilastrze pierwszym, z prawej strony, jest jeszcze nagrobek drugiego Sapiehy, Krzysztofa, z następnym napisem:

Suspira viator, nam ingentis viri Christophori Sapiehae Supremi Pincernae Magni Ducatus Litvaniae parum lapidum cernis, quem post incredibiles triumphos ab Ossmanno Turcarum rege, tum inhumano Moschorum principe proprio sumptu et milite comparatos, Phoedusq cum maximo Poloniae plausu peractum Patavium lubenter excepit mortum non lubenter deploravit, adeo Patriae nihil de cive suo praeter famam reliquit Et ipsos cineres negavit mors ingrata. A. D. MDCXXXVII. Novemb. XXVII. aetat. XXXVII.

Był ten Krzysztof synem Mikołaja, wojewody witebskiego z Wiśniowieckiej, żonaty z Elżbietą Firlejówną, wojewodzianką sandomiarską. *Eques Hierosolymitanus*, założył probostwo w Wisznicach na Podlasiu, zmarł bezpamiętnie. Niesiecki krótko o nim wspominał tylko; grobowiec czyni go mężnym wojakiem, o co na ówczes nie było trudno.

Także na pilastrze, przy tym ołtarzu, znajdujemy kamień z napisem, poświęcony pamięci Stanisława Antoniego Fryzniekiera, filozofji i medycyny doktora, rodem z Krakowa. Ojciec jego Fryzniekier, sekretarz królewski, był szlachcicem węgierskim, brat także pisze się z tym tytułem.

D. O. M.

Et animorum flori lectissimo Stanislao Antonio Fryzniekier Philosophiae et medicinae Doctori clariss in Poloniae natalibus Patre consulari secret. Regio et nob. Pannoniae Cracoviae orto Ob ingenji doctrinae, virtutis praestantiam omnibus gratioso; sed brevi delicio in flore aetatis immatura morte ad immortalia translato, monumentum hoc amoris et doloris parens moestissima cum Joanne Fryzniekier C. C. Secret. Regio defuncti Fratres carissimo P. Obiit. a. D. MDCLXXXVII. id. Jul. an. aetat. XXVI.

Z tą samą datą prawie jest tu jeszcze grobowiec Horacjusza Secco, który zginął pod Wiedniem, w wojskach cesarza Leopolda. Wspominamy go tylko, jako może jedynego Włocha, co tam poległ.

Przez cały wiek XVIII, ani jednego już napisu polskiego nie przybyło w Padwie, ostatnie są współczesne i tych parę tylko; na ścianie wschodniej klasztoru, przy kapitułarzu, czytamy następny:

Julio. Jos. F Dunin Wąsowiez Polono Comiti Juveni ingenii celeris, indolis suaviss. qui diutina phthisi conflictatus

Caelestia unice recogitans, animo pacatissimo emigravit XII. kal. Jun. ann. MDCCCXXXIII Natus anno XXIV. M. IV D. XV. Julia O-Donella comitissa pos. cum lacrimis Filio desideratissimo.

Ostatni, któryśmy naprzód wspomnieli, bo nas pierwszy uderzył, Karoliny Jabłonowskiej, ozdobiony jest płasko-rzeźbą Luizga Ferrari, sławnego włoskiego artysty, wystawiającą postać niewieścią, przyciskającą krzyż do piersi i anioła, który jej wieniec zwycięstwa przynosi. X-a Jabłonowska pochowana została w starym grobie Stanisława Mińskiego. Cały napis jej grobowca składa się z wyżej wypisanego polskiego i włoskiego w tych słowach:

Carolina Com. Woina Princip. Jabłonowska Dama di palazzo Il XVII. Gennaio MDCCCXL a lei LIII. provata da infermita quadri lustre Cui cercó alleviamento di cielo piu mite mori in Venezia e desiderando alla patria La ritrovò per somma grazia sovrana In questo sepolero nazionale Le pose questa memoria il marito veneratore delle sue tante virtu E riconoscente a XXXV. Anni d' illabato, immancabile affeto.

Szereg grobowców naszych na tym się kończy... Nie znalazłem ich więc ani na ścianach, ani w zbiorze Bernarda Gonzati, który w opisie Bazyliki padewskiej sumienie je spisał, a nawet wedle możliwości objaśnić starał się.

Wieczne odpocznienie na cudzej ziemi spoczywającym wędrowcom!

LOS Y GRAJKÓW.

(W Imienniku N. B.).

Dziwnie się plecie,

Na tym tu świecie...

Dawniej, stopą tuła cza,

Błądził lirnik wygnaniec,

Z torbą swoją zebraczą,

Przez szeroki ziem kraniec.

Tylko w gminie prostaczęj,

Powitali go swoi....

Lecz jak było inaczej,

U zamkowych podwoi

O! bo tylko wśród ludu,

Jak w Betlehem bywało,

Światło prawdy i cudu,

W słowie podań gorzało.

Dzisiaj postać lirnika,

Na promienném tle błednie

I wśród ludu już znika,

Jak księżycy blask we dnie.

Bo już blizki wschód słońca,

Słońca prawdy przedwiecznej—

Co od końca, do końca

Wznijdzie gminie słonecznej.

Mistrze tonów rówieśni!

Gdy dzień prawdy zaświta—

Dajcie wtór nam do pieśni,

Którą świat go powita.

Jan Prusinowski.

W Z R O D Y

(Przypowieść)

Zawziętość, Greckie dwie rzeczpospolite
Przeciwko sobie zbroiła kryjomo.
Dzień w dzień od bramy wieści rozmaite
Leciały w miasto przed rzeszą ruchomą,
Niewiastom strasznie szeptały do ucha,
Mężom poważnie mówiły do ducha;
Młodzieńców brały za ramiona twarde,
I potraçały w biodra przepasane,
Jak gdy kto budzi śpiącego — lub wzgardę,
Lub nowój zbroi chrzęsty mu nieznane.
Że jednak wszelki, kto tylko mógł w mieście,
Broni musiał imać — zaś obywateli
Nie było więcej z tej strony nad dwieście,
I skąpić mężów ile można chcieli;
Więc, by przedwstępnie zbadać przeciwnika,
Żal było kogo wysłać z falangi,
A starcy, wszedłszy w Fortuny krąganki,
Zawotowali: „że, nie trza języka,
„Że pierwszy lirnik, wchodzący przez bramę,
„Usługę odda nie podléj też samę.“
Słowo zaś takie z świątyni Fortuny,
Gdy obwołane jest, tedy spokojnie
Spać możesz, choćby w łożu twoim pioruny
Były — tarcz z mieczem prawa o wojnie,
Białemi jagniąt okrywśszy się runy,
Ty śpij, ani się zrywaj nieprzystojnie.
Powagę przeto z bogów wzięwszy słowa,
Czekano w bramie, która jest wschodowa,

A Dedal jeszcze, starego zakonu
Mistrz, wyrył nad nią lwa z Pentelikonu.
Tam dobę jedną lirnika czekano,
Tam dobę drugą czekano o świcie,
W dzień trzeci rapsod z dala usłyszano.
A ciemny lirnik szedł, wiodło go dziecko,
Mianoż się spytać co widział po drodze?
I męża ile nieprzyjacieli liczy?...
Spytano — senat nakazywał srodcę —
Spytano... „lud jest, odrzekł, niewolniczy,
Mężów — dziesiątek“ i rzekłszy te słowa,
Rapsodu w myśli narządał zerwanie.
A dwieście Greków, tak prędko jak mowa,
Przeciwnikowi biegło na spotkanie.
I dnia owego, nim zapadło słońce,
Tysiąc na placu trupem położono,
I miasto wzięto — i wysłano gońce
Za starcem, aż go wreszcie znalezione.
Tego więc pytać poczęto na nowo,
Ile się zmylił w nieprzyjacieli cenie!..
„Wcale!“ rzekł — „bowiem śpiewałem im słowo
„Wielkie, i wielkie miałem być natchnienie,
„Słyszeli wszyscy siłę, głos, rym, watek,
„Dałem im wreszcie chwilę na mileczenie,
„I wziąłem za to okłasków dziesiątek.
„Wy co wzrok macie, w tém zawsze błazniecie
„Ze nie ztąd tylko na świecie otucha,
„Niepomni o tém, że to wy widzicie!
„Zrachujcie trupy — ja zliczyłem ducha.“

Cyprjan Kamil Norwid.

ZABŁAKANA

(Głos z poddasza).

Oh! jak smutneż jest to życie!

Mój Boże!

Jak to w bajce bédne dziecie,

Zabłakane w borze,

Próżno woła, próżno huka,

Mój Boże!

Próżno na świat drogi szuka,

Znaleźć nie może;

Szukam, wołam nadaremno

Mój Boże!

Od łez, głodu, w oczach ciemno,

Zewsząd bezdroże,

W puszczy ludzi bez miłości,

Mój Boże!

O! już ja tu młode kości

Marnie położę!

W uszach dzwony niby dzwonią,

Mój Boże!

Powieki się gwałtem kłonią,

Czyż je otworzę?..

Niechbyż choć nad mą mogiłą

Spraw Boże!

Choć dla drugih zaświeciło,

Miłości zorze!

Roman Zmorski.

OPATRZNOŚĆ

Kto to był ów,

Co z jarzma Faraona,

Rój sierot, wdów

Uulił w swe ramiona?

Kto falą nakrył morza

Zastępy co siał wróg?

Tam była ręka Boża,

To ja, to ja, wasz Bóg!

Kto to był ów

Co mur Jerychu zwałił,

Daniela zlwów

Żarłocznych paszcz ocalił,

Kto w puszczy lud wybrany,

Płomiennych szlakiem dróg,

Wiódł, karmiąc chlebemmany?

To ja, to ja, wasz Bóg!

Od wschodu mord,

Xerxesów pędził skrzydłem,

Przed krwawych hord

Świat cały drżał straszylem.

Kto swobod wsparł jutrzeńkę,

Kto w wolnym ludzie wzmógł

Temistoklesów rękę?

To ja, to ja, wasz Bóg!

Zgrzybiały świat

Cezarów gdy oszalał,

Ludzkości kwiat

Strumieniem krwi się zalał,

Rzym spełnił zbrodni czarę!
Kto jak czerepy stłukł
Zepsucia tę poczwarę?

To ja, to ja, wasz Bóg!

Dziś w czarnych noc
Kołysze się całunach,
Szatanów moc

Rozparła się na trumnach,
Po krwawej buja fali.

Nie drzyjcie! bo ją z nóg
Wasz ojciec w proch powali,

Wasz Ojciec, ja, wasz Bóg!

Lecz komu sen

Zamarle zwał powieki

I myśli ten,

Że piekło trwa na wieki;

Nad biedne kiedy rzesze

Przebudzeń zagrzmiał huk,

O! tego ja nie wskrzeszę,

Bom tylko żywych Bóg!

Karol Brzozowski.

D L A

Z. M.

Gdzie nie byłem, gdzie nie znajdę,

Ziemię schodząc wzdłuż i w szerz,

I gdzie kościom pościel znajdę,

Ty jedyny Boże wiesz!

W pas stepowe bujne trawy,

Cytrynowych gajów chłód,

Miasta pełne gwaru, wrzawy,

Gór olbrzymów wieczny lód;

I bezwodnych pustyń skwary,

I mórz rozhukanych, toń,

Jak przeszłości senne mary

Oblegają moją skroń.

Tyle przemignęło lasów,

Tyle przemignęło pól!

Ale z falą szybką czasów

Nie przeminął jeden ból!

Głowę moją szron osnieżył,

Z młodych lat mi oschła lza;

Tylem cierni i trosk przeżył,

Jedna w piersi wiecznie drga.

I tej trosce zasnąć, Boże,

Nie dasz, pókim tylko żyw;

Bo ją chyba uspić może

Tchnienie mych ojczystych niw.

Różną do nich idę drogą,

Ziemię schodząc wszędy i wzdłuż;

Stopy drogi znaleźć nie mogą,

Choć się droga zdaje tuż.

I upadłbym wśród rozdroży,

Gdyby nie nadziei nie,

Co mi świeci — i głos Boży,

Który woła: *synu, idź!*

23. Lipca 1858 r.

Karol Brzozowski.

USTĘP Z ŻYCIA KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

LUOJANA SIEMIŃSKIEGO.

Są pewne chwile w życiu człowieka, a mianowicie w życiu poety lub artysty, w których skupiając w ognisku wewnętrznym wszystkie promienie życia, i potęgując je rozmyślaniem, przysposabia się do samodzielnego wystąpienia w świat. Taka chwila zwykle przychodzi, albo po wielkiem wstrząśnięciu albo po odegraniu jakiejś roli w zawodzie życia, która aczkolwiek nie harmonizowała z naszymi skłonnościami, dała nam wszakże poznać świat i ludzi w starciu się z nimi. Poeta i artysta, jeśli nie przeszedł przez tę szkołę doświadczenia, nie będzie nigdy miał odgłosu; utwory jego pozostaną bez świeżości, bez prawdy czerpanej z żywych przykładów, a będą tylko martwym owocem książkowego ślęczenia, a tem samem składać się z materiałów pochodzących z drugiej ręki. Ruch taki niezbędnym jest do zupełnego ukształcenia człowieka; albowiem on jeden pokazuje takie strony życia, jakich w zacisznym siedzeniu odkryć nie można, jakie dopiero okupić trzeba własnym trudem, a niekiedy łzami. Kto przebiegał żywot Kazimierza Brodzińskiego, mógł się przekonać, że wychowanie jego książkowe zrobiłoby zeń miernego tylko tłumacza, a najwięcej naśladowcę lichych wzorów, lub marzyciela w czczych krainach niepraktyczności, z sentymentalną miłością dla ludzkości, hołdującego pustym a po szkolnemu brzmiącym frazesom. Lecz, że się szczęściem znalazł w epoce wojen napoleońskich, wstąpił w szeregi wojskowe, i mimo

wątlęgo zdrowia, usposobienia nierycerskiego, natłamawszy się z trudami i przeciwnościami, w rychłe przyszedł do pełni życia, a poznawszy je w rozmaitych odcieniach, stał się pierwszym z tych, co poznali się na fałszywym i zatęchłym kierunku naszej literatury, i pchnęli ją na całkiem nowe drogi.

Ważny ten moment w jego biografii przypada pod on czas, gdy, w bitwie Lipskiej, wzięty od Prusaków do niewoli, został z niej wypuszczony, i bez dalszych widoków, bez celu zajęcia się, przybył do ciotki swojej w Sulikowie, w sandomierskiem, i tam osiadłszy w zaciszu wiejskiem, odpoczywał po biedzie żołnierskiej, o niczem z razu nie myśląc, jak żeby tylko odgryźć się, że tak się wyrażę po prostu.

W jednym liście swoim, pisanym do dawnego przyjaciela Ambrożego Grabowskiego, w Krakowie, sam o tém mówi: „wszą moją myślą jest wypaść się; bo wszyscy ludzie dobrego gustu zgadzają się, że za nic człowiek chudy. Przyznam ci się, że nieźle w tej mierze czynię postępy, i jeżeli Mars „źle tuczy swoje dzieci (które się nie śmieją dopominać) toć „i sama pani matka Minerva, nienajlepiej stołuje wszystkie „swoje dziatki i podrzutki; zatem gdy się i ta, tak chwaleb- „nemu memu zamiarowi sprzeciwia, podobno jój trzeba będzie podziękować na czas niejaki. Dla tego, kiedyś ty tak „dobry, że mi dosyłaś książek, już mi nie daj żadnych takich, „przy których by wiele myśleć trzeba, jeżeli chcesz żebym „się wypaść, (tę radę dała mi nawet moja dobra 50-letnia „ciotka)! — W tymże samym liście, pełnym żartobliwego i wesołego humoru, tak swoją rzecz dalej prowadzi:

„Może to ci trzeba życzyć świąt Wielkanocnych? Ale cóż „można lepszego jak dobrego apetytu, a Boga prosić o szczę- „śliwe myśli, chęci i powodzenie cukierników i dobrych go- „spodyń. Potem poszlę ci co z mojej roboty; teraz nie chcę

„cię od razu straszyć! Może też napiszesz do mnie, lecz nie chcę cię o to prosić, ale gdy zrobisz, Bóg mu zapłać! po-
wiem o tobie.“ Uspośobienie jego ówczesne, najlepiej maluje
następujący wiersz: „Z nowin mi nie donoś nic, bo teraz
chcę być zupełnie ową chryzalidą i jak przyjdzie czas, zu-
pełnie nowo i nieznajomo na świat się pokazać.“ Widać, jak
napomknąłem wyżej, że czuł już swoją przyszłość, że w tém
wytchnieniu po znojach fizycznych zbierał siły umysłu, aby
wystąpić do walki z wyobrażeniami, mającemi kurs w ów-
czesnej literaturze.

Kształcenie się jego pojęć postępowało z dniem każdym;
w samotności wiejskiej, wśród towarzystwa ludzi nie książko-
wych, aczkolwiek nudził się czasami, jednakże wyrabiał się
duchowo, otrząsał ze szkolnictwa, a tém samém zaczynał
pojmować prawdę życia zupełnie niepodobną do tej, którą
manierowani poeci, a mianowicie sielankopisarze na wzór Ges-
nera w książkach swoich zamknęli. On, co niegdyś w Woj-
niczcu, w gronie swego rodzeństwa, tak się rozplýwał nad
sielankami Gessnera w tłumaczeniu X. Chodanego, i niejako
w praktykę zamieniał słodko-ckliwe sentymęta takich Dafni-
sów i Myrtyłów; on, któremu natura wydawała się wykwin-
ną damą wysokiego rodu, że z nią nie mógł inaczej mówić tylko
wyrafinowanym językiem, — teraz, po szkole doświadczeń, acz-
kolwiek sercem jeszcze dziewiczy, i całym entuzjazmem poe-
zji przejęty, żartuje sobie z sielanki i sielskiego żywota.

Ciekawy to kawałek z innego listu przeplatane go wiers-
zem i prozą. Przytaczam go, jako wymowny ślad przejścia
z urojeń w rzeczywistość, przebiega w nim ironja, jak zwykle po
każdem rozczarowaniu dla przedmiotu, któremu w duszy na-
szej założyliśmy świątynię. Szczęście tylko, że zburzenie tego
cukrzanego gmachu nie pozbawiło go żadnego skarbu uczuć.
Opisując różne swoje zabawki poetyczne, powiada:

„Tak jak niestałe kobiety

Są i niestałe poety.

Dzisiaj jaka szumna oda,

A jutro się bajka poda,

Dopiero na satyrę ostry ząb wyszczerzy,

Już rozkwilonym głosem smutne treny szerzy;

Czasem też arkadyjski spodoba się wianek

I chęć bierze do sielanek.

Ale chociaż mam wiosnę, strumienie i gaje,

Jakże biedny wzór dzisiaj wieś poetom daje!

Oto świeżo w nieszczęście Amarylla wpadła,

Że wczoraj kozakowi z krzyżem płaszcza ukradła,

Philis Baszkierom dała już wierności dłonie,

Opuszcza czysty strumyk i kwieciste błonie.

Mirtyl w karczmie przy pieśniach kijem się ozdobił,

Odważnie pił na kródkę, jeszcze żyda pobił;

Dafnis dostał kołtuna, a piękna Glicerą

Usmolona z skopconych łachmanów wyziera;

Śpi Tyrsys, na korytku wsparta nieco główka,

Gdzie z zgniłej rury ciekąc szmer daje gnojówka;

Nos ojczystą tabaką hojnie napelniony,

Harmonijne z sapaniem wyprowadza tony:

Tkliwe wiejskie swobody! w tém świnia przychodzi

I węchem koło twarzy miły sen przeszkodzi.

Pójdźmyż do tego, który rozbrat zrobił z światem,

Ekonom, co jedynie sprzyjał się z batem,

Jak od arkadyjskiego różni się on pana!

Ni jemu fletnia z wieńcem bywa poświęcana;

Gardzi sypanym kwiatem i ogniem ofiary,

Gąska, jajko i pieniądz to u niego dary!..

„Tak to, mój przyjacielu! wszystko na wsi przeciwne do
sielanek; więc i tym podobno trzeba tutaj dać pokój.“

Nie sądźmy jednakże, żeby Kazimierz rozczarował się do
życia wiejskiego; przeciwnie, zawsze było najulubieńszem z je-
go marzeń osiąść gdzie na ustroniu, wśród pracowitych chłop-

ków, śpiewać z nimi, pracować na kawałek chleba i Pana Boga chwalić... Z tej samej epoki, kiedy powyższy list pisał, między innemi swemi wierszami posłał Grabowskiemu i następujący, z którego wyjątek wypisuję:

„O! co za szczęście, wieśniacy,
Gdybym ja miał chatkę z wami,
Obudzałiby mnie ptacy
Chodzić co rano do pracy,
Z wypoczętymi wołkami.
Obwiany chłodnym wietrzykiem,
Szedłbym często na szczyt skały
Z wierzbowym moim flecikiem,
I przeciwić się z słowikiem,
Nuciłbym Bogu pochwały.
W młodości bym użył świata,
Potembym, szczęśliwy z żoną,
Wzmagał sąsiada i brata,
Bym miał gdzie w późniejsze lata
Schronić głowę usniezoną.
Aże gdy mnie śmierć powali
Przecieżbyście mi pospołu
Dobre wasze słowo dali,
W dzwony uderzyć kazali,
Odprowadzili do dołu.

Jeszcze tu romansowości co niemiara! Czuł to Brodziński i zaraz pod spodem dodał: „zapewne to nie w twoimguście, ale cię ostrzegam, że jabym to tam chciał, gdzie ani złego pana, ani ekonoma z batem nie ma.“

Chwile tej swobody wiejskiej w Sulikowie dzielił Kazimierz między zabawy sąsiedzkie i kształcenie się na poważnych dziełach, których mu najwięcej A. Grabowski dosyłał z Krakowa. Czasami trafiła się i jaka niepoczesna ramota; jakżeż dowcipnie umiał ją wyżartować! Jest to strona jego

sposobu pisania najmniej znana, a zatem zasługująca, abym ją na jaw wydał. Sam, nieporównany w rodzaju tym, Krasiecki, lepiejby i ledziej nie napisał.

„Duch jakiś dla mnie nieprzyjazny ściągnął szanowną twoją łapkę do postania mi *Kościola sławy*. Czy ja poganin nie-dobry, czy zaślepiony przez jaki cud, iż mi się wszystko zdaje, że to *Kościół nudów*. Dobrze czytać głupstwa, nawet kiedy się z nich można śmiać; ale tu ni śmiać się ni płakać, tylko głowę od ucha do ucha rozdzierać, ziewając. Już ja to byłem dawniej coś tak napisał o tem:

Autor ma rozum z cnotą, powiem bez obawy.

Autor, co wierszem kościół opisał nam sławy;

Chwalić, gdzie nie chcą puścić, nie rzadkaż to cnota,

Opisać, co nie znamy, nie trudnaż robota?

Bóg zapłać i za szermierstwa akademji! (ówczesnej Krakowskiej). Czytając ten list, przypomniałem sobie z westchnieniem, że nie inaczej się działo z owym Donkiszotem, który znalazłszy w górach warjata, sam będąc mente captus, zaczął go naśladować, i trudno było poznać, który z nich głupi a który ry warjat. Gdyby kto miał dowcip Cerwantesa, nierównie obszerniejsze miałby pole opisać zagorzałego mniemanego literata, szukającego zaczepki, i o Szansze-pansze niebardzo by trudno było. Ale patrzaj no mój Ambroży, z sielanka-rza coś się robi satyryk.“

Ale otoż i stosunek literacki między dwoma przyjaciółmi miał się już pod koniec. W tym-że samym liście, pisanym d. 23. maja 1814. r. Brodziński donosi o swoich projektach, a zarazem kreśli wewnętrzny stan duszy swojej, podobien w tem podróżnemu na rozstajnych drogach. „A wiesz o tem, że to z tych stron ostatni list, który piszę do ciebie? Dla tego go mi nic z książek nie posyłać. Tak, tak — jadę do Poznania,

(miał tam odbierać jakiś spadek po krewnych) — „ztamtąd „Bóg wie gdzie się udam. Wszelkiej taktyki wojennej użyję, „aby się niespotkać z powracającym wojskiem z Paryża; już „ja się w nie niechęć mieszać; pragnę zakonserwować nogi „i ręce całe; bardzo teraz wpatruję się w filozofów, a oni „wszyscy utrzymują i dowodzą, że to niedorzeczny dać sobie „je poucinać. Stoję teraz, jak Herkules, nad rozstajniami drogi, „to jest nie z pałką w zylastej dłoni, ale z mantelzakiem pod „chudą pachą, gdzie się udać? Gdybym był Herkuielem, tobym „wówczas greckim komissarzom drogowym proponował, aby do „roskoszy i cnoty nie było osobnych dróg, ale jedna, i Bóg za- „płać Epikurovi i naszego wieku Helweuszom i t. d. że „nad połączeniem tych dróg pracowali; ty to nalepień podob- „noś czujesz, że roszkosh i cnota jest to jedna droga. Jest na- „wet moją myślą, (tylko się nie śmięj) wojażować, a najbar- „dziej po Szwajcarii; żeby można nad Genfem jaką sielankę „zrobić, bo tu już mi się nie udadzą. Ale to, wojażować, mój „kochany, z mierną sumką w kieszeni i pieszo; a jakby nogi „zbołały i kraj mniej był wart, żeby go pieszo mierzyć, przy- „siaść się gdzie. Najbardziej chciałbym grób Russa odwie- „dzić piechotą, który także radzi w swoim Emilu, że najlepiej „pieszo wojażować. Gdybym równego szaleńca gdzie napadł, „tobym się puścił z nim niezawodnie.“ — Tym czasem zyczenia „jego nie spełniły się, zamiast szukania sielanki po Szwajcarii „i wrażeń poetyckich nad brzegiem Lemanu, pojechał do Warsza- „wy, gdzie wziawszy uwolnienie od służby wojskowej, dostał „się na bardzo niskiego urzędnika do komissji spraw we- „wnetrznych. Dopełniając obowiązków urzędu, miał jeszcze czas „poświęcać się muzom i nauce, a zrobiwszy sobie głośniejsze „imie, szczególnie rozprawami umieszczanymi w Pamiętniku War- „szawskim, zaczął dawać lekcje literatury polskiej w konwik-

cie XX. Pijarów na Żoliborzu. Odtąd, w miarę jak wpływ je- „go coraz wyraźniej zaczął się objawiać w kierunku, jaki dał „piśmiennictwu krajowemu, rósł we wziętość i sławę, która go „nakoniec wyniosła na stopień profesora uniwersytetu.

(a powoda profekaj powego profesora w College de France 1. 1841)

Adamie, drugu wiesz, arcywieszcy!
 Aż nie kłaniasz się, co Francuz wieszcy, Adamie!
 Na gieniusza? Toć do ciebie przysięgi w towar złożył
 Francuz, estetyk mowy i polityk, iściot miewał gwałt
 Sklecił nieścisła dowcipne systemy, co na kolanał
 W którym, proz dźwięku marnego, miedziem (i kł)
 Zgorzały mnie jednak Zomini, iż z czoła w gniał
 A ciebie?... Skąd to wrona? Iżwini, iżwini, iżwini
 Ha! bezrytmowa, bezrytmowa dusza
 Śmie ruch przesłuchać myśli Gieniusza!
 Aż w nim pojmie jaskanie się takti?
 Tęrowe one i baw i plaski,
 Jakimi stroi Pan swego wiodarza?
 Aż rozumie Słowo co w nim sławka.

W Imienniku W. T.

Stalowym rylcem na zimnym marmurze,
Klio pamięci zapisuje księgi—
Na lotnym piasku, miotanym przez burze,
Miłość spisuje kochanków przysięgi.
Lecz tylko w sercu i niezgasłej myśli,
Prawdziwa przyjaźń życzenia swe kręśli.
15 Grudnia 1859 r.

Zofja Węgierska.

O GIENIUSZACH

DO ADAMA MICKIEWICZA.

(z powodu prelekcji pewnego professora w Collège de France r. 1841)

Adamie, druha wieszczy, arcywieszczy!
Az az nie gniewasz się, że Francuz wrzeszczy
Na gieniusze? Toć do ciebie przytyk!
Francuz, estetyk mocny i polityk,
Sklecił nielada dowcipne systema,
W którym, prócz dźwięku marnego, nic niema;
Zgorszył mnie jednak Żomini,
A ciebie?... Skąd to wracają Litwini?...

Ha! bezrytmowa, bezrytmowa dusza
Śmie ruch przesledzać myśli Gieniusza!
Aż w nim pojmie jarzenie się łaski?
Tęczowe one i barwy i blaski,
Jakiemi stroi Pan swego włodarza?
Aż zrozumie *Słowo* co w nim stwarza,

O którym sam on pomazaniec nie wie?
A toż pod sercem wieczyste żarzewie,
Wulkan ukryty w głębokościach ziemi,
Co bucha w lawie kruszcami wszystkimi?
Wieszcz?— to wybrane przedrogię naczynie,
To coś, z wszechmocy Bożej w kruchej glinie,
Darowanego ludowi na chlubę,
Na światłość wiekom pod ciemności grube.
Jako wysoka wieżyca u morza,
Na której czole zapalona zorza,
Świeci żeglarzom w nocach ku przystani,
Wieszcz świeci ziomkom wśród czasów otchłani.

On bo wcielony duch swojego Ludu,
Sam piastujący złotą różczkę cudu,
Którą odtwarza, co w nicość zapadło;
Zamierzchłych dziejów w nim wierne zwierciadło.
On żywym głosem głosów co przebrzmiały
W rozjękach bólu i w rozgwarze chwały;
Lud bezimiennie długie wieki drżemie,
Aż w pieśni wieszczą dostanie swe imię.

Adamie, bracie, u tutejszych ludzi
Gieniusz nawet winnej czci nie budzi,
Nie mają bowiem polskiego zapалу,
Co na kolanach w obec ideału,
(Jak ja przed twojem obliczem natchnionem) —
Korzy się w sercu ze łzą i pokłonem,
I w tém się czuje mędrszym instyktowie
Niż wszyscy razem tu professorowie!

J. B. Z.

Z Boskiej komedji Dantego.

P I E K Ł O.

Pieśń pierwsza.

W samą polowę drogi naszego żywota
Zapuściłem się w dziki, głuchy las nieznany:
Tak mię podówczas nocka zbłąkała ciemnotą;
O cóż to za okropny niewypowiedziany
Widok! aż dreszcz przebiega na samo wspomnienie,
Sam nawet obraz śmierci w strachu pomysłany
Mało co gorzej nęka człowiecze sumienie.
Lecz by rozgłosić szczęście, co mię tam spotkało,
Powieś tu po kolei wprzód inne widzenie.
Nie potrafię opisać jako to się stało,
Zem się tam znalazł, tak mi sen oczy zamroczył,
Że mi się wciąż na dobrej drodze być zdawało,
Ale gdym się wydostał z lasu, i już wkroczył
Tam, gdzie się wznosił wzgórek na krańcu doliny,
Na której tak mi ciężko serce strach przytłoczył
Spójrzę — alic u góry, na szczycie wyziny
Już się rozlacza promień gwiazdy wędrownika,
Co przewodniczy ludziom skroś wszelkiej drużyny.
Wtenczas dopiero poczuł jak powoli znika
Przestrach, co z taką burzą w serce zakolał
Owój nocy, gdy puszcza trzymała mię dzika.
Jak ten, co go niedawno wiatr z falą zamiatał,
Wybrnąwszy, zadyszany tuli się do skały,
A patrzy w morze, tak też i mój duch ulatał
Nieochłonięty z trwogi, a wzrok w pół omdlały

Zwracał się w stronę, gdzie się przed chwilą przeprawiał.
A kędy żywych nigdy nogi nie postąły.
Potem gdym uczuł w siłach, że się duch odnawiał,
Znów puściłem się w drogę, a wciąż takim krokiem,
Żem padół coraz niżej za sobą zostawiał.

Az tu na samym wstępie, ledwo rzucę wrokiem,
Widzę, jakaś pstrój barwy wysmukła pantera
Wywija się w podskokach, tuż pod mojem okiem,
I wcale się ustąpić z drogi nie zabiera;
Owszem tak mi zawadza, gdy posuwam nogi,
Że znużonego nieraz w tył gwałtem odpięra.
Czas to był, kiedy dzionek w ranne wchodził progi
A słońce wstępowało z owych gwiazd drużyną,
Stworzoną z niem, gdy miłość Boża pierwsze drogi
Zakreśliła tym dziwom, co po niebie płyną.
Dobrze więc mogłem wróżyć na wstępie odmiany,
I z miłej pory roku z poranną godziną,
I z migającej zwierza barwy centkowanej;
Lecz niedługo, bo wkrótce lew się srogi zjawił
I wnet ujrzałem wątek nadziei przerwany.
A zdało się jak gdyby ku mnie kroki stawił,
Paszcza rozwarta, grzywy najeżone kudła,
A gdzie stąpił tam rzekłbyś dreszcz w powietrzu sprawił;
I tuż wilczyca, tak już chciwością wychudła,
Że zdawała się płodem wszystkich żądź ciężarną
I do rozpaczny pewno wielu już przywiodła.
Tę skorom ujrzał, tak mię słabości ogarnęła,
Iż nadzieja, że wkrótce szczyt góry zobaczę,
Przed chwilą pewna, teraz zmieniała się w marną.
A jak ów, co to tylko za zyskiem kołacze,
Gdy w jednej chwili straci co tylko posiadał,
We wszystkich swoich myślach biedzi się i płacze, —
Taką i mnie samemu klęskę zwierz ten zadał:
Bo nacierając wciąż mię odpychał ku stronie,
Gdzie oczom nigdy słońca blask nie odpowiadał.
Gdy się tak cofam z góry w dół, na niższe błonie,

Zjawia się postać człeka, a widać oblicze
 Takie, jakby oddawna głos mu zamarł w łonie;
 Ledwie go idącego zoczył przez tę dziecę,
 „Ratuj — krzyknę ku niemu wołaniem dalekiem —
 „Ktośkolwiek, człek czy cienie człowieka zwodnicze!“
 A on mi: „Już nie jestem, lecz byłem człowiekiem,
 „W Mantui'm się urodził z Lombardów plemienia,
 „A gdy mię jeszcze matki pierś karmiła mlekiem,
 „Żył Juljusz, choć Rzym tylko był Rzymem z imienia!
 „Wzrosłem, kiedy wspaniałe rządziły Angusty,
 „Za czasów owych bogów kłamstw i urojenia,
 „Jam to był owym wieszczem, co wdzięcznymi usty
 „Opiewał, jako niegdyś syn Anchiza z Troi
 „Przybył, gdy zgorzał Ilion już od miecza pusty!
 „Lecz ty, dla czego wracasz do męczarni swojej?
 „Czemu zstępujesz? co cię od szczytu odwiodło,
 „Od miejsca, gdzie wszechradść wszelką boleść koi?“
 — „O, tyżes to Wirgili, tyś to owa źródło,
 „Skąd się rozlewa tyle wymowy strumieni?
 Odpowiem zawstydzony — „O najwyższe godło
 „Wszech wieszczów! najświatlejszy z genjuszów promieni!
 „Racz wspomnieć, żem się karmił twych myśli utworem,
 „Żem się dobijał o to po ziemskiej przestrzeni;
 „Tyś mi był pierwszym mistrzem, ty jedynym wzorem,
 „Od ciebie wziął ów sposób pięknego pisania
 „I sławym nabył za to, żem twoim szedł torem.
 „Widzisz tę bastję, co mi wciąż drogę zasłania,
 „Wybaw mię od niej, mędrco! O! na wszystkie bogi!
 „Wybaw bo już śmiertelne czuję w żyłach drgania.
 — „Innej się wcale trzymać wypada ci drogi,
 Odpowie, gdy mię ujrzał zalanego łzami —
 „Jeśli się chcesz wydobyć z tej krainy wrogiej:
 „Bo ten zwierz tak zajadłym staje się czasami,
 „Że póty męczy, drogi nie dając swobodnej,
 „Aż walka śmiertelnemi skończy się bolami,
 „A w swęj dzikięj wściekłości tak zmysł ma wyrodny,

„Że nigdy swoim chciałym żądzom nie dogodzi,
 „I im więcej pożera, tęp bardziej jest głodny.
 „Znam ja nie jedno zwierzę, z którym w parze chodzę;
 „I z wielą jeszcze pójdzie. Lecz już, już przybywa
 „Chart, co mu raz na zawsze tych schadzek przeszkodzi:
 „Ten ziemi, ani kruszcu wcale nie spożywa,
 „Karmi się on mądrością, miłością i cnotą,
 „A ród ma tam, gdzie ziemia Feltro się nazywa;
 „On zbawi kraj, za który z tak mężną ochotą
 „Eurial, Turnus, Nizus i młoda Kamila
 „Woleli z ran umierać niżli żyć z sromotą.
 „Ten póty ją gnać będzie, aż nadejdzie chwila,
 „Że ją znowu zapędzi w głąb' samego piekła,
 „Skąd się wyrwała na świat od ciężkich lat tyła!
 „Otoż jedyny sposób, co myśl ma dociekle
 „Na twój ratunek, jest to być twym przewodnikiem:
 „I powiodę gdzie wieczność czasu się wyrzekła,
 „Gdzie twe ucho przerazi rozpacz wściekłym rykiem,
 „Gdzie potępienie tyle mąk już wycierpieli,
 „Ze każdy z nich, by skończyć, chce być śmiertelnikiem.
 „I ujrysz tych, co chociaż w ogniu a weseli,
 „Bo w nich nadzieja, że się Bóg kiedyś zlituje,
 „I że po mękach wszystkim raj wieczny wydzieli;
 „Dokąd jeśli ciekawość twe kroki skieruje
 „Godniejszego odemnie usłuży ci rada.
 „Ja zostanę — mnie wyrok odwieczny wstrzymuje!
 „Bo ten król, co tam z góry całym światem włada,
 „Za to, żem go nie uznał i trwał w błędnej wierze,
 „Prawo to przewodnictwa wciąż mi wypowiada.
 „Wszędzie on panem, ale tam w najwyższej sferze
 „Gród Jego, tam On wieczny tron sobie wyznaczył,
 „Stokroć szczęśliwy kogo do tych miejsc wybierze!“
 A ja: „Błagam cię wieszczu, byś mi pomódz raczył
 „W imię Boga, któregoś ty nie czeił na ziemi,
 „Bym się ratując z gorszą dolą nie zobaczył;
 „Błagam, prowadź, gdzieś mówił, drogami pewnymi,

„Bym mógł oglądać bramy Piotrowej posady
„I tych, co tak okropnie malował smutnem.
Wtedy on ruszył naprzód a ja za nim w ślady.

W. T. Ramingo.

Rzym 2. Kwietnia 1860

PIEKŁO.

Pieśń ósma.

TREŚĆ.

Idąc po nad brzegiem Styxu, Wirgiliusz i Dante stają na przeciwko wieży, zamykającej wniście do szóstego piekieł kół, czyli do grodu Dite. Na znak dany z wieży, przybywa Flegias, aby przeprowadzić wędrujących poetów. W ciągu żeglugi, wynurza się z błotnistej toni widmo złośliwe, w którym Dante poznaje możnego niegdyś ohywatela Florencji — Filipa Argenti, i rzuca nań przekleństwo. Potem poeci przybijają do portu, ale złe duchy przeciwią się ich wniściu do twierdzy i zamykają bramę, nie zważając na przełożenia Wirgiliusza.

„Ciągnąc rzecz dalej, powiadam że pierwój

Nizliśmy doszli stóp wysokiej wieży,

Już oczy nasze na szczyt jój pobiegły,

Bośmy spostrzegli jako dwa płomyki

Dla znaku na nim zatłono, a trzeci

Nań odpowiedział, co był tak daleki

Że oko ledwie dosięgnąć go mogło. (1)

Rzekłem więc, mowę zwracając do morza

Wszelakięj wiedzy: co ten płomień znaczy?

I co ten drugi jemu odpowiada?

Kto są ci, którzy ogień zapalili?

A on mi na to: „Już na brudnych wodach,

„Dójrzyś zapewne czego tu czekają,

„Jeżeli mgła bagna nie cmi twego oka.

Nigdy tak strzała cięciwą popchnięta
Nie leci szybko przez powietrzne szlaki,
Jako, widziałem, łódź ku nam malutka
Biegła po wodach, pod sterem jednego
Wioślarza tylko, który wykrzykiwał
„Złapałem ciebie niegodziwa duszo!
„Flegias, Flegias! (2) (Pan mój się odzywa)
„Na ten czas wcale próżne krzyki twoje,
„Tyle nas tylko będziesz miał w swój mocy,
„Póki przepłynięm to ohydne błoto“
Jak ten, co słysząc, że go napotkały
Wielkie zawody, wewnątrznie się gryzie,
Tak gniew swój Flegias stłumił w samym sobie.
Więc wódz mój wstąpił do łodzi i kazał
Bym schodził za nim, a gdy wszedł do wnętrza,
Wtenczas dopiero łódź ciężar uczuła. (3)
Zaledwie oba stanęliśmy w nawie,
Wnet pierś jój stara pomknęła przez wody,
Prując je głębiej niż zwykła z innymi.
Gdyśmy po martwém żeglowali bagnie
Nagle przede mną, widmo pełne błota
Staje i rzecze: „Ktoś ty, co przed czasem
„Przychodzisz tutaj?“ A ja mu odrzekłem
— Jeśli tu wchodzę, przecież nie zostaje.
Lecz ty kto jesteś? czemuś tak obrzydły?
„Widzisz, odpowie, jeden z tych co płaczą.“
A ja mu na to: — W jękach rozpaczę
Zostawaj wiecznie tu, duchu przekłety,
Znam cię, chociażś cały tak zbłocony. (4)
A on ku łodzi ściągnął ręce obie,
Lecz mistrz przezorny, odpychając, rzecze:
„Precz ztąd, przekłety, wraz z innemi psami!“
Objawszy potem szyję mą w ramiona,
Twarz ucałował i tak się odzywa:
„Kłótnie otaczające niechaj będzie łono
„Co cię nosiło, duszo oburzona!...

„Duch ten za życia był pychą nadętą,
 „Żadna mu cnota pamięci nie zdobi,
 „Dla tegoż tutaj wściekłością się trawi.
 „Iluż to ludzi, którzy się tam mają
 „Za wielkich królów, kiedyś ot w tém błocie
 „Tarzać się będą, jako brudne wieprze,
 „A straszna wzgarda po nich tam zostanie.”
 — Mistrzu mój! rzekłem, rad byłbym niezmiernie,
 Gdybym go widział uduszonym w błocie,
 Pierwiej nizeli wypłyniem z jeziora.
 A on mi na to: „Stanie ci się zadość,
 „Nim brzeg urzemy; albowiem przystoi,
 „Byś miał pociechę za takie żądanie.”
 I wkrótce potem widziałem jak strasznie
 Błotniste tłumy szarpać go poczęły,
 (Za co dziś jeszcze składam dzięki Bogu)
 Wszyscy krzyczeli: Filipa Argenti!
 A duch zajadły tego Florentyna
 Wścieklemi zębami gryzł samego siebie!
 I w takim gośmy zostawili stanie,
 Przeto już o nim nie więcej nie powiem.

W tém jęk boleści przeraził me uszy;
 Więc wytężonem patrzę przed się okiem,
 A mistrz mój dobry: „Już, rzecze, mój synu,
 „Gród się przybliży, który zwie się Dite. (5)
 „W nim mieszka wielki tłum ciężkich zbrodniarzy.
 — Mistrzu! odrzekłem, już rozróżniam jasno
 Wieżycę jego, tam w głębi parowu,
 Krasne, jak gdyby z płomieni wyrosły.
 A on mi na to: „Ogień to przedwieczny,
 „Paląc ich wnętrze, czerwoność im daje,
 „Jaką tam widzisz, w tém głębokiem piekle.”
 Zatem wpływamy do wysokości fossy,
 Która otacza ziemię utrapioną,
 A mur jej zdał się jak gdyby z żelaza.

Zrobiwszy pierwój wielkie dosyć koło,
 Stajem, a sternik mocnym krzyknął głosem:
 „Wychodźcie! Oto jest wnijście do grodu.”
 Więcej tysiąca ujrzałem na bramie
 Upadłych z nieba, (6) którzy zapalczywie
 Wołali: „Kto ten, co śmierci nie znając,
 „Wędruje śmiało przez śmierci królestwo?”
 A mądry mistrz mój znakami wyraża,
 Że chciałby z nimi tajnie się rozmówić.
 Więc tłumiąc nieco wielkie oburzenie,
 „Chodź tu sam, rzekli, a ten niech odchodzi,
 „Co tu zuchwale zabrnął aż w to państwo;
 „Niech sam powraca szaloną swą drogą,
 „Niechaj spróbuje, bo ty tu zostaniesz,
 „Ty, coś go przywiódł w kraj wiecznej ciemności.”
 Zważ czytelniku, czym stracił odwagę,
 Kiedyś posłyszał tę przekłątą mowę;
 Bom już nie sądził, że na świat powrócę!
 — Mistrzu mój drogi, któryś tyle razy,
 Pokrzepiał duch mój i wybawił raczył
 Z wielkiej przygody, która mnie spotkała,
 O, nie opuszczaj mnie w tém utrapieniu!
 Jeśli nam dalsza podróż zabroniona,
 Wracajmy prędzej własnych szukać śladów.
 Lecz pan mój, który mnie tam zaprowadził,
 Rzecze: „Nie bój się; bowiem tam nie dano, (7)
 „By nam ktokolwiek wzbronił przejścia tego.
 „Czekaj mnie tutaj, a duch podupadły
 „Pokrzepiaj, dobrą karmiąc go nadzieją,
 „Że cię w tym ciemnym nie opuszczę świecie.”
 I odszedł, ojciec mój drogi, samego
 Mnie zostawiwszy, w niepewności srogiej
 Bo tak i nie tak — walczyły w mój głowie
 Nie mogłem słyszeć, co on im przekładał,
 Ale nie długo zabawił on z nimi,
 Bo wszyscy w zawód pomknęli do grodu

Wrogowie nasi i bramę zamknęli
 Przed piersią mistrza, który zewnątrz został, a stał
 I wracał ku mnie powolnemi kroki.
 Oczy ku ziemi spuścił, a powieki
 Straciły wyraz uprzedniej pewności;
 Wzdychając, mówił: „Któż mi to zaprzeczył?
 „Wnijszcie do tego przybytku boleści?
 A potem do mnie: „Jeżeli się gniewam,
 „Nie trwoż się wcale, bo zwyciężyć muszę
 „Ktokolwiek by tam wewnątrz się przeciwili.
 „Ta ich zuchwała krnąbrność już nie nowa;
 „Dali ją poznać u wrót mniej tajemnych, (8)
 „Które bez zamków dziś stoją otworem!
 „Widziałeś na nich ciemne pismo śmierci?
 „Oto już przez nie z wysokości schodzi,
 „Bez wodza idąc przez piekielne koła,
 „Ten, co nam bramę tej ziemi otworzy.“ (9)

Antoni Stanisławski.

PRZYPISY DO PIESNI VIII.

- (1) Dante chce przez to dać poznać, że gród piekielny dobrze był strzeżony: że miał dwie bramy, z których na pierwszej zapalano ogień, dając znać o każdej! nowoprzybyłej duszy, na drugiej zaś odpowiadano takimże znakiem i wnet posyłano łódź dla przewiezienia potępionca. Tera, na pierwszej, wchodowej bramie zapalono dwa ognie, na znak, że się zjawiały dwie dusze, żądające przewozu.
- (2) Przewoźnikiem na wodach Styxu, Dante chce mieć Flegiasa — osobę znaną w Mythologii greckiej. Był to syn Marsa, król Lapitów, który miał dwoje dzieci: bezbożnego Ixiona i piękną Koronissę. Kiedy Apollo zhańbił Koronissę, Flegias uniesiony gniewem spalił świątynię tego boga i za to bezbożne zuchwalstwo wtrącony został do piekła. Wiergiliusz w opisie wdrówki Eneasza do piekiel, wspomina o nim:
 „Flegiasque miserrimus omnes
 Admonet, et magna testatur voce per umbras.
 Discite justitiam moniti et non temnere divos.“
 T. Flegias zjawia się jako postać, uosabiająca razem zapalczywość i bezbożność — przewozi on dusze idące z koła, gdzie się dręczą złościny, do grodu Dite, siedziska bezbożnych.
- (3) Poeta chce dać do zrozumienia, że łódź Flegiasa, zwykle przewożąca cienie, nie mające wagi, pod nim dopiero, jako człowiekiem żywym, glebię się nieco zanurzyła.

- (4) Widmo to; jest duch Filipa Argenti, ze znakomitego rodu Cavicciuli-Adimari. Był to człowiek niezmiernie możny i bogaty, a tak zapalczywy w gniewie, że najmniejsza rzecz unosiła go do wściekłości. Dante rzuca tu nań nielitościwie przekleństwo, mszcząc się zapewne za to, że Filip Argenti był jednym z najzaciętszych nieprzyjaciół poety i najmocniej sprzeciwiał się powroćceniu go do Florencji, kiedy, w skutek przewagi przeciwnego stronnictwa, został z niej wygnany.
- (5) Gród Dite nazwany tak od Dis, imienia, które szczególnie Plutonowi przyswajali Rzymianie.
- (6) Słusznie na straży grodu, który jest siedliskiem bezbożnych, poeta stawia spadłych z nieba aniołów, którzy się pierwsi bezbożnością skalali.
- (7) Woryginalie jest: da tal n'è dato (Ten t. j. Bóg nie dał).
- (8) Napomyka tu poeta o bramie piekielnej, którą Chrystus, niezważając na opór złych duchów, rozłamał, wchodząc do otchłani, o czém jest wzmianka w nabożeństwie na Wielką Sobotę: „Hodie portas mortis et seras pariter Salvator noster dirupit.“ Jest to też sama brama, przez którą przeszli wędrujący poeci i której napis złowrogi znajduje się na początku Pieśni III-jej: Per me si va nelle città dolente etc.
- (9) Dante daje do zrozumienia, że na pomoc mu przybywa już Anioł od Boga posłany, który rzeczywiście zjawia się w następnej pieśni.

PIEKŁO.

Pieśń dziewiąta.

TREŚĆ.

Z kilku urwanych słów Wirgiliusza, Dante domyśla się grożącego im niebezpieczeństwa i zaczyna wątpić o mistrzu swoim, który go uspakaja. Tymczasem na szczycie wieży zjawiają się trzy Furje straszliwe, które wzywają Meduzy i grożą Dantemu, że go zamienią w kamień. W tem, poprzedzony tłumem uciekających złych duchów, zjawia się posłaniec niebieski i rószczeni dotknięciem otwiera bramę piekielną grodu, który stanowi szóste piekieł koło. Poeci wchodzi bez oporu do wnętrza twierdzy i oglądają niezliczone mnóstwo grobów płonących, w których pogrzebieni wszelkich sekt heretycy i ich zwolennicy.

Spostrzegłszy barwę, w którą mnie oblekła
Nikczemność moja, kiedym go obaczył
Wracającego, mistrz mój usiłował
Tłumić co prędzej własne swe wzruszenie.
Stał on, jak człowiek, co uważnie słucha,
Bo wzrokiem nie mógł zasięgnąć daleko
W mrocznym powietrzu, w gęstej mgły obłokach.
„Musimy przecież zwalczyć tę przeszkodę....
„Jeśli nie.... rzecze. Taki nam się zjawił....
„Jakże mi pilno widzieć go tu z nami!“ (1)

Widziałem dobrze, że mistrz usiłował
Skryć wątek mowy w dalszych swoich słowach,
Które od pierwszych były wcale różne.

Mowa ta wszakże dodała mi trwogi,
Może dla tego, że słowom urwanym
Gorsze niż miały nadałem znaczenie.
Pytam więc mistrza: — Wchodził że kto kiedy
W ten dół nieszczęsny z pierwszych piekła stopni,
Kędy jedyną jest dla duchów karą
Nie mieć nadziei? — A on mi odpowie:

„Rzadko się zdarza, ażeby z nas który
„Odbyl tę drogę, po której dziś chodzę,
„Wszakże już niegdyś byłem ja w tej stronie,
„Kiedy mnie sroga zakłęła Erieto, (2)
„Co mogła duchy wracać do ich ciała.
„Niedawno jeszcze ciało moje było
„Wyzute z duszy, kiedy mi kazała
„Zniść do tych murów, bym ducha jednego
„Z Judaszowego wyprowadził koła. (3)
„Najgłębsze ono, oraz najciemniejsze,
„Najdalsze niebo co wszystko ogarnia. (4)
„Bądź więc spokojny, bo dobrze znam drogę....
„Bagno to, które wielkim smrodem zionie,
„Otacza w koło gród pełny boleści,
„Dokąd bez gniewu nie wnijdziemy teraz....“

Mówił coś jeszcze, czego nie pamiętam,

Bo w ślad za okiem, cały się zwróciłem,
Ku wielkiej wieży, na szczyt płomienisty,

Kędy się nagle trzy piekielne Furje
Podniosły z ognia, całe krwią zbroczone.

Członki i ruchy ich były niewieście,

Zielone hydry biodra ich ścisnęły,

A zamiast włosów węże i padalce

W koło straszliwych zwiły się skroni

A mistrz, któremu dobrze były znane

Te służebnice wiecznych mąk królowej, (5)

„Patrz, rzecze do mnie, na srogię Erinny: (6)

„Ta co na lewo stoi — to Megera,

„Ta co na prawo placze — to Alecto,

„A między niemi stoi Tyzyfona.“

I na tém skończył. A one tymczasem

Własne swe piersi darły pazurami,

Bily się dłonią, krzycząc tak okropnie,

Że się do mistrza tulił ze strachu.

„Przybądź, Meduzo, zmienimy go w kamień!

Wrzeszczały wszystkie, patrząc na dół ku mnie,

„Złesmy pomścić zuchwałość Tezeja!“ (7)

A Mistrz mój do mnie: „Odwróć się co żywił

„I zamknij oczy, bo gdyby Gorgona (8)

„Nagle stanęła i gdybyś ją njrzał,

„Stracona wszelka nadzieja powrotu!“

To mówiąc, sam mnie wstecz obrócił twarzą,

A dłoniom moim ufając zbyt mało,

Własną mi jeszcze zakrył ręką oczy.

Wy, co rozsądek zdrowy posiadacie,

Zważcie naukę, która się ukrywa

Pod wierszy moich dziwacznych zasłoną! (9)

A w tém przez mętne nurty nas doleciał

Łoskot straszliwy głosów pełnych trwogi,

Ze oka brzegi otchłani zadrzały!

Tak właśnie bywa, kiedy wiatr gwałtowny,

Przeciwnych prądów gorącym wzmożony,

Niepowstrzymany na lasy uderza.

Gałęzie trzaska, wali i unosi, (10)

I dąży pyszny, w mrocznej piasku szacie,

Goniąc przed sobą trzody i pasterze.

A mistrz mi oczy odsłonił i rzecze:

„Zwróć oko na te starożytne fale,

„Kędy się opar najzjadliwszy wznosi.“

Jak żaby w wodzie pierzchają strwożone,

Pędzone wzrokiem nieprzyjanej zmije,

Aż poki wszystkie na brzeg się nie zwałą,

Tak właśnie krocie duchów potępionych

Widziałem jako uciekały przed Tym,

Który po Styxie suchą stapał nogą. (11)

Od twarzy swojej powietrze zatechłe

Odganiał częstym ruchem swęj lewicy,

I tém jedynie zdawał się znużony.

Zgadłem, że Ten był z nieba nam posłany,

Więc ja do mistrza... a on mi znak daje,

Bym stał spokojnie i uchylił czoła

Jakże on mi się wydał pełnym wzgardy!

Przyszedł ku bramie i różeczki dotknięciem

Rozwarł je, żadnej nie znalazłszy tamy.

„Obmierzły ludu, z niebiosów wygnańce!

Zawołał stojąc na straszliwym progu,

„Zkąd krnąbrność taka jeszcze się w was gnieździ!

„Po cóż się jeszcze sprzeciwiacie woli,

„Któręj zamiarów nigdy nic nie wstrzyma;

„Która już tyle razy powiększyła,

„Męczarnie wasze? I cóż wam ztąd przyjdzie

„Z nieprzetamany wiecznie bić się losem?

„Cerber wasz za to, jeśli pamiętacie,

„Z obdartym pyskiem i szyją dziś chodzi!“ (12)

I wnet się zwrócił na gościniec brudny,

Ani się do nas odezwał, jak człowiek,

Co inna troska gryzie go i bodzie

Niż troska o tych, których ma przed sobą.

A my, bezpieczni po tych słowach świętych,

Ku owęj ziemi pomknęliśmy stopy,

I do jęj wnętrza weszliśmy bez boju.

Ja, który mocno widzieć pożądałem

Stan oplakany zamkniętych w tój twierdzy,

Skoro tam wszedłem, spojrziałem do koła

I widzę zewsząd rozległe obszary,

Pełne boleści i srogich męczarni!
 Jako pod Arlem, kędy Rodan bystry (13)
 Zlewa swe wody w stojące jezioro,
 Jako pod Polą, gdzie fale Quarnaro (14)
 Kąpią ostatnie Italii krańce,
 Ziemia się cała mogiłami jeży: (15)
 Tak właśnie było i tu z każdej strony,
 Tylko że widok straszniejszy daleko,
 Bo grób od grobu dzieliły płomienie
 I tak ich ściany rozpalały mocno,
 Że dla żadnego wyrobu, żelaza
 Rozpalonego bardziej nie potrzeba.
 Wszystkich grobowców wieka podniesione,
 A z wnętrza wstają tak okropne jęki,
 Że łatwo zgadniesz, jak straszne męczarnie
 Nieszczęśliwego potępieńców tłumu!
 Rzekłem więc: Mistrzu! jakie to są ludy
 Co w tych sklepieniach będąc pogrzebione,
 Głoszą o sobie bolesnemi jęki?
 A on mi na to: „Są to heretyki,
 „A z nimi mnodzy wszelkich sekt sternicy. (16)
 „I są daleko pełniejsze te groby
 „Niż ci się zdaje; każdy pogrzebiony
 „Z podobnym sobie, a grobowców ściany
 „Żarzą się ogniem i większym i mniejszym“ ... (17)
 Potem, gdy mistrz mój zwrócił w prawą stronę,
 Poszliśmy między męczenników groby
 I wysokimi krążgankami twierdzy.

Antoni Stanisławski.

PRZYPISY DO PIEŚNI IX.

- (1) W tym krótkim urywanym monologu, Wirgiliusz raz zdaje się być pewnym zwycięstwa, potem niby wątpi i trwoży się, na koniec znowu stara się pewność odzyskać, przypominając sobie, że Anioł idzie im na pomoc którego on tak niecierpliwie wygląda. Cóż może być naturalniejszym, jak zwątpienie Dantego, który domysla się tej walki w myślach mistrza swego?
- (2) Ericto była to sławna czarownica w Tessalji, o której Lukan wspomina w Farsalji swojej. Było to podobne imię, wielu innym czarownicom wspólne.
- (3) Koło Judaszowe — jest to dziewiąte piekielne koło. Nie wiadomo po kogo Wirgiliusz był tam posyłany przez srogą Ericte.
- (4) Przypomnieć tu należy układ świata niebieskiego, według systemu Ptolemeusza, którego Dante ściśle się trzyma w swoim poemacie.
- (5) Wiecznych mąk królowa, to Prozerpina, albo Hekate.
- (6) Erinny toż samo co Furje.
- (7) Furje napomkają tu na sławną wyprawę Tezeusza do piekieł, dla porwania z tamtąd Prozerpiny. Pluton ukarał go za to zuchwalstwo, przykuciem do urwiska skały. Furje uznają, że ta kara dla Tezeusza była za małą, tem bardziej, że większa część mythografów twierdzi jakoby Tezeusz uwolnionym został od tej kary przez Herkulesa; chociaż Eneasza u Wirgiliusza (VI, 617), zwiedzając piekło, spotyka tam jeszcze Tezeusza, a nawet daje do zrozumienia, że zostanie tam na wieki: *sedet aeternumque sedebit infelix Theseus!* Za mała kara Tezeusza ośmieliła niby Dantego do wędrówki piekielnej i dla tego Furje żądają, aby Meduza w glaz go zamieniła.
- (8) Gorgona. Tak się nazywała głowa Meduzy, na widok której ludzie kamienieli.
- (9) Zdaniem PP. Casta i Bianchi, treść nauki ukrytej w powyższych wierszach jest taka. Wiadomo, że twarz Meduzy była prześlizną. Dante więc chce niby dać do zrozumienia jak niebezpieczną jest dla człowieka zapatrywać się na piękność cielesną, która go może zgubić, ciągnąc ku sobie, i dla rozkoszy materialnych kazać mu zapomnieć o duszy.
- (10) Woryginalie jest: *e porta fuori*. Niektórzy czytają zamiast *fuori, fiori* t. j. kwiaty; ale zdaje się że niesłusznie. Nie mógł zdaje się Dante myśleć o kwiatkach, pisząc ten ustęp piękny, ale straszny.
- (11) Jest to na koniec Anioł, tak niecierpliwie oczekiwany.
- (12) Cała ta mowa Anioła do szatanów jest prześlizną; ostatnie dwa wiersze są szczególnie charakterystyczne. Sądzą niektórzy, że Dante napomka na to, że Herkules, kiedy wchodził do piekieł, aby wybawić Tezeusza, okuł łańcuchem szyję Cerbera i dziwią się pedantycznie, że poeta nasz kładzie w usta anioła bajki pogańskie. Zapominają więc, albo nie rozumieją, że Dante często bardzo używa mythów starożytnych, aby pokazać jak w pojęciach ludzkości tkwiła zawsze pewna liczba pomysłów pierwotnej prawdy, chociaż te pomysły skażone były fałszem, i dla tego w dziwacznej objawiały się formie.

- (13) Miasto Arles w Prowancji. Około tego miasta Rodan tworzy jezioro.
 (14) Pola miasto w Istrii, która stanowi granicę Włoch i dzieli je od Kroatji. Brzegi Istrii oblewa zatoka Quarnaro.
 (15) W pobliżu Arles i w pobliżu miasta Pola są obszerne mogilniki, pochodzące jak mniemają z czasów Rzymskich.
 (16) W oryginale jest: Qui son gli eresiarche
 Co' lor seguaci d' ogni setta.
 Zdaje się wszakże, że Dante mówi tu nie o założycielach i naczelnikach sekt heretyckich, bo tym naznacza on głębszy przybytek, mianowicie dziewiąty zakres ósmego piekieł koła (ob. Pieśń XXVIII), tutaj zaś pod imieniem eresiarcha, chce zdaje się rozumieć heretyków niby drugiego rzędu, oraz filozofów niewierzących w nieśmiertelność duszy ludzkiej i ich zwolenników.
 (17) Groby żarzące się większym lub mniejszym ogniem, oznaczać mają tym samym różny stopień niedowiarstwa i winy potępionych.

MŁODZIAN I STARZEC.

Przekład z Florjana

Zofji Węgierskiej.

— Jak porość w świecie? naucz mnie na Boga!

Zapytał ojca, syn w dumy zapędzie.

— Jest, odparł starzec, najprzód świetna droga:

Dobro ogółu na pierwszym mieć względzie,

Życie, zdolność i trud długi

Dla krajułożyć posługi.

— Na ten znój umysł się wzdryga!

Bez pozgonnego oklasku,

Chcę mněj zabiegów, mněj blasku!

— Jest niechybniejszy manowiec intryga

— O! to ścieżka nadto podła!

Bez plam, bez pracy, życzę sobie wzrostu.

— Zostań więc głupcem po prostu,

I ta dla wielu droga się powiodła!

CO PRZEZNACZONE NIE MINIE.

OPOWIADANIE

z prawdziwego zdarzenia.

„Młode dziewczę, za czém gonisz?...“

Było to na wsi zeszłego lata, — siedzieliśmy o zachodzie słońca w dość liczнім towarzystwie, w małym ogródku, który jakby wyrastał w większym ogrodzie. Był to rodzaj saloniku pod otwartem niebem. Kanapki darniowe z oparciem się i poręczami tworzyły wielkie półkole, — po za niemi wznosił się rząd młodych topolek, niby kolumny połączone z sobą girlandami lub festonami dzikiego wina i wdzięcznej bryonji, której zębate liście przeplatały kwiat i jagody razem. Przed sofkami rościelał się dywan z murawy i kwiatów misternie urządzony, w kształcie rogów obfitości, wieńców, etc. etc. — Jednak prezorność gospodyni (czułej o zdrowie gości) nie przestała na tym jednym dywanie, i różnego rodzaju makaty, nawet lamparcie skóry rozłożono na sofkach darniowych, na których siedziało towarzystwo po dwie lub trzy osoby, mając przed sobą stoliczek z herbatą i jagodami — (tych zaś główny *réservoir* znajdował się w altanie z dzikiego wina, co razem służyła za wejście do ogródka). A jak dzikie wino od topolki do topolki, tak od stoliczka do stoliczka wiła się rozmowa zaczepna i ciągle świeża. — Jedna z dam ukończywszy swoją herbatę przed innemi, i nie będąc cós do żywej rozmo-

wy usposobioną, wsparła się łokciem na poręczu kanapki, i z pod lamparciej szpony wydobywającą się trawkę zaczęła skubać, podziwując rozmaitość i bogactwo tego naturalnego aksamitu, który my pod ogólną nazwą murawy codziennie pod stopami naszymi poniewieramy. Napadają na nas dziwne usposobienia, któreby nazwać można mikroskopijnymi, — w podobnych chwilach zwracamy uwagę na rzeczy drobne i niedostrzeżone, a pogląd na nie tak nas uderza i zdumiewa, iż z tej malutkiej skali pojmujemy większe rzeczy. Tak było i z naszą damą, — a że była ona z rodzaju tych osób, co to nie umieją cieszyć się ani smucić same, zwróciła uwagę swęj towarzyszkii kanapkowej na ów mały świeatek co pod jej ręką wyrastał. Niebawem wszystkie kanapki stały się przedmiotem botanicznego rozbioru:

— Patrzajcie! — wołali jedni do drugich, jakby się im po raz pierwszy zdarzyło widzieć polną trawkę: — Jakże ten listek gładki, zupełnie atlas! a ten — to aksamit! A jakie tu ząbki — a jakie centki — A jakie równe paseczki, zupełnie jak na materji jedwabnej! — I w tém co było dziełem Boga, upatrywali podobieństwo z dziełem człowieka, zapominając że ta na pozór skromna i poniewierana trawka, była pierwowzorem pomysłów ludzkich. Ale my, wychowawce salonów, nawykliśmy podziwiać naturę w słabych jej kopjach. Uwagi wywołane tym przeglądem zdradzały w jednym filozofa, w drugim Chrześcijanina. Jedni podziwiali mądrość Boga, drudzy uwielbiali jego dobroć — musiał On myśleć i o małych robaczkach legnących się w trawie, gdy dla nich tak piękne gaje i puszcze utworzył. Gdy tak rozmawiano, ktoś się obejrzał i zauważył, że w gronie naszym pozostali tylko dojrzały wiekiem, — młode zaś pokolenie, panienki odbiegły dawno, a zebrane w kółko niedaleko altanki, chichotały z sobą, patrząc ciekawie ku drodze, z kąd słychać było daleki turkot: —

— Otoż macie! — ozwała się pierwsza gospodyni domu, bezdzietna wdowa — Że tych panienek nie bawią poważne rzeczy, i pewnie szepczą jakieś brednie między sobą.

— Bo same są jeszcze trawką — rzekł kapelan domowy.

— I zieloną, — dodała gospodyni.

— Przyznać się muszę rzekł ksiądz Augustyn, młody kapłan — że i ja także, choć mnie wielkość Boga i w małych zastanawia rzeczach, nie zwróciłem nigdy uwagi, tak jak dziś, na trawkę.

— Ale słysząc zaczęłą rozmowę, nie uciekłeś od nas — rzekła znowu gospodyni — Owszem przydałeś nie jedną uwagę, z której i my starsi skorzystali, a która jest stracona dla tych panienek.

— Alboż my sami nie byliśmy kiedyś jak one? — zauważała pani Albina. — Dopóki wszystko przed nami, i to w niepewności, patrzymy ku drodze, z kąd ma przybyć radość, szczęście, może smutek... byle odmiana! dla tego, że czujemy siły do walki z losem. Lecz gdy siły ustają, gdy nam już trudno wstać z miejsca, — szukamy rozrywki do koła siebie, i znajdujemy ją choćby w kwiatach polnych, — bo Bóg dobry przewidział potrzeby każdego wieku. Niechże więc młodość bawi się w oczekiwaniu choćby tego, co może nigdy nie przyjdzie! To ją więcej zajmuje niż wspomnienie przeszłości cudzej, która już pewno nie wróci!

— Jak dobrego adwokata mają w tobie panny — rzekła gospodyni.

— Broniąc ich, bronię i siebie. Alboż przeszłość nasza nie potrzebuje pobłażania? Czegoż się dziwić, że młodzi wolą towarzystwo ludzi niż rozprawy o kwiatach?

— Alboż my nie ludzie? — spytała śmiejąc się gospodyni.

— Zapewne, że ludzie, ale nie rówieśnicy.

— Ma pani słuszość, — rzekł ks. Augustyn — dla młodych trzeba towarzystwa młodych, co z niemi razem zestarzeją — inaczej starość nasza będzie samotną.

— Wytlumacz mi jednak — rzekł ks. kapelan — jeżeli młodość sympatyzuje z młodością, dla czego upodobanie do kwiatów rozwija się w późniejszym wieku? A jednak kwiaty to wiosna, a wiosna to młodość?

— A! bo kwiaty są tylko symbolem młodości, lubimy je dla tego, że nam młodość przypominają — i kto wie, czy woń nie dana jest kwiatom więcej jako pociecha na przyszłość, niż jako roskosz na dzisiaj? Woń jest duszą kwiatu, która kwiat zawsze przeżyje. Oto jest tajemnica, która tłumaczy ów urok przywiązany do kwiatu zeschłego.

— I co nam także tłumaczy dzisiejszą obojętność naszych panien. Ich bukiety są jeszcze w samej świeżości.

— Nawet u niektórych jeszcze nie rozkwitły, — dodała panna Albina.

— Do czegoż nas te wszystkie rozprawy doprowadzą? — odezwał się pan Józef, nie lubiący nic niedokończonego — Kiedy zazęliśmy rezonować, toż warto wskazać cel naszego rezonowania?

— O, jeśli pan chcesz koniecznie morału, — podchwyciła p. Albina — to nie łatwiejszego jak go wyprowadzić na plac, bo widny jest jak na dłoni. To nasze dzisiejsze obejrzenie się na piękność i cuda, które nas od dzieciństwa codziennie otaczają, dowodzi najlepiej, że my, jak piękna tak i szczęścia, szukamy daleko od siebie, gdy ono tuż obok nas wyrasta.

— To mi przypomina, — odezwał się p. Antoni, dotąd milczący — jeden wypadek prawdziwy o dwóch panienkach i jednym kawalerze, opowiadany mnie przez pewnego czci i wiary godnego kapłana.

— Opowiedz nam to zaraz! — ózwali się chórem wszyscy.

— Zgoda, — odrzekł p. Antoni — tém bardziej, że opowiadanie będzie nie długie. Ale gdzież to nasze panny? — dodał, szukając oczyma już odbiegłych w inną stronę sarneczek. — Chociaż rzadko kto z cudzego przykładu korzysta, warto jednak, aby posłuchały, że szczęście często nie za górami, ale o miedzę z nami graniczy.

Posłano w pogoń za panienkami. Wieczór był cichy, słonce ustąpiło księżycowi, i dla urozmaicenia przyjemności, gospodyni domu zaproponowała spacer po wielkim stawie, który cały ogród i domostwo oblewał. Dwóch sterników czekało już z wiosłami na wielkim bacie, — odszukano panienki, i całe towarzystwo, złożone z dziesięciu do piętnastu osób, weszło na pokład. Gdy wypłynęli na środek, ucieszył się dobrodusznie p. Antoni, że żaden z jego słuchaczy nie umknie, i powtórnie zaczął swoje opowiadanie:

— Spodziewam się, że państwo nie będą odemnie wymagać statystycznej wiadomości względem okolicy, w której rzecz, jaką mam opowiadać, miała miejsce — bo nawet sam jakoś nie bardzo wiem, w której stronie naszego kraju żyli nasi bohaterowie, — wiem tylko że to się działo w Litwie, i od tego nie odstąpię, bo charakter mego młodzieńca tak mi się podobał, że nie tylko cudzoziemcom ale nawet swoim współrodakom z nad Wisły lub z nad Horynia, nie radbym go ustąpić.

— Ho, ho, ho, to coś na bardzo wielkiego się zanosi? — zapytał ks. kapelan.

— Ostrzegam pana — rzekła gospodyni domu — że jeśli chcesz abyśmy jego bohatera pokochali, toś złą obrał drogę, bo po tak szumném zachwaleniu, cokolwiek on uczyni, wyda się nam błędem i powszedniem.

— To też ja go bynajmniej za coś nadzwyczajnego nie podaję. Mój Litwin był człowiek prawy, prostych uczuć i o-

bowiązków, — a wiemy dobrze, że Bóg nie wymaga od człowieka więcej nad wypełnienie powinności — dla czegoż panie macie być więcej wymagające?

— Ależ do rzeczy, do rzeczy! — wołał ks. kapelan, zażywając kilkakrotnie tabakę.

— Otoż — mówił dalej p. Antoni — ów mój Litwin, którego i — mię było Bronisław — a nazwiska nie wiem albo nie powiem — był najbliższym sąsiadem i najczęstszym gościem w domu pp. Miławskich, którego ozdoba, a pociechą podeszłych już w wieku rodziców, były dwie córki: Jadwisia i Zosia. Że były młode i ładne, to nie ich zasługa, — że były pracowite, bogobojne, pokorne i potulne, to zasługa ich matki, która była ich mistrzynią, a co więcej wzorem, — a przytém chętne do śmiechu i do tańca, proste, szczere, jednem słowem jak prawdziwe Litwinki...

— Dziękujemy! — przerwały obecne panienki z miłym uśmiechem.

Ale p. Antoni, jakby nie zważając na tę przerwę, dalej kończył zaczęty frazes: — Jak Litwinki prawdziwe być powinny.

— Czyż się godzi być tak złośliwym! — ozwały się zdekoncertowane panienki.

— Dobrze wam tak za przerywanie, — rzekła pani domu — Panie Antoni słuchamy dalej.

— Owoż jak mówiłem, p. Bronisław był prawie codziennym gościem u pp. Miławskich, a był to młodzieniec dokończony, i do Boga i do ludzi — Postać stworzona do kontusza i do karabeli, ale nie do kielicha, od którego stronił równie jak od kart. Czy słońce czy pogoda na niebie, on prawie zawsze na koniu — czy to dzień czy noc, zawsze gotów na usługi bliźniego; przytém gospodarny, oględny, ale nie zanadto — pobożny, ale też nie zanadto, — jego modlitwa była nie tylko w kościele, ale i przy boku przyjaciela, potrzebującego pocie-

chy, i przy łożu chorego wieśniaka — jednem słowem był to typ poczciwego Litwina.

— Czemu pan nie dziękujesz? — rzekła z uśmiechem jedna z panienek do siedzącego przy niej p. Karola. — Ale pan Karol korzystał z lekcji danej panienkom i zachował skromne milczenie, a panna Johanna, ciemna brunetka o niebieskich oczach, nie dając się odezwać p. Antoniemu, zawołała z żywością:

— Pan pozwoli, że ja za niego skończę?

— Przepraszam panią, to ledwie początek — a jeżeli to panią nudzi, dobijemy do brzegu i niech pani wysiadzie.

— Ale bynajmniej, ja tylko chciałam dowiedzieć, że się domyślam na co się to zanosi, bo nie trzeba być bardzo mądrą, aby odgadnąć, iż ów Fenix zakocha się w jednej z tych doskonałości, od których my jeszcze tak dalekie jesteśmy.

— Otoż właśnie, że pani nie zgadła, to byłoby zbyt pospolicie.

— To już wiem, — przerwała druga z kolei panienka — Owe Jadwisia i Zosia zakochają się w p. Bronisławie i obie umrą z suchot — a on z rozpacz...

— W łeb sobie strzeli? — kończył P. Antoni — i to nie, to byłoby zbyt po francuzku, a ja mówiłem paniom, że mój kawaler i moje panny byli Litwini. Mój pan Bronisław nie kochał żadnej z panien Miławskich, chyba jak siostry — one też go kochały jak brata. Dziwiło to nie jednego, bo nawet nie było między nimi żadnego pokrewieństwa, a i między cioteczniemi bywają skłonności, które mimowoli rodziców i Kościół prowadzą do ołtarza. Dla czego między Bronisławem a jego sąsiadkami zatrzymało się na przyjaźni, nie wiem jak mam wytłumaczyć. Może właśnie dla tego się nie kochali, że im to nie było wzbroniono — Bronisław był o lat ośm czy dziesięć starszy od panien, a że go wcześniej odumarli rodzice, i że po nich w spadku wraz z majątkiem odziedziczył i przy-

jaźni sąsiadką, miał siebie za bardziej starszego niż był rzeczywiście, i uważając się za przyjaciela rodziców, grał z córkami rolę wujaszka. Prawda, iż będąc studentem, widział ich jeszcze w kolebce, akademikiem woził ich w wózku i kołysał na chojdawce; — później choć wiek się zrównał, (bo on nie miał lat trzydziestu, a one prawie dwadzieścia), pozostały te same stosunki, bo zbyt niżej poufałości nigdy nie było. Pozostała więc ufność i przyjaźń, pozostała nawet nazwa: Zosiu, Jadwisiu, — z dodatkiem czasami, panno Zosiu, panno Jadwisiu. One też, choć go zwały panem Bronisławem, a gdy im szło o coś bardzo ważnego (bo on był medjatorem między dziećmi a matką w sprawie spacerów i wszelkiej zabawy) do „pana” przybywał słodki wyraz: „kochany” — ale sam interes był tak dziecinny, iż i wyraz nikogo nie raził, owszem otrzymał przywileje dawności *ziemskiej*. —

— „A wiem, rozumiem — zawołała p. Johanna — pan Bronisław był *domowym przyjacielem*, nie dziwnego, że czems więcej być nie mógł.”

— „Pani wyrzekłaś fatalne słowo, — rzekł z uśmiechem p. Antoni — Bronisław choć nie z nazwiska, ale *de facto* był przyjacielem rodziny Miławskich — i ta funkcja tak wystarczała jego pocziwemu sercu, iż nie tęsknił za innym tytułem ani uczuciem, i wszystkim było z tém najlepiej. On był opiekunem panienek na spacerach i na balach, chroniąc je nie tylko od ciągów po tańcu, ale i od złych języków; — bo w obec siebie nie dozwolił nigdy żadnego żartu, choćby najniewinniejszego, ze swoich siostrzyczek. On był ich tancerzem, gdy ktoś lepszy nie przyszedł, lub uprzedzając, aby kto gorszy nie zamówił. On ich ostrzegał i napominał w czém chybiły, — słowem dopełniał ich wychowania, za co serdecznie byli wdzięczni rodzice, ufając zupełnie w sumiennosc zacnego młodzieńca — a kochając go jak syna, nie pomyśleli czy zdawali się nie myśleć, że nim stać się

może w istocie, zeniąc się z jedną z ich córek. I rzecz dość dziwna, że im to nie przyszło do głowy, bo Bronisław miał z czego być pożądanym na zięcia, nie tylko jako człowiek, ale nawet jako partja. Folwark jego nie wielki, ale na którym nie ciążyły ani długi ani krzywda ludzka, graniczył z majątnością państwa Miławskich — a charakter samego dziedzica, to była *sztaba* czystego złota, na którą by śmiało można było stawiać szczęście córki. Może p. Miławscy myśleli, że „co się przewlecze to nie uciesze.” Takie zapewne było uczucie pp. Miławskich względem młodego sąsiada, tylko może nie umieli sobie zdać sprawy z własnych myśli.

— „To dobrze, ja to pojmuję — ozwała się znów p. Johanna. Łatwo wytłumaczyć położenie rodziców i córek, ale ten pan Bronisław? to jakiś flegmatyk bez czucia i bez oczu, że mógł codziennie patrzeć na te, jak pan mówi, zachwycające istoty i w żadnej się nie zakochał.”

— „Bo pan Bronisław nie był egoistą i kochać siebie nawet w kim innym nie umiał. On kochał obie i siostry bez różnicy, i nie przyszło jemu na myśl, aby jedną miał kochać więcej, dla swojej własnej przyjemności. Zresztą kto tam ich wie! Może to codzienne widzenie się ujmowało wzajemnego uroku oczekiwania, niepewności, które tak są potrzebne w życiu jakby mgła poranna, jak pary jesienne, które zasłaniając przedmioty, każą się domyslać ich piękności, a wadom przypatrzeć się nie dają.”

Jadwisia i Zosia były to ładne i pocziwe dziewczynki, ale miały oni swoje dni słoty i zaćmienia, zaniedbanego stroju, nadąsanęj minki, gdy się jakiś projekt oczekiwany nie udał. Nie dziw więc, że pan Bronisław jako domowy, przypuszczony do tajemnic zakulisowych życia codziennego, nie mógł być widzem bardzo zachwyconym z samego widowiska.

— „Jakżeś pan złośliwy! — zakrzyczały panienki.”

—Ja to wszystko mówię przez przypuszczenie moje panie; może tak nie było. Przypuśćmy także (bo i to być mogło), że panienki były zajęte kimś innym, choć by bohaterami wyczytanymi w książkach; że oczekiwały wypadków nadzwyczajnych, które miały na ich los wpłynąć, a tymczasem kontentowały się małemi zwycięztwami na szarmentach powiatowych. Pan Bronisław był spokojnym widzem zmiany dekoracji, jaka nastawała w ubiorze panienek, za przybyciem jakich kawalerów, — jak się odświeżały kokardki i kołnierzyki, jak się głos nastrajał do tonu w harmonji z gościnną minką, jak....

—Czy i to należy do typu prawdziwej Litwinki? — rzekła, przerywając złośliwie p. Johanna — Myślałyśmy, że te, które nam pan za model podaje, były wolne od podobnych słabostek.

—No, no, splątałyście mnie panie we własnej sieci — nie ma co, muszę wyznać, że zwyciężony, trzeba z paniami być na ostrożności!

—Ale z kąd pan takich się rzeczy nauczył? — zapytała śmiejąc się pani Albina.

—Ach pani! — odpowiedział p. Antoni — rad bym odpowiedzieć, że powieście — pisarze takie rzeczy zgadują przez intuicję, ale że się na autora nie kwalifikuję, wyznam po prostu moją tajemnicę: mam siostry.

—A toż pan zdrajca własnego gniazda! Mów pan dalej — rzekła zniecierpliwiona Johasia.

—Czy długo jeszcze będzie trwał ten romans bez miłości? — dodała jej towarzyszka.

—Dziękuję Paniom za tę niecierpliwość, rzekł z udaną flegmą p. Antoni — idzie ona na poparcie naszej dzisiejszej uwagi, że młodość nie lubi codzienności i zawsze wzdycha do odmian, choćby na gorsze. A więc i panny Jadwiga i Zosia, te nieodrodne córki Ewy, znudziły się z jednym Adamem w swym rodzinnym raju, a wyglądając węzów, których nie-

stęty pełno na świecie, często spoglądały w aleję wjezdną, na spacerze radziły się kabały polnej, szukały szczęścia w dziecielinie, a wieczorem ciągnęły *pasians*, w którym walety....

—Ale dosyć już, dosyć! — wołały błagalnie panienki.

—Alboż tak nie jest? — zapytał p. Antoni.

—Dajmy, że jest, to pan nic nowego nie mówi, a pan nam obiecał coś niepospolitego.

—I znowu przerwa? — zauważyła gospodyni domu — Moje panny! Wara mi się więcej odzywać! Panie Antoni, słuchamy.

—Pan Bronisław był cierpliwym i wyrozumiałym świadkiem kabał i marzeń o księżycu, sam pierwszy pomagał prześladować swoje przybrane siostrzyczki kawalerami, którzy nie warci byli rozwiązać rzemyka u jego trzewików, gdyby je nosił. On przed tymi samymi kawalerami nieraz stanął w obronie pp. Miławskich, bo dzisiejsza młodzież ma zwyczaj żartować za oczy najwięcej z tych panien, którym najwięcej nadskakują w salonie, — jakby się wstydziło tego, że byli grzecznymi. Alboż tak nie jest p. Karolu?

—Ale że pan nikomu nie darujesz, — rzekł urażony P. Karol, spoglądając niespokojnie na p. Johannę — A ta z przekąsem do p. Antoniego: — «Czy pan masz i brata?» — spytała.

—Byłem sam młody, — odrzekł p. Antoni — A któż z nas bez grzechu?

—Ale wracając do naszej powiastki, minęło tak lat pięć....

—Co? aż lat pięć! — zawołały panienki — byłą przynajmniej jaka odmiana?

—Niestety, żadnej! nikt z za morza ani z za gór nie przyjechał prosić o rękę panienek. Bronisław zawsze był ich bratem, a Bóg, co w serca ludzkie patrzy i wie dokąd dąży, uśmiechał się z góry jak dobry Ojciec, i czekał cierpliwie, aż póki te pieszczone dzieci same Go poproszą o to, co On im od

dawna zgotował, a na czém się one od razu nie poznały. Tak stały rzeczy, gdy daleka krewna pp. Miławskich, z powodu jakiejś uroczystości rodzinnej, wydawała (jak to mówią) duży bal, spraszała do siebie bardzo dużo osób; pp. Miławscy odebrali jej wezwanie nie przypuszczające odmowy — p. Bronisław otrzymał także usilne wezwanie. Dwa dni jazdy, kilka dni pobytu, perspektywa tańców i nowych znajomości, jakie to szerokie pole dla panien do marzeń, do nadziei, których już, już wątek zaczynał się urywać! Strona, w którą jechali, była im zupełnie nieznana, a więc całym urokiem przywiązany do nowości, wabiła ich i nęciła z daleka. I one były tam nieznane, robią zapewne ogromny efekt, bo wiadomo, jak młodzież za nowością się ubiega... Co też tam im los nada? warto było na nowo spytać się pasiansu, który już był trochę stracił kredyt i poszedł w zaniedbanie.

Od samego początku, jak zaczął malować p. Antoni stan wewnętrzny panienek przed wyjazdem na fetę, — obecne dziewice, przerażone odkryciem ich tajemnic, zaczęły się z wolna przenosić ze swojemi stołkami aż na drugi brzeg promku, a ten tracąc równowagę zaczął nabierać wody. Postrzegli się najpierwsi stérnicy, panienki z przestachu zaczęły krzyczeć, p. Antoni z udaną pokorą przeproszał:

— „A któżby śmiał paniom przymawiać! ja mówiłem o pannach, które były przed jakich laty 20-tu. Te panienki, wychowane w dawnych wyobrażeniach, myślały i wierzyły, że celem życia kobiety, jest pócziwe małżeństwo; ale dzisiaj te przesady znikły, kobieta stara się być sama mężczyzną i o małżeństwo nie dba. Moja powiastka odhyla się w czasach poprzedzających emancypację.

— „Ale my bynajmniej nie emancypantki, p. Antoni.

— „A doprawdy? — podchwycił ich prześladowca — to panie trzymają się starej metody, że celem kobiety jest małżeństwo?...

— „Daj im pokój, p. Antoni, — przerwała gospodyni, przychodząc na ratunek panien, które coraz głębiej grzęzły w swoich rozumowaniach. — Jak im zaczniesz dokuczać, to im tylko zostanie szansa wskoczyć do wody, a woda, ostrzegam, głęboka!

— „No dobrze, niech będzie amnestja aż do wylądowania.

Panienki wróciły na dawne miejsce, a P. Antoni już bez przerwy mówił:

— „Zapowiedziana feta nastąpiła już w późnej jesieni, — podróż pp. Miławskich odbyła się wesoło, towarzyszył im p. Bronisław, wziął był na siebie rolę kwatermistrza, jechał naprzód by wszystko w oherzy przygotować na nocleg lub popas, a tam jak zawsze mało dbający o siebie, prawie nie korzystał z tych wygódek, które tak dobrze umiał obmyślić dla drugich. Dom pp. Chorąstwa, dokąd przybyli, był jeszcze zabytkiem dawnych dworów, jakich coraz mniej na Litwie, bo je nowomodny gust przerabia na cudzoziemskie pałacyki. Chorąstwo byli staroświeccy ludzie, i to wszystko działo się przed 20-tu laty.

Pomyślano weześnie o zalokowaniu gości, i to nie pokotem, jak to bywało jeszcze dawniej, ale każda rodzina miała swój pokój i wyjście osobne na ogólny korytarz, który szedł środkiem całego skrzydła umyślnie na ten cel przybudowanego do mieszkalnego domu. W końcu korytarza był kominek z ciągle gorejącym płomieniem jakby ołtarz Znicza, na cześć i użytek Litwinek, które nie mogą się obejść bez ciągłego *prasowania*. Ale ten szczegół nie należy do naszej powieści. Nam tylko trzeba wiedzieć i pamiętać, że pokoje gościnne, których drzwi wychodziły rzędem na jeden korytarz, z prawej i z lewej strony, miały ten sam zupełnie rozmiar, toż samo rozporządzenie we środku, — ztąd bardzo można było się pomylić, szczególnie kto swego numeru nie pamiętał, lub o czém inném myślał, idąc do swego pokoju. — Mówiąc to p. Antoni miał minę

tak tajemniczą, iż panienki mimowolnie przytuliły się do siebie, przeczuwając coś bardzo strasznego: — „Ale dość siedzieć w gościnnych pokojach, przejdźmy do bawialnych. Pp. Miławscy przybyli jedni z pierwszych, było to na dwa dni przed samą uroczystością. Familja tylko była dotąd zebrana, goście mieli przybyć nazajutrz, a z młodzieży tańczącej nie było jeszcze nikogo. Jeden więc Bronisław grał rolę woźnego w gronie panienek, których było dużo, jak to zwykle bywa na zebraniach wiejskich, (bo mamunie nie mają skrupułu przywozić najmłodsze nawet dziewczynki, któreby w mieście za dzieci jeszcze uchodziły). Bronisław nawykły nie odstępować panien Miławskich, zbliżał się do nich jak do znajomych, często za ich poleceniem wychodził z salonu i wracał z raportem, w którym zdawał im sprawę pół-głosem. Zwróciło to uwagę cudzych panienek; piękna postać Bronisława, do której już tamte przywykły, uderzyła te, które go po raz pierwszy widziały. Zaczęły wypytывать się o niego i prześladować nim Jadwisie i Zosię, które najnaturalniej się broniły, mówiąc jednak o Bronisławie to wszystko, co o nim wiedziały, — czém niemało zaintrygowały swoje koleżanki, które też widać gustowały w nowości. Były między niemi wcale ładne dziewczynki, a jedna z nich, która nie zwykła była wątpić o sobie, już wcześniej układała plany jak tego obojętnego Nemroda na swoją przeprowadzić stronę... I może by się jej plan udał, bo do czasu dzban wodę nosi, i Bronisław nie miał serea z kamienia; ale Bóg, co czuwał nad nim i tylko czekał dobrej okoliczności, powiedział: — „Już czas!“

Nie było tańców tego wieczora, bo nie było z kim tańcować, — przed północą zatem rozeszło się całe towarzystwo, odprowadzone przez gospodarzy każdy na swoje miejsce. Panny Miławskie rozbawione wesołym towarzystwem panienek, niechętnie zabierały się do spoczynku, — szczególnie Zosia, mająca

wiele zdolności do figlów, dowiedziawszy się od służącej, że panny Prezesówny, które najwięcej przypadały jej do serca z wesołego humoru, stoją na tym samym korytarzu, przedzielone kilką tylko drzwiami, — umyśliła napaść na nich tegoż samego wieczora w roli upióra. Upoważniona przez matkę, która niewinnym psotom nigdy nie stawiała na przeszkodzie, figlar na Zosia narzuciła na siebie biały szlafroczek, a rozpuściwszy swe długie włosy, które do kolan sięgały, wbiegła na korytarz, i zaczęła się za drzwiami panien, aby się im zniemacka ukazać. Figiel się nie udał, bo służąca idąc od kominka z ziółkami dla pani Prezesowej, dojrzała zasadzki i ostrzegła swoje panienki. Dużo było śmiechu z tej przygody, widmo musiało się poddać, wciągnięto je do pokoju. Od słowa do słowa, od żartu do żartu, choć Zosia niespokojna o matkę i siostrę że je przebudzi wracając, wyrywała się co chwila, — nie puszczaly jej panny Prezesówny, uściskając ją, mówiąc jak jej pięknie z temi rozpuszczonymi włosami, chwając jej same włosy, że takie długie i lśniące. Rumieniła się skromna Zosia, słuchając tych pochwał, jednak ją mile łechtały jako nowość — w domu ani matka, ani siostra jej tego nie mówiły, bo prawdziwa miłość pochlebiać nie umie. W tém zegar, będący na korytarzu, wybił drugą, — przestraszona Zosia już prawie nie żegnając swych bałamutnych towarzyszek, wybiegła na korytarz. Światła już były pogaszone, Znicz tylko tlał niepewnym płomieniem. Zosia nie była pewną, w której stronie pokój matki, instynktem zwróciła się na lewo, minęła parę drzwi, i dotknęła klamki. Serce jej silnie kołatało, nic dziwnego — tak prędko biegła! Nie śmiała jednak otworzyć. W tém przez szczelinę dostrzegła blasku księżyca: — „Ach, dzięki Bogu trafiłam! księżyc był w naszym oknie.“ Zapomniała tylko nieboga, iż od tej chwili minęło półtoręj godziny — księżyc już drugim oknem przyświecał. Na wiarę jednak księżyca, przeżeg-

nała się, otworzyła zwolna klamkę, by matki nie obudzić i weszła.....

Tu się p. Antoni zatrzymał i spójrzył w niebo, ku stronie, w której się podnosił księżyc w pierwszej kwadrze, rzucając niepewne promienie przez gęste zarośle, któremi brzeg stawu był zasadzony. Te półcienie i półświatła, padając na twarze słuchaczy, nie dozwalały dojrzeć wyrazu, którego był bardzo ciekawy p. Antoni, ale samo milczenie uroczyste nie było dowodem, że panie nasze umierały ze strachu i z ciekawości?— P. Antoni poprzestawszy na tym dowodzie, po krótkim przestanku mówił dalej:

— „Pokój, do którego weszła p. Zofja, nie był pokojem jej matki. Wprawdzie księżyc w pełni świecił przez jasne szyby jedyne okna, oświecając na lewo będącą alkowę, a w niej świeżo posłane łóżę, zupełnie jak w pokoju p. Miławskiej, ale w drugim rogu pokoju, ukryty w cieniu i zapatrzony na księżyc, siedział w zadumaniu znajomy nam Bronisław. — Dało mu ten pokój przeznaczony wspólnie dla kilku jeszcze z młodzieży, którzy na szczęście Zosi dotąd nie przybyli; a Bronisław znalazłszy się sam panem tak wygodnej kwatery, zapomniawszy w marzeniach na widok księżyca, który mu niewiadomo czemu tą razą, więcej niż kiedy, jego sieroctwo i jego życie samotne dotąd bez celu, w dziwnych jakichś kolorach i tonach przedstawił i rozbudził niemi duszę. Dumał tak długo, nie słysząc nawet zegara ani cychotu panien, gdy nagle klamka skrzypnęła i we drzwiach ukazała się postać w bieli. Bronisław nie był tchórzem, w strachy nie wierzył, chciał się zerwać i biec przeciw temu zjawisku, lecz siła mu nieznana przykuła go na miejscu, — głos zamarł na ustach. Tymczasem postać posuwała się z lekka ku alkowie: — „Jadwisiu, czy śpisz?“ spytała postać półgłosem — a po tym głosie Bronisław poznał znajomą mu pannę Zofję. — „Biedne dziecko! — pomy-

ślał sobie — widocznie się pomyliła w drzwiach, niech przynajmniej nie domyśla się swjej pomyłki. — Ale tłumiąc w sobie oddech i wzbraniając najmniejszego ruchu, siedział cichutko, nieruchomy jak posąg, by nie przerazić biednej panienki. Ona tymczasem zbliżywszy się do alkowy, uklękła do pacierzy — i Bronisław się modlił, i on prosił Boga o sposób wydobycia się z tego drażliwego położenia, ale modlitwa Zosi trwała bardzo długo! Biedny Bronisław chciałby odetchnąć, chciałby się poruszyć, ale nie śmie — i ciągle patrzy na śliczną postać, której myśl jego, z czystego serca płynąca, przydaje skrzydła, aby ją większą czcią otoczyć! Ale cóż to jest? ręczki złożone i wzniesione w górę, zwolna opadają na krawędź łóżka, już się główka na ręczki chyli, opada, w miejscu poszeptu modlitw, słychać lekki i regularny oddech, — Zosia zasnęła! Zda się, że Anioł Stróż, porywając ją z sobą w krainę marzeń, chciał ją przez to samo uczynić niedostępną dla ludzi. Dzięki Bogu! pomyślał uradowany P. Bronisław, przekonawszy się po kilku chwilach, że sen Zosi był snem prawdziwym i że nie dosłyszysz jego kroków, jak umiał najlżej wynieść się z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Na szczęście Zosi i jego, pamiętał dobrze Bronisław, w której stronie był pokój p. Miławskiej. Nie tracąc czasu, zastukał z lekka do drzwi, ale musiał powtórzyć silnie, bo pani Miławska pierwszym snem ujęta niełatwo była do obudzenia; dosłyszawszy jednak stukania i poznawszy głos Bronisława, pobiegła do drzwi niespokojna, narzuciwszy coś na siebie. Bronisław z prostotą i wielkim spokojem opowiedział jej co się stało, i oddał klucz od swego pokoju. Pani Miławska uwierzyła słowom młodzieńca, którego nawykła była szacować; lecz na myśl, na coby się jej córka naraziła, gdyby Bronisław innym był człowiekiem, lub gdyby był stał nie jeden, tak się przeraziła, iż zapomniawszy nawet podziękować Bronisławowi, pobiegła

na korytarz, i nim Bronisław zdołał jej pokazać drzwi swoje, instynktem je odgadła. Zostawmy matkę z córką, lecz choć za nimi nie wejdziem, możemy być pewni, że modlitwa Zosi, którą sen przerwał, rozpoczęła się na nowo za przybyciem matki, podwojona matki modlitwą, której gorącość w tej chwili wszystkie matki pewno dzielają. Zosia była szczególnie wdzięczną Bronisławowi, że się nie odzywał ani ruszał ze swego kąta, bo ona choć tylko co grała rolę upiора, strachów lękała się ogromnie, i jakby zaczęła krzyżeć wniebo głosy, cały domby się przebudził, i oto byłoby wstydu przed pannami Prezesównami, które i bez tego ciągle ją prześladowały Bronisławem. Tak mówiła córka, ale matka inaczej myślała. I od tej chwili Bronisław stanął u niej tak wysoko w szacunku, a tak głęboko w sercu, iż Bóg, co uczucia takich matek musi mieć na względzie, musiał też postanowić w tej chwili, że się życzenia tej matki spełnić powinny.

Nazajutrz przy ogólnem śniadaniu, gdy napróżno oczekiwano p. Bronisława, ktoś z domowych uwiadomił, że wyjechał jak świt, odebrawszy list pilny, który go wzywał do domu. Na tę wiadomość Zosia najniespodzianiejsz spłonęła jak wiśnia, co panny Prezesówny wytłumaczyły na konto swoich wczorajszych domysłów, — a pani Miławska zniewolona tym nowym dowodem delikatności poczciwego Bronisława, czuła się na nowo rozrzewnioną. Bronisław nie wrócił dni następnych, żałowano ogólnie tak ochoczego tancerza, bo nikt nie umiał lepiej nad niego prowadzić mazura i krakowiaka. Najwięcej pono choć nie jawnie, żałowała Bronisława owa panna, która go chciała nawracać, — nie wiedziała ona, że traf zeszłej nocy pomieszał jej szyki. Zosia przerażona tém co się stało, zaniechała roli upiора, a panny widząc ją mniej ochoczą do chychotów, naturalnie tłumaczyły jej poważną minę nieobecnością p. Bronisława, i niechęć przygotowały Zosię do tego, czego

się sama dotąd nie domyslała. — Po kilku dniach wesołej zabawy, jednak z pamięcią żywszą o nieobecnym, niż o tych, co się do tej zabawy przyczynili, wrócili Pp. Miławscy do siebie. Niepodobna było nie wspomnieć o Bronisławie na popasach i noclegach, które przypadały w tych samych karczmach; znalazły nawet w niektórych miejscach też same wygodki, o których on myślał gdy jechał, — a widząc ich zdziwienie, karczmarz rzekł:

— To ten sam młody pan, który z państwem jechał, był tu niedawno, i zostawił dywany, z poleceniem, abym ich znowu dla państwa użył.

— Poczciwy Bronisław! pomyślała Zosia, — Jak to dobrze, że my go znowu zobaczymy. Jednak bała się trochę tego spotkania. Gdy wrócili do domu, minął dzień jeden, drugi, a Bronisław się nie pokazywał. Myśląc, że chyba nie wie o ich powrocie, P. Miławski posłał go uprzedzić. Ale posłaniec wrócił z karteczką pisarza miejscowego, w której ten uwiadamił, że jego pan zabawiwszy tylko dni parę w domu, wyjechał do krewnych zamieszkających w Inflantach, i u nich podobno całą zimę zabawi. Zrozumieli rodzice prawdziwy powód wydalenia się z domu na tak długo ich kochanego sąsiada, i szacunek ich i wdzięczność dla niego o wiele się jeszcze powiększyły. Panienki żałowały wesołego sąsiada, a Zosia w swojej naiwności myślała: „Mój Boże, jak on masi o mnie złe myśleć, kiedy się wyrzekł i swego domu i naszego sąsiedztwa, żeby na mnie nie patrzeć! Biedne dziecko, nie wiedziało, że gdyby tak było, nie byłby od niej uciekł: bo jeśli postępek jego pierwszy, to jest uszanowanie jej pomyłki i ostrzeżenie o tém matki, było dowodem uczciwości, która jest obowiązkiem każdego człowieka, i takby pewnie postąpił każdy inny na jego miejscu; następny jego postępek, to jest usunięcie się z oczu, gdy obecność jego mogła być drażli-

wą jak dla panny tak dla rodziców, ten postępek, przyznacie państwo, zdradzał delikatność uczuć tak subtelnych, iż każdy z nas wyznać musi z pokorą, że myśli nawetby nie miał postąpić w tym razie jak Bronisław. Tymczasem w domu PP. Miławskich tak wszyscy byli nawykli do towarzystwa, troskliwych starań i wesołości dobrego sąsiada a codziennego gościa, iż rady sobie dać nie umieli bez niego. Czy u stołu, czy w salonie, pustką stało miejsce, które tęsknota tylko zapępiała. Nadeszły długie jesienne wieczory, nikt nowych książek nie dostarczał, a jeśli książki się i znalazły, to nie było komu czytać głośno. Sam pan Miławski nie dowiedział przy świecach, sama pani kaszłała, Jadwisia leniła się czytać, bo wołała robić robotę, a gdy Zosia ofiarowała się na lektorkę, to przypadek zarządził, że zawsze trafiała na coś tak rzewnego, iż nie mogła nigdy dokończyć, i żadna książka do końca przeczytana nie była. Któż wyliczy wszystkie chwile dnia, w których p. Bronisław był wspomniany! Matka i córki miały zawsze jakąś potrzebę posłania do sąsiedztwa, czy do miasteczka, z listem po sprawunek, a p. Miławski był bardzo trudny co do posłańców. Dawniej o to kłopotu nie było, bo tak się zawsze zdarzało, że p. Bronisław miał potrzebę wysłać w to samo miejsce dokąd i panie, brał na siebie rzecz całą i wszystko się ułatwiało. P. Bronisław miał dość piękny głos, i nieraz pannom wtórował narodowe piosenki, jakże teraz ten jeden prym był niedostateczny! wołały zatem nie śpiewać. Bywali wprawdzie inni młodzi ludzie, nawet z intencjami do panien. Jadwisia zdawała się dosyć przychylnie słuchać jednego z nich; ale co Zosia, odwracała od nich oczy i serce, bo te skierowane były w daleką stronę, i widziały przed sobą właśnie tego jednego, który obecnym nie był! Ach bo przyszła pora, iż ze źródła wspomnień pierwszej młodości, powstała ta mgła pożądana i tak potrzebna dla upoetyzowania

rzeczywistości. Zosia nie domyślała się sama, że już kochała pocziwego Bronisława, który póki był przy niej, był zaledwie jej bratem. A Bronisław? o! w jego duszy ta mgła powstała jeszcze pierwiej, a że serca swego nie wyczerpnął na próżno, miłość jego silnym i czystym buchnęła płomieniem. Widział on ciągle w swoich marzeniach tę białą postać dziewczyny, która właśnie dla tego, że na nią wówczas niezemskim patrzył okiem, miał prawo się spodziewać, że kiedyś jego ziemskim stanie się aniołem. »Kto wie, mówił nieraz sam do siebie, czy nie na to Bóg ją oddał wtenczas mimo jej woli pod moją opiekę, aby ona kiedyś dobrowolnie pod mój dach wstąpiła jak anioł pokoju?!« I nieraz w ciszy nocnej, (szczególnie gdy księżyc był w pełni), widział znowu tę postać i słyszał poszepty cichej modlitwy, w której tonach brzmiał głos towarzyszek jego młodości. Jej śmieszki i żarty, jej małe nawet dąsy, wszystko było mu miłe, bo dawne... bo dalekie! A ten wyraz: »kochany p. Bronisławie,« który dawniej brzmiał tak po bratersku, dziś zupełnie innym śpiewał dźwiękiem, bo nie tylko jak wspomnienie, ale jak nadzieja. Pod wpływem takich marzeń jakże on pragnął i jak się lękał pierwszego spotkania! Może tam od niego odwykli? może ktoś inny go zastąpi?... I jakby na pociechę po tak smutnych myślach przyszedł list p. Miławskiego, z wymówkami, że uciekł tak daleko bez ostrzeżenia, przytęm wyrażał tak szczerą - dusznie tęsknotę całej rodziny swojej, a przez to wszystko przebijał się taki szacunek, taka wdzięczność żadnym słowem niewyrażona, ale w każdym wyrazie poczuła iż uradowany Bronisław zawołał: »Pojadę!« Musiał jednak czekać biedak nim się drogi poprawiły i Dzwina puściła, i pierwszych dni kwietnia wyruszył w pożądaną podróż. Było to właśnie w Wielki Tydzień, w samą W. sobotę. I gdy miał mijać o brzasku parafijalny kościółek, stojący na wzgórzu wśród puszcącej się wierzbiny i zie-

leniejącej rumi, odgłos wszystkich dzwonów razem, ostrzegł go że to była właśnie chwila rezurekcji. Bronisław zeskoczył więc z wozu, przyłączył się do ludu całą duszą, i śpiewał z nim razem: Alleluja! Pp. Miławscy byli na nabożeństwie, a szczęśliwa Zosia wśród tych głosów tysiąca, rozpoznała od razu znany wtór, bez którego jej prym tak długo był sierotą! O jakże w tej chwili ten biedny kościółek, który od dzieciństwa znała, wydał się jej jasny i piękny, ze swemi kolumnami z drzewa, ze swym ołtarzykiem upstrzonym papierowymi kwiatami! Jakże ten lud wiejski wydał się jej pobożnym, a jego kobiałki ze święconym w malowniczym zajaśniały światłem! A kościół cały, cały lud, świat cały, wszystko to miesciło się w jej duszy i śpiewało jednym głosem: Alleluja!... Spotkanie Bronisława z pp. Miławskimi odbyło się po nabożeństwie za kościołem, a było serdeczne, wymowne, chociaż się tam więcej czuło jak mówiło. Pomimo iż się uzbroił w wielką odwagę, Bronisław nie śmiał podać ręki Zosi; już to samo było rodzajem oświadczenia, i tak też to zrozumieli rodzice, ale biedna Zosia inaczej to zupełnie wytłumaczyła, myśląc sobie:

— Ach on mną pogardził!

— Jak przyszło do oświadczenia, i jak to prędko nastąpiło, to mało do rzeczy należy — dosyć że Bronisław ożenił się z Zosią, że się oboje jak najczuliej kochali, może właśnie dla tego, że zaczęli od szacunku, i nieraz zapytywali siebie z tą samą miną, temi samymi słowami, jak to małżonkowie umieją nie przykrząc tem nigdy sobie:

— „Czy żałujesz, że już nie twoją siostrzyczką?”

— „A ja nie braciśkiem?...!”

Umilkł P. Antoni; wszyscy milczeli przejęci może nie tak jego opowiadaniem, jak tą piękną księżycową nocą, która dopełniała w duszy co brakowało powieści. Promek stał od

dawna nieruchomy w środku stawu, gdzie było najświetlej. Służący, czy to zmęczeni ciągłą pracą, czy zniewoleni opowiadaniem, zaprzestali robić wiosłami. Pierwsza gospodyni przerwała uroczyste milczenie:

— „Dziękujemy Panu za jego powiastkę. Daj Boże, aby z niej skorzystało młode pokolenie, pomnąc, iż szczęścia najprzód koło siebie szukać należy.”

— „A jednak, ozwała się P. Johanna, stając w obronie wszystkich panien,— widać, że niełatwa rzecz to przestawianie na blizkiem i codziennym, kiedy sam Bóg w swą nieskończoną dobroci, dla zbliżenia serc, które się z blizka pokochać nie mogły, uznał potrzebę ich rozdzielienia, aby je na zawsze połączyć.”

— „Otoż macie! zawołał wesoło P. Antoni. — Zamiast korzystać z nauki, gotowe jak prawdziwe dzieci popsute, żądać od Pana Boga, jak od dobrego Ojca, podobnych niespodzianek za każdą zmianą księżyca.”

— „A niechże nas Pan Bóg od tego broni!” zawołały chórem panienki.

Wtém ozwał się z daleka dzwonek kapliczny wołający na wieczorną modlitwę:

— „To mnie wzywają”, — rzekł ks. kapelan.

Gospodyni domu skinęła na ludzi, aby już dobijali do brzegu. Fantastyczny cień padający na wodę od drzew, uwaga na tężoną na opowiadanie p. Antoniego, były powodem, że nikt bardzo nie wiedział w jakiej stronie się znajdowali.

— „Jakże to cudnie! zawołała sama pani patrząc ku brzegowi gdzie znaczna przerwa między drzewami odsłaniała dużą łąkę błyszczącą od promieni księżyca, za którą ciemne drzewa massy wydały się jakąś nieprzebytą puszcza; — Co to jest? ja tego brzegu nie pamiętam. Gdzieżeśmy to tak załynęli?”

— „Ależ to ten sam brzeg, od którego wypłynęliśmy i do którego dobijamy”, — ozwał się jeden ze sterników.

W tej chwili z za masy drzew zabłyśły białe mury mieszkalnego domu i sama właścicielka poznała swój własny ogród:

— „Widać — rzekła wesoło, — że nie tylko w młodości zdarza się zachwycać rzeczą codziennie widzianą, gdy się ją w nowym świetle zobaczy.”

Urywek z pamiętnika Kapłana.

Z LAMARTINA,

przekład Gabryeli księżnej Puzyriny.

18 maja 1786 r.

„Dziś rzekłem mojej matce: Matko! Bóg mnie wzywa.
„Ta pobożność w mej duszy głęboka i żywa,
„Te marzenia o lepszym i o wiecznym świecie,
„Którymi na kolanach poilaś twe dziecko,
„Dziś owoc swój przyniosły, może gorzki tobie,
„Gorzki i dla mnie dzisiaj, ale słodki w grobie!
„Wzywają mnie do siebie świątyni podwoje,
„Chciałbym Bogu poświęcić niewinne dni moje,
„Jak kielich, który czysty Bogu się przeznacza —
„Nie ma dla mnie uroku to, czem świat otacza!
„O niech ciebie nie gniewa ta moja chęć żywa,
„Pomysł trochę — a kiedyś będziesz tak szczęśliwa,
„Dumna, z tego, co hasłem rozstania się zdaje...
„Cóż traci ten, co wiecznie Bogu się oddaje?!
„Cóż chcesz więcej dla dziecka, które błaga ciebie
„O spokój na tej ziemi i ojczyznę w niebie?
„Skromny tytuł kapłana niech ciebie nie wstydzi:
„Me serce świetniejszego na ziemi nie widzi!
„I ktoż boskich tajemnie cel dla nas oświeci?
„Podzielił on czynności między ziemskie dzieci
„Tym rolę do uprawy, domowe starania,
„Tym sławę, a tym żonę, dzieci do kochania,
„Tym korzysci z zakładów, tym pociechę z synów,

„Innym znowu dał echo ich kroków i czynów,—
 „A dla serc, które wiarą karmią się tajemnie:
 —„Nie nie bierzcie, rzekł, wszystko odzyskacie we mnie!“

„Ale powiesz: — Jednemu, bez miłości w duszy,

„W ustroniu, bez rodziny, serce się wysuszy? —

„Powiedz raczej, że zwiększy się jego rodzina,

„Ubogi mu zastąpi miejsce brata, syna.

„Chrystus do serca takie zaszczerpił uczucie,

„Że każdy, byle cierpiał, obudzi współ-czucie!

„O! nie lękaj się matko, bym daleki świata,

„Zapomniał na twą miłość i na pierwsze lata!

„Bóg biorąc mnie do siebie, tobie nie odbiera,

„Jego miłość ku wszystkim mą duszę otwiera...

„O święte obowiązki! o związki niewinne!

„Przy ołtarzu nie zatra was imiona inne.

„Matko! niech cię nie straszy ta moja ofiara,

„Nie patrzaj się tak na mnie raczej mów jak Sara:

„—Synu! niechaj się w tobie spełni wola Pana!—

„I błogosław!—on twoje uściska kolana.“

26 maja.

— „Tydzień — na wzór Jęftego niegdyś pięknej córy,

„Któręj Pan dni wyliczył, aby między góry

„Szła biedna oplakiwać swoje młode lata,

„Matka za mnie żegnała rozkosz tego świata.

„Jak tamta oplakawszy święty stan dziewiczy,

„Wróciła dobrowolnie pod nóż ofiarniczy, —

„I moja biedna matka rzekła, w końcu: — Zgoda,

„Komuś przynajmniej odtąd zaświta pogoda! — “

ZŁUDZENIE.

Ja widzę cię — widzę o poranku

Na niebie w zwojach róż,

O zmroku w mgły srebrzystym wianku

Po nad czołem umajonych wzgórz!

Ja słyszę cię, gdy po głuchym lesie

Drży w wietrze pacierz drzew,

Gdy mi po rosie ciche echo niesie,

Tęskny z za rzeki śpiew!

Ja czuję cię, powiew twojej szaty

I płowych splotów woń,

Kiedy przyciskam do ust zeschłe kwiaty,

Co ci niegdyś oplatały skroń.

Ludwik Brzozowski.

DO MATKI

PRZESYŁAJĄC JĘJ LICHTARZ Z UMBRA.

Oboje, matko, oczy nas bołą,
Obojgu umbry potrzeba:
Widac niejedną w życiu niedolą
Dały zapłakać nam nieba.

Mnie gdy bywało ranne już życie
Przedwczesném dojmie cierpieniem,
Ty do swój piersi tuląc swe dziecię,
Skrzydłem mu byłaś i cieniem.

Słuszną więc dzisiaj przyjąć odemnie
Och! bogdaj tyle ochrony,
Ile wieczorem da ci wzajemnie
Cień mojej umbry zielonój.

Karol Szajnocha.

W Tarnopolu, 2 lipca 1852.

KIFOR OBLĄKANY.

(treść do powieści ludowej)

Kilka lat temu na Podolu, w małej mieścinie Murafie, oddał Bogu ducha biedny obląkaniec, znany w okolicznych dworach i wioskach pod imieniem *Kifora*. I ja też go znałem, a rysy jego nieprędko zatrą mi się w pamięci, głęboko w nią się wraziwszy, pod wpływem okoliczności, w jakich go po raz pierwszy ujrzałem.

Było to w mroźny, zimowy poranek, w kościele, przed rozpoczęciem ekzekwjalnego nabożeństwa. Już trumna kirem obita stała na katafalku; już świece i lampy do koła niej płonęły, posępnym blaskiem napełniając świątynię, przez której zaniarżle okna gotyckie ledwie się przedzierał niepewny promień pochmurnego nieba; ale głucha cisza panowała do koła, kiedy niekiedy tylko przerywana ciężkiem westchnieniem szczupłej gromadki wiernych, na żałobny obrząd przybyłej. Klęczałem pogrążony w myślach rozmodlonych rzewliwie, że łzawemi oczyma, zwróconemi na trumnę. W tém z zakrystji wyszedł jakiś starzec, suchy, wysoki, z głową dumnie wzniesioną, okrytą siwym, lecz gęstym, krótko ostrzyżonym włosiem, z twarzą marmurowej bladeści i bezwładności, nacechowaną niby jakimś wielkiem zamysleniem, z wzrokiem osłupiałym, jak gdyby w daleki jakiś punkt w przestrzeni mocno wpatrzonym, bez

obuwia na nogach, bez czapki w ręku, odziany tylko w letnią kapotę i spodnie, z prostym kijkiem pod pachą.

Wszedł, ani się przeżegnał, ani czoła uchylił, i poważnie, uroczyście krocząc przez kościół, kiedy trumnę wymijał, wznosił pięść kościastą i kilkakroć w wieko nią silnie uderzył, aż cała świątynia, poważnym napelniona mleczniem, rozległa się echem grobowym. Dreszcz jakiś dziwny przejął serca wszystkich obecnych, którzy z trwożnym zdumieniem obrócili oczy na starca... On zimny, posągowy jak przedtym, ani spójrzył na nikogo, ani jednego rysu w twarzy nie zmienił, i przeszedłszy przez cały kościół, wyszedł na smętarz.

Po nabożeństwie dowiedziałem się od miejscowych mieszkańców, że dziwny ten starzec od lat już kilkudziesięciu tuła się po okolicy, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc, zawsze taki milezący, smutny, odrętwiały, zamysłony i zapatrzony, obojętny na wszystko co go otacza: skwary, czy mrozy, litość, czy szyderstwo; niedbający ani o pokarm, ani o odzież, ani o jałmużnę pieniężną, i nieświadomy nawet, kto go okrywa, kto karmi, i gdzie się obracają pieniądze, które mu do rąk litościwi kładą. Wieczny wędrownik, nieraz w najsroższe mrozy bosy, bez czapki, w letniej odzieży, przechodząc z wioski do wioski i ze dworu do dworu, wejdzie jednemi, wyjdzie drugimi drzwiami; ani słówka do nikogo nie przemówiwszy, czasem się we zwierciadło popatrzy, czasem brząknie na fortepianie, czasem na paradnej kanapie usiadzie, ani spójrzawszy na nikogo, jak gdyby nikt oprócz niego nie istniał, dalej powędruje bez myśli i wiedzy.

Starałem się dowiedzieć o przyczynie tego obłąkania smutnego, ale nikt nie mógł ciekawości mej zaspokoić. Parę razy sam z biednym starcem próbowałem rozmowy; ale

i z głuchoniemym nie poszłoby gorzej: bo nie tylko najwyraźniej znać było, że słów moich niesłyszysz i nie rozumie, lecz że się nawet ani domyśla, że do niego przemawiam! I tak zawsze i z każdym: nikt ani łzy w jego oku, ani uśmiechu, ani gniewu na twarzy nigdy nie widział; nikt ani jęku, ani najmniejszej skargi, lub prośby nie słyszał!

Po tych więc pokuszeniach daremnych, i ja z innymi obojętnym już okiem patrzeć zacząłem na ten automat, przypominając tylko na jego widok fantastyczną powieść o owym kupcu holenderskim, co okulawszy znalazł jakiegoś mechanika sławnego, który mu tak misterne korkowe nogi dorobił, że jak się raz puścił na nich w świat boży, tak poszedł i poszedł, zatrzymać już się nie mogąc, i dotąd gdzieś chodzi, trup zawędzony i wyschły.

Aż oto przed kilką laty jeden z moich znajomych, zamieszkałych w Murafie, z którym nieraz o nieszczęśliwym Kiforze rozmawiałem, przybywszy do mnie, ledwie próg przestąpił, ledwie mi rękę podał — Siadaj, — rzekł — i pisz, bo ciekawą historję tobie przywiozłem.

— I coż to za historja?

— Bardzo ciekawa, i pewny jestem, że wdzięczny za nią mi będziesz.

— Z góry dziękuję; ale powiadajże czémprędzej.

— Biedny Kifor nie żyje!

— Niechże mu ziemia lekką będzie! niechże mu odpoczynek wieczny, gdy go za życia nie miał, tułacz nieszczęśliwy! — Ale gdzież jest historja?

— W jego śmierci właśnie. Wyobraź sobie: onegdaj przychodzi do mnie ksiądz Jan, nadzwyczajnie wzruszony i zapłakany; a kiedy go pytam z troskliwością serdeczną o przyczynę tego wzruszenia, on mi powiada, że przed chwilą ostatnie dał namaszczenie Kiforowi biednemu.

— Czegoż więc płaczesz? księżu Dobrodzieju! — rzekłem mu na to. — Wszakże, jak mniemam, śmierć dla tego biedaka jedynem była dobrodziejstwem, o jakie dlań Boga mogliśmy prosić.

— Prawda! — odparł ksiądz Jan; — ale gdybyś jego spowiedź posłyszał, tobyś i sam od lez powstrzymać się nie mógł.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony, — alboż się spowiadał? Wszakże od lat wielu nikt ani słówka odeń nie słyszał.

— Właśnie też tém rzewniejsza cała ta okoliczność. Posłuchaj tylko. — Dziś rano nieszczęśliwy ten starzec przyszedł do chaty Karpa pobereźnika, siadł na ławie pod piecem; chwil parę rozglądał się po całej izbie, po świętych obrazach, zawieszonych na ścianach, i po ludziach mało zważających na niego; a wreszcie rzekł do Karpa:

— Panie gospodarzu! pozwólcie mi proszę umrzeć w waszej chacie!...

Karpo zdziwiony tym głosem, którego nigdy z ust biednego obłąkańca nie słyszał, z wielką skwapliwością wraz z żoną i córką przypadł do niego i pocziwie pytać się zaczął, co mu jest i jakiej potrzebuje rady?

— Niczego mi nie trzeba! umrzeć tylko tutaj pozwólcie i księdza do mnie poprosicie.

Karpowa i jej dzieci zaczęły płakać i zawodzić swoim zwyczajem, jakby im kto z rodziny umierał, a Karp szkapki dopadłszy, czémprędzej puścił się do mnie. Wpadł zadyszany.... — Dobrodzieju! Kifor umiera, spowiedzi żąda!...

— Jakto? — zapytałem, — wszakże on nie nie mówi i przytomności nie ma?

— Mówi już, mówi! i przytomny zupełnie! — odparł pobereźnik.

Zdziwiony tą nowiną, wziąłem wiatyk świętyk i udałem się do chaty Karpa.

Wszedłszy do izby, zastałem Kifora klęczącego przed obrazami i we łzach rzewnych głośno się modlącego. Na odgłos dzwonka zwiastującego przyjście Zbawiciela na ratunek duszy jego grzesznej, biedny starzec, z klęczek nie wstając, chyżo się ku mnie obrócił i wnet upadł twarzą do ziemi, głośnem się łkaniem zaniosłszy.

Kobiety z płaczem rzuciły się ku niemu i podniosły go, posadziły na ławce; lecz starzec znów na klęczki się osunął, i ręce moje całując, prosił abym go wypowiadał. Skinąłem na obecnych, aby się oddalili; lecz on oświadczył, że pragnie aby wszyscy zostali, i w obec wszystkich życie mi swoje całe opowiedział, w którym od ostatniej spowiedzi w sam dzień ślubu odbytej przed laty kilkadziesiąt, ani jednego grzechu nie było, bo przez lat kilkadziesiąt dusza tego człowieka, snem letargicznym zdięta, o niczem wiedzy ani myśli nie miała. A historia jego jest taka.

Przed laty kilkadziesiąt, młody, dziarski i zamożny parobczak, kochał Kifor pocziwą, hożą, ale ubożuchną dziewczynę, zostającą na służbie u jednego z bogatszych gospodarzy, kochany wzajem tą wielką, prostą miłością, która jeśli się trafi u ludu, to już taka o jakiej w książkach tylko czytać, na prawdę myślał o związku z nią małżeńskim. Ale jak się rodzice gniewać, a sąsiedzi i sąsiadki radzić zaczęli, tak lekkomyślny chłopak i zmienił swój zamiar, i zaszwał wkrótce córkę najbogatszego kmiecia, którą mu narażyły kumoszki. Biedna sierota dowiedziawszy się o tém, przepadła gdzieś bez wieści; Kifor zafrasował się z razu i zasmucił tém bardzo — chodził jak obłąkany, jak struty;

ale mu żal i smutek wyperswadowały kumoszki i skłoniły go wreszcie, że dał na zapowiedzi z bogatą ową dziewczyną, i trzeciego tygodnia wesoło do ołtarza z nią poszedł.

Po odbytym ślubnym obrzędzie, kiedy Państwo młodzi wychodzili z kościoła i już w progu kruchty stanęli; jęk żaloszny, przeciągły, straszny dał się nagle słyszeć... Obejrzał się Kifor, dziwną jakąś trwogą przyjęty, i w ciemnym kącie kościelnego przedsionka, ujrzał pierwszą swoją kochankę, która się oparłszy plecami o ścianę, by snąć nie upaść z bólu, i załamawszy ręce zwieszzone, z liczkami wybladłymi, z włosami rozwianymi bezładnie, z usteczkami posiniąłymi, oczy łzami zalane, z takim rzewnym, z takim boleściwym zwróciła nań wyrzutem, że w jednej chwili dusza się w nim rozpadła... porwał się za głowę z krzykiem okropnym, dzikim, i przez tłum weselnego orszaku rzucił się bez pamięci przed siebie.

Zgoniono go, przyprowadzono do domu, do młodej oblubienicy; ale już wszystko jedno byłoby, gdyby zamiast niego, nieboszczyka jakiego z grobu wyjęli i za godowym posadzili stołem: bo nikt ani słowa nie posłyszał od niego, nikt w jego twarzy, ani jednej myśli, ani jednego nie zobaczył uczucia... ot po prostu kamień nie człowiek.

Kamień, ale kamień chodzący i nie dający na miejscu się utrzymać! Jakoż z pierwszej lepszej chwili skorzystał, aby się wymknąć z chaty, i znów się powlókł sam nie wiedząc dokąd i po co. Znowu za nim pobiegli, znowu przyprowadzili. Matka gorzko zawodząc, rzuciła mu się na szyję; ojciec z zaciśniętymi pięściami i z groźnym słowem przypadł do niego; Panna młoda z rozpaczą ślubny swój wianek i włosy rwała: wszystko daremnie! Kifor ani się poruszył, jakby ni oczu, ni uszu, ani żadnego uczucia nie miał... Został w chacie tylko dopóty, póki go matka w objęciach

swych trzymała; ale zaledwie uwolniła go biedna, zaledwie drzwi otwarto, poszedł, i nieścigany już więcej, pięćdziesiąt lat tak przechodził z obumarłą duszą trup żywy.

Z razu wiele o nim dziwnych baśni prawiono, powiadając, że go tak owa biedna sierota, mszcząc się swój krzywdy, oczarowała, że go zaklęła, aby tak jej wiek cały po świecie szukał, przepadłszy sama bez wieści; lecz powoli, powoli zaprzestano zajmować się biednym szaleńcem i zapomniano wreszcie smutnej jego przygody. Aż dopiero w dzień śmierci Bóg mu wrócił i przytomność i pamięć. Odprawiwszy spowiedź w skrusze serdecznej, najpierw się spytał pobereźnika o swoją biedną sierotkę, która przed laty w tej właśnie chacie służyła; lecz ani gospodarz, ani ktobądź z jego rodziny nie mógł nic mu o niej powiedzieć. Zapytał więc z kolei o swych rodziców, o swoją żonę, i sąsiadów. Rodzice i żona dawno pomarli; toż i wielu sąsiadów, a o innych Karpo nie nie słyszał.

Wysłuchawszy z wielką rzewnością całej relacji, starzec westchnął głęboko, zachwiał smutnie głową, i ocierając ręką wychudłą ostatnie swe łzy po zmarszczonej toczące się twarzy, — Ha, — rzekł głosem gasnącym, — *tam* się ze zmarłymi obaczę, *tam* o żywych się dowiem!.. a wy bądźcie mi zdrowi i módlcie się za grzeszną duszę! — I upadł na ławkę i głośno modlić się zaczął; i modlił się, modlił, dopóki mógł stygnącemi ustami poruszać; a wreszcie umilkł, westchnął raz jeszcze, raz jeszcze imię. Marji Panny wyszeptał, i zasnął snem wiecznym, a twarz jego znużoną rozpromienił uśmiech radośny, który przez pół wieku na niej nie powstał.

Adam Plug.

TESKNOTA

O dumki wy moje! dziś tęskno mi z wami —

Tchu braknie odetchnąć pełnemi piersiami —

Gdzież oko sokoła tu puścić na wolę,

Gdzież myślom pobujać z wichrami?!

O stokroć weselęj w stepowej krainie,

Swym duchem napelniać samotne pustynie, —

Z tęsknemi dumkami, mknąć chyżo stepami, —

Swobodnie odetchnąć na woli!

Gdy koń jak ty dziki, w pustyni chowany,

Jak ptak cię unosi nad mogił kurhany,

I step twój ojczysty, туманны i mglisty,

Samotnie przelatasz z wichrami.

Chłopcikiem już zwykniesz wieść życie swobody

I czytać za młodu w tój księdze przyrody,

Gdzie więcej nauki, niż pisma i druki

W swych księgach pomieścić są zdolne.

Nam życie wśród murów to gorzej niewoli,

Ustami kłam uśmiech choć serce zaboli:

Bo ludzie gdy widzą, to smutek wyszydzą,

A w obcych śmiech wzbudzi twa boleść.

Tam przyszłość potrafisz z gwiazd nocnych wyczytać,

O przeszłość dość tylko tam mogił zapytać,

A stepu mogiły, co Ojców pokryły,

Ich synów nauczą przeszłości.

Edmund Łoziński.

MY LUD WYBRANY

(NAŚLADOWANIE.)

»My lud wybrany!« tak sobie gwarzyło,

Dziecię Syonu, przestarzałe plemię;—

»Dla nas to Niebo gromami suszyło

»Morskich zatopów niezgłębne podziemie.

»Dla nas Synai wdział szkarłat z płomienia,

»Skalna pierś góry drżąc hołdy nam czyni,

»A dym i ogień, cudem niebios technienia,

»Wiodły nam drogę w obszarach pustyni.

»Dla nas ze skały tryskają potoki,

»Dla nas deszcz manny niebios spuściły,

»Dla nas to zakon i u nas proroki,

»W nas jednych tylko bożych cudów siły!«

Lecz Bóg niecierpi pychy — i anioła,

A tego strąci kto w dumie wyrzeczce:

»My to sól ziemi — my filar kościoła —

»My boża tarcza — i my boże miecze!«—

Tego Bóg strąci kto bożych słów dźwięki

Na djablich hymnów przepiekielni nóty: —

W trupim czerepie ciągłej życia męki

Kona, snem myśli — śmiercią duszy skutu.

Lecz z tymi Bóg — w kim bożej mocy siła

Płynąca nurtem żywego strumienia,

Zmartwiałą duszę do życia zbudziła,

W każdym odbłasku jój bytu promienia.

Bóg z tymi tylko, kto obłudną pychę
W słowie pokory nie frymarczy zdradnie,
Puchliną sławy nie wzdyma się lichą,
Siebie za bałwan czci bliźnich nie kładnie.

Z tym Bóg, kto w imię ducha i swobody
Jemu da myrrę na ludzkości tronie,—
On z tym, kto wszystkie zawezwie narody
Do jedni ducha na braterstwa łonie.

Dydeliszki.

N. K.

Patrzcie, w naturze wszystko tak zgodne,
I takie piękne, takie swobodne,
I wszystko żyje — kwiaty i drzewa,
Motyl na łące i ptak na drzewie —
I wszystko w koło hymn zgody śpiewa,
Aż serce rośnie przy takim śpiewie.

Czemu wśród ludzi tak mało zgody,
Mało harmonji, mało swobody?
Czemu z nas każdy żyje dla siebie,
Zazdrości braciom, zawiścią pała?..
Wszakże gwiazd tyle świeci na niebie,
A każda jasna i każda cała!

Henryk Merzbach.

Bóg z tymi tylko, kto obłudę pychy
W słowie pokory nie stracił nigdy,
Pochlebny sławy nie wzdryga się kocha,
Siebie za batwan cześć bliźnich nie kładzie.

Z tym Bóg, kto w miarę swej siły
Jemu dał myślenie i rozum,
Do naszych literatów,
On z tym, kto w miarę swej siły
Do jedni ludzi na innych kładzie.

Patrzcie, w naturze wszystko tak zgodne,
I takie piękne, takie swobodne,
I wszystko żyje — kwiaty i drzewa,
Moją na łosie i piasek na drzewie —
I wszystko w koło hymn zgody śpiewa,
Aż serce rośnie przy takim śpiewie.

Czemu wśród ludzi tak mało zgody,
Mato barmanje mało swobody?
Czemu z nas każdy żyje dla siebie,
Szczepionym bractwom, zawieszona palce?
Wszakże gwiazd tyle świeci na niebie,
A każda jaśnie i każda ceni!

Henryk Wierzbicki

Stanowisko naszej publicznej wymowy w obrebie literatury i sztuki.

Jak przyroda strai się kwieciami, tak człowiek sztuką wienczy swój pobyt na jęj łonie. Prawica przedwiecznego o ile udzieliła każdej miejscowości odpowiedniego jęj ustroju z barw i kształtów, o tyle też uposażyła i ludy tym bujnym przepychem form, jakim każdy z nich z wolna postaciuje dziejowy swój żywot. Istotnie, oparłszy się na stanowisku bezwarunkowego piękna, jeśli badawczym wzrokiem sięgniemy w głąb historycznego życia narodów, dostrzeżemy, że każdy z nich wydatnił swe w pewnej, sobie jedynie właściwej, estetycznej formie. Są to pewniki jak historii tak estetyki, i zbyt czynnem byłoby dotykać tu dalszych dowodów.

Wśród szerokiego splotu ludów, sterujących pochodowi dziejowego społecznienia, zajmuje niepoślednie miejsce i nasz naród; w przebytych okresie swego samoistnego życia, stosunkowo widział on już i kolebkę i grób, był młodzieńcem i mężem, i spełnił całkowicie pewną część swego zadania: musiał więc do pewnego stopnia dostatecznie wyrazić na zewnątrz istotę swą, pełnie jak na ów czas, rozwiniętą w przeszłości. Dziś przeszłość ta stała się dla nas niewyczerpanem źródłem ożywczej nauki, rozszerzającej z każdą nowozdobytą prawdą zakres narodowego samopoznania. Przejęci tem przeświadczeniem, dla tego to stawimy sobie obecnie tyle różnorodnych zagadnień; w tych zaś gronie, jeśli już nie

najżywotniejszym, to przynajmniej jednym z bardziej serdecznych będzie to pytanie: w jakiej też estetycznej formie, w jakim przejawie piękna, przeszłość nasza uwypatniła swą samostność?

Wszelka forma jest zewnętrzną powłoką i odbiciem się wewnętrznej treści: różnorodność form jest przeto nieuniknionym wpływem samego bogactwa wnętrza, którego istota w swoją kolej wyrokuje o cechach zewnętrznego upostaciowania. Otoż treść narodowego ducha musi przeważnie stanowić o rodzaju estetycznego wyrazu i naszego dziejowego bytu.

Ze stanowiska alternatywy sztuk idealnych i plastycznych uważany Słowianin, w ogóle przedstawia w głębi swego ducha stanowczą przewagę i wyjątkową moc strony idealnej. Na tle jego charakteru nie dostrzedz nic takiego, co by mogło wyrównać przeczuciu plastycznemu klasycznych ludów; plastyka ustępuje tam i znika przy lada powiewie idealizmu. Estetyczny zmysł jego wznosi się spirytualniej, strzela wyżej po nad skrępowane martwą materją piękno; wszędy ścigający za bezgraniczną wolą, i w estetycznym polocie nawet chce się pozbyć wszelkiego brzemienia, i wyzwolone swe uczucie unosi w przestwory świata nadzmysłowego. Dla tego to zwrótu swego ducha ku idealności, Słowianin nigdy i nigdzie nieprzystroił swego życia pięknem plastycznym; architektura, skulptura, malarstwo nawet bez znaczenia u niego, sztuki te nigdy nie zakwitły na jego niwach. Jeśli jednak w postępie uobyczajenia rozlicznych plemion, zagościły i one w jego ziemicach, tak, że możemy natrafić niejednokrotnie i na szczytniejsze ich zabytki, były to zawsze płody żywce lub naśladowniczo wniesione z obczyzny, w ostatecznym razie wyraz jakiejś wyjątkowej osobistości, żadną miarą nie wpływ ogólniej potrzeby ducha szczepu lub narodu. W rze-

czy samej objawszy to wszystko, co posiadamy najwspanialszego nawet, nigdy nie dorównamy plastyce greko-romańskiej Europy: łatwo więc zrozumieć, że wszelka plastyka jako niemająca koniecznej opory w samym duchu Słowian, naturalnie nie mogła też się stać i charakterystyczną formą estetycznych objawów jego.

Dopiero przeniosłszy się na uroczę błonia sztuk idealnych, ujrzymy Słowianina w jego właściwym, przyrodzonym żywiole. Już kraina brzmień i dźwięków, mistyczna mowa uczuć—muzyka wstrząsa nim wielowładnie. Nie ma ani jednego z licznych plemion naszego szczepu, co by nie było przejętym aż do głębi potężnym poczuciem piękna w harmonji dźwięków. Każde z nich, posiadając przeważnie sobie tylko właściwy rodzaj gędźby, w ogólnym bratnim gronie włada na równi niewyczerpanym zasobem muzycznych skarbów. Pomimo to wszystko, może z przyczyny niedosięgniętego jeszcze powszechnego wykształcenia mass w samodzielnym artystycznym rozwinięciu muzyki, dali się jednak Słowianie prześcignąć obcym; nie wyjmując Czechów, żaden lud ich nie wyraził swego dziejowego życia w tej mianowicie formie piękna; a może istotnie i przeznaczona im nie wszechwładza nieokreślonych dźwięków, lecz słowa!

Słowo już samo przez się jest najdobitniejszym wyrazem wszelkich poruszeń myśli i uczucia, jest jednym z najsilniejszych narzędzi woli; wyobraźnia też i namietność ludu czynnego społecznie, postaciując się w ustrój piękna, potężniejszego nadeń środka mieć nie może. A oprócz tego, pograżając się po śladach jednego z potężniejszych u nas wieszczów, w badania fenomenologiczne naszego ducha, ujrzymy, że słowo jest jeszcze potęgą mistyczną, co swym czarodziejskim urokiem miota duchem Słowianina daleko silniej, niż jakimkolwiek bądź obcym szczepem. Żaden z innoplemieńców nie jest tyle wrażli-

wym, tyle uległym jego porywom, ile Słowianin: tamtych u-
niesz jakim plastycznym obrazem, muzyką wreszcie, a na-
wet rozsądnem przekonaniem,—Słowianina słowem natchnionem
tylko. To istotnie jego potęga, którą sam działa i której da
się powodować; jedynym artystycznym ustrojem, jakim zdo-
len się zdobić, mogą być tylko przestwory piękna brzmiącego sło-
wem t. j. Poezja i Wymowa. Oto estetyczne kształty prze-
jawu ducha wszystkich Słowian w ogóle. Który też z tych
kształtów będzie naszym wyjątkowym wyrazem? Ażeby po-
stawić stanowczą odpowiedź, by zawyrokujeć o koniecznym
i jedynym estetycznym wyrazie naszego narodu w ubiegłych
chwilach jego historycznego żywota, nieodzownem jest sięg-
nąć samych źródeł artystycznej twórczości, dotknąć głębin jego
ducha, jego posłannictwa, charakteru i normy dziejowego bytu.
Nietrzeba być głębokim badaczem, by uchwycić na tkance
narodowego charakteru Polaków pełne zamięślenie ekstremów,
jakiś pęd ku ostatecznościom, spowodowany brak czegoś
pośredniego. Przy takiej podstawie charakteru, nie bardziej
naturalnego, jak ten polot ducha z objęć ziemskości w prze-
stworza nadzmysłowe, ten nieokreślony pęd za wszystki-
kiem, co niezwykle, wzniosłe lub ujmujące, jednym słowem za wszyst-
kiem, co poetyczne. Młodzieńczość ta, źródło wszelkiego ar-
tyzmu, przebiega się bez przerwy w całym obszarze naszych dzie-
jów: żaden więc naród na pozór nie był tak usposobionym od
natury do wyjątkowego wyrażenia się w poezji jak nasz,
żadna ze sztuk pięknych nie przedstawiała się tak odpowiednią
i jedyną estetyczną szatą pracy narodowego ducha, jak ta
najidealniejsza z idealnych. Lecz z drugiej strony w tymże sa-
mym charakterze narodu istniała przyczyna, co nie dopuściła
jednak poezji zostać wielowładną i jedyną panią w świątyni
estetycznego piękna. Bo jeśli się przedrzemy przez zasłone
zewnętrznych objawów w samą głąb usposobienia narodu, uj-

rzymy na dnie wszelkich pokładów, jako najprzeważniejszą
dźwignię, myśl praktyczną. Zrozumiemy więc łatwo, dla cze-
go wszystkie, choć najbujniejsze porywy uczucia i umysłu
zwierały się nie w pieśń, lecz w czyn; dla czego i sama idea pię-
kna mogła się przyoblec jedynie w kształty sztuki najsilniej zespolo-
nej z samem życiem czynu, a jaką niezaprzeczenie stanowi nie
poezja, lecz wymowa.

Oddany wyłącznie życiu publicznemu, naród nasz niemógł
na serio cenić tego, co zeń nie wypływało i nie zmierzało ku
niemu, choćby to było i najbardziej urocze piękno. Sama lite-
ratura była jedynie wypływem jego potrzeb społecznych; for-
mą jej powszednia proza, a artystycznym spotęgowaniem wy-
mowa.

Sentymentalność, rzewność uczuć, to źródło natchnień i
utworów lirycznych, były tamowane w swym polocie tak za-
chowaniem młodzieńczego indywidualizmu w obec rodziny i spo-
łeczeństwa, jako też i przez samo kształcenie. Codzienna
strawa, jaką karmiono pacholę polskie, były to Jeruzalem i Rzym,
wzory, co miały mu przyświecać całe życie. Z jednej strony
starano się go przejąć mistyczną, poważną i prostą religijno-
ścią; usiłowano wdrożyć w umysł i uczucie jego surowe zasa-
dy zaparcia się chrześcijańskiego; — a to, sterując wyobraze-
niom i obyczajom ogółu, nie mogło niepowściągać jakkolwiek
silnego wezbrania jednostkowych namiętności, coby mogły za
pośrednictwem liry upostaciować się w odpowiednie sobie
estetyczne kształty. Z drugiej strony wpajano naśladowanie
tych surowych a wzniosłych przykładów obywatelskości i go-
rącej czci kraju Kwirytów, poświęcających swą osobistość na
ołtarzu idei społeczeństwa. Świat grecki z jego polotem este-
tycznym mało znano: niknął on gdzieś w cieniu po za tyberań-
skim kolosem, który stał jako jedyny przedmiot wszelkiego pr-
wie studjów. Uczono się języka jego, dziejów, badano prawa

i stosowano je, kształcono się na utworach jego piśmiennictwa, jednem słowem wszędzie szukano w nim wzorów. Lecz badania zgasłego życia, co w pomnikach wypiętnowało wyłączeni swe poważne, surowe lub wzniosłe strony, a urokiem swej dzielności olśniewało młodzież i niewolniczo przykuwało ją do siebie, tём samém już wytręcały z rąk lirę, wpięrały w głąb piersi wszelkie rzewniejsze uczucia. Syn szlacheczki chciał być Kwirytą, jakim odmalowało go pióro historyka lub mówcy, i podobał sobie w tём naśladownictwie. Wychowaniec taki za dalszy pokarm potrzebował publicznego życia; ono stawało się drugą i istotną jego szkołą, a w obec jęj wymagań mierzyła cała poprzednicza nauka, jeśli tylko nie miała prostego zastosowania, wszelkie zaś artystyczne natchnienie mogło się wylewać tylko w pięknokształtach wymowy. Porwany na widownię publicznego życia, naród cały pędem swym wytręcił lirę i wieśniakowi; pieśń jego nie dorównała rzewnością dumom stepowej Rusi, a same żale nawet śpiewaka z Czarnolesia głuchną gdzieś w sejmowej wrzawie.

Co o lirze, toż samo przyjdzie powiedzieć i o eposie: tu równie wezbrane uczucie w połowie swego lotu rozbijało się o powyższą praktyczność społeczną. Prawda, żaden naród, ani w swej istocie, ani w dziejowych objawach, nie był może tyle epotycznym, ile nasz. W obec czynnie ruchliwego usposobienia charakteru ludu, samo położenie Polski, jako przedmurza Słowian od Niemców a chrześcijaństwa od bisurmanów, ciągle wywoływało czujną i heroiczną działalność, a wręcz za tём tworzyło nieustannie najbogatszą treść epicznych rapsodów. Ale nie mogliśmy jednak jak bratni Serbiowie wyrazić się wyjątkowo w eposie. Wyteżona czynność naszego ducha przenosiła zawsze czyn sam nad pieśń czynu, a nieustanny przechód z czynu w czyn, a wszechwładna moc wewnętrznego publicznego życia, nie da-

wały nawet czasu zabrznieć bohaterskiej pieśni. Rapsody nasze musiały ograniczać się na żywej wiecznie a prostej szlacheckiej gawędzie, na powieści przechodzącej z ust do ust, nim ją nowa świeższa w pamięci nie zatarta; próby zaś poematów czysto literackie i na uwagę nawet nie zasługują.

Jak z jednej strony na zewnątrz epotyczna czynność narodu, nieprzerwanym przechodem z czynu w czyn, przygłuszała w zawiązku wszelki zaród poematu; tak też z drugiej niezwykła dramatyczność wewnętrznego publicznego życia, przy wrodzonym usposobieniu, zwróconém ku rzeczywistości, nie mogła sprzyjać rozkwitowi dramatu. W obec dramatu rzeczywistości mało, dziecińniało wszystko tak, że istotnie ani kropki przesady nie dopatrzymy w tym obrazie, gdzie Pasek kreśli sposób zapatrywania się współczesnej mu szlachty na przedstawienia sceniczne. I nie powinno to nas dziwić, że sztuka ta, chociaż sama w sobie pełna życia, pełna akcji, lecz odbijająca rzeczywistość nie w jęj nagięj prawdzie a przez pryzmat złudzenia, nie była w stanie stać się wyłącznym artystycznym wyrazem narodowego bytu. Słusznie musiała ona ustąpić pierwszeństwa towarzysze, co wykwiatała każdej chwili z burzliwego dramatu rzeczywistości i ściślej z nią była zespółoną. Wymowa więc tylko mogła być jedynym estetycznym wieńcem, jakim się przystroiła skroń narodu. Zastanówmy się nad tём głębiej, dotknijmy warunków, przy jakich wymowa w ogóle wykwitnąć może.

Wiemy dobrze, że krasomówstwo jest owocem pełni życia narodu. Żywot narodu wyraża się w każdym odcieniu jego czynności: nie pomijając codziennych domowych zatrudnień, odbija się on w każdym wypadku politycznym, we wszelkiej religijnej postaci, jaśnieje na obszernej niwie nauk, a w sztuce wylewa się w formy piękna. Lecz pełnią jego życia będzie ten stan, w którym naród kwitnie w całej swej męskiej sile i stroj-

ności, kiedy w sercu swém pielęgnuje najszczytniejsze uczucia, nietykalności domowego ogniska, świętości prawa, gdy rozumem obejmuje wszystkie sploty całego łańcucha wiedzy, jakiej współczesny mu świat osiągnął, a wolą swą przechodzi zakres egoistycznych pobudek. Ku takiej filozoficznej pełni życia jeszcze zmierzają tylko ludy; najwyższy zaś szczybel jego historyczny przyznajemy wtedy, gdy naród nie tylko możebnie rozwinął i stosunkowo uharmonizował wszystkie strony wewnętrznej swój istoty, rozbudził do organicznego życia główne bytowe posady, złożone prawicą Stwórcy w jego łonie, lecz gdy zarazem przyszedł do przeświadczenia siebie w samym sobie, t. j. kiedy, choćby to w przeważającej klasie tylko, czuje się i jest istotnym obywatelem kraju. Jedyne obywatelskie życie wznosi i uzacnia wszelką działalność w sferach uczucia, myśli i woli: tu wszelka sprawa tycząca się ogółu staje się osobistym interesem każdego obywatela pojedynczo, tu jedynie każda jego czynność wznosi się do odpowiedniej godności. Tu przeto i sama mowa jego, wzniesiona publicznie w obronie prawa, olbrzymieje do stopnia wymowy i stroi się w barwy krasomówstwa, które tam tylko wykwitnąć może, gdzie natchnieniem jest uczucie obywatelstwa, a narzędziem jego chwilowa improwizacja.

Zwróciwszy się ku Polsce, nie potrzebujemy ani na krok nawet wychylać się przed lub po za epokę Zygmunowską, to jedyne normalne studjum w dziejach naszego narodowego życia, co się tak plastycznie uwydatniło w całej swój możebnej ówczesnie pełni, by dostrzedz, że krasomówstwo, przy znanych warunkach społecznego bytu narodu, wśród którego okoliczności konieczne do wzniosłego natchnienia toczyły się w nieprzerwanym biegu, musiało stać się nieodzownym wynikiem, jedynym ustrojem i estetycznym wyrazem samego życia.

Już w samej naturze i misji polskiego społeczeństwa spoczywała konieczność absolutnej przewagi obywatelskiego publicznego życia nad wszelkimi innemi jego stronami. Oparta na rolniczości stare gromadowładztwo słowiańskie, z postępem politycznego rozwoju narodu przekształcało się tylko, istota jego pozostawała wciąż niezmienną; wielka zaś misja narodu, mająca cząstkowem swém zadaniem wszczepienie w ten starosłowiański pień i używotnienie świeżemi siłami idei, wyrobionej pracą całego starożytnego świata, rzymskiej powszechnej cywilizacji, rozwarła tym żywiołom gromadowładztwa przestwory działalności kolosalne. Stan jej normalny najwierniej nam przedstawia epoka Zygmunowska. Przypatrzmy się temu bliżej.

Jak wspaniałemi, i wielkimi kształtami uderzają nas instytucje! Władza prawodawcza bezwarunkowie spoczywa w rękach narodu wyobrażanego przez sejm; wykonawcza należy do króla i odpowiedzialnych przed sejmem ministrów; sądownictwo pod skrzydłem trybunału, złożonego z osób wybieranych przez naród, niepodległe. Sprawy ważne, nieprzewidziane w ustawodawstwie, rozstrzyga w osobach swych przedstawicieli sam naród. Skarb zawiadywany przez oddzielne ministerjum właściwie w rękach sejmu. Obrona kraju, w razie groźnego niebezpieczeństwa, spoczywa na pospolitem ruszeniu, obowiązującym każdego obywatela zdolnego nosić broń. Otwarte pole do osiągnięcia najwyższych godności, bezpieczeństwo osobiste każdego ziemianina, nietykalność posła; świętość osoby króla, choć on tylko primus inter pares; prawo kontroli jego czynności przy senacie; w razie zagrożenia praw, wolność zbrojnego rokoszu przy prymasie, osobie niefamiliijnej.

Przy takim zarysie zasad, choć krzepkich, lecz nieprzeprowadzonych w ustawodawstwie do ostatecznych wyników i

niepopieranych sprężystością władzy wykonawczej, cała siła żywotna musiała spocząć w publicznych obradach szlachty, tém bardziej, że szlachta była wszystkiém, wszystko się działo dla niej i przez nią. Gdzie gromada tam i rada: wszędy więc brzmiało słowo, i wymowa publiczna z konieczności musiała wykwitnąć z tak radnego życia, jako prosty wynik jego istoty.

Szlachciec skoro tylko opuścił próg swego mieszkania, już radził publicznie, było to jego prawem i obowiązkiem. Oto pod hakiem sejmik powiatowy, na którym zwykle wybierali się uрядników; tam sejmik wojewódzki, gdzie radzą ludzie o potrzebach swych ziem — jakże tu je opuścić? Czasem też w grodzie lub ziemstwie wypadnie bronić sprawy sąsiada przed starostą lub sędzią; albo, co nie daj Boże, zdarzy się stanąć i przed prześwietnym trybunałem — i tu obowiązek obywatelski powołuje. A następują sejmiki przedsejmowe, wybiorą bracia na posła ziemskiego, to ruszaj bodaj do Warszawy, a jak ekstraordinaryjnie to i gdzie dalej jeszcze. Tam już sejm, a na nim szlachcie w całym znaczeniu w swoim żywiole. Tam zasiada z panami bracia w poselskiej izbie, a jako brat młodszy często radzi wspólnie i z senatorskim stanem; tam stanowi prawa, oznacza podatki, uchwała wojnę lub pokój, przyjmuje posłów zagranicznych, odbywa sądy sejmowe, proteguje sprawy swych powiatowców, popiera kandydatów do wakujących starostw, a wszędzie radzi i gada. Cóż dopiero gdy marszałkiem izby poselskiej zostanie! W takim razie już wiedzie ręką przed resztą: zagaja i wytacza sprawy, godzi niepokodzonych przeprowadza przyjęcie nowej ustawy, lub uchwalenie grosza ciężkiego, a winszuje nie tylko izbie senatorskiej, lecz i królowi samemu. Po sejmie należy się wrócić do domu i na sejmiku relacyjnym donieść swym wyborcom o wszystkiém, co zaszło w obliczu senatu i króla, co ustanowiły izby, a co

wydano w imieniu ostatniego; a bywa, że tu zawita i oddzielny kommisarz z wiciami na wyprawę, bo gdzieś Tatar plonduje Podole, a sułtan odgraża się konie w Wiśle poić — wciąż więc rada. Gdy się na swém życiu doczeka nowej elekcji, to po odbytych sejmie konwokacyjnym pod prezydencją prymasa, po ustanowieniu sądów kapturowych i zaopatrzeniu bezpieczeństwa kraju, jedź już kto w Boga wierzy, na wyznaczony termin pod Wolę; a jeżeliś ni senator, ani poseł, i nie masz miejsca ani w szopie, ani w kole rycerskiem, stawaj konno pod chorągwią swego województwa, wśród swych ziemian, i w obliczu gołego nieba, głosuj na przyszłego przedstawiciela swego narodu; a wybrawszy go, zwróć podjezdka ku Krakowu, śpiesz na jego koronację gdzie znów sejm. W groźnej potrzebie wypadnie stawać silnie słowem a wolą i na sejmie konfederacyjnym; czasami zaś skusi zło i do zbrojnego związku, do rokoszu, tam to już wrzawa i gwar, bo powaga milknie! — To wszystko wtedy, gdyś niemyślał jeszcze przekroczyć swego ordo acquestris; a cóż dopiero jak zostaniesz senatorem, gdy cię Najwyższy przypadkiem pobłogosławi na jakiego biskupa albo po prostu gdy estyma braci a względy króla wyniosą się na wojewodę lub ministra? Wtedy już radź i radź przez całe życie: radź na sejmie, w pełnem kole senatu, kiedyś rezydent to wspieraj króla w czasie międzysejmowym; a tu sądy zadworne, a tu asesorskie, a tam tajemne kwestje dyplomatyczne, to posłowie zagraniczni, albo swoi z zagranicy — trzeba wyręczać króla w mowie przed swymi i obcymi; a jeżeliś minister lub poseł do obcych, to jeszcze i sprawę zdawaj ze swych czynności!

Nie trudno więc zrozumieć całą obszerność naszego publicznego życia; tém łatwiej jeszcze wyobrazić sobie naturalną potęgę wymowy wtedy, gdy życie to sili się, jakby powiedzieć, na rozbudzenie, wykształcenie onej. Na każdym kroku u nas

publiczność i wymowa splatają się nierozzerwanie. Mąż polski nie tylko w radzie i obozie, lecz i w sferze domowego życia występuje publicznie: dzieckiem podczas świąt winszuje rodzicom jak go Ojcowie w kolegjum nauczyli; w późniejszym wieku miewa oracje w pewnej jakiej uroczystości familijnej, przy urodzinach, zrzekowinach, przy rozejmie sąsiedzkiego sporu, lub powitaniu z wyprawy wojennej; nareszcie sam podsiwiała przemawia nad grobem sąsiada ziemianina. Jednym słowem wszędzie i zawsze wymowa postępuje w ścisłej paralleli z jego społecznym bytem. Silniej od wszystkich innych sztuk pięknych nacechowana socjalnym charakterem, była ona nieodłączną towarzyszką życia, niezbędnym środkiem społecznym, i już dla tych powodów musiała zostać jedynym estetycznym odbiciem samego społeczeństwa i najistotniejszym przejawem umysłowej działalności narodu, musiała zawrzeć w sobie wszystkie promienie jego życia.

Lecz nie tylko rodzaj społecznego bytu, sama właściwość wewnętrznej natury narodu i jego języka wyzywały wymowę na jej wszechwładne stanowisko. Przy zwróceniu ku praktyczności, polot improwizacyjny ducha naszego wybitny; chwilowa twórczość, nie zaś powolny namysł, to nasza cecha, co uwydatnia się zewsząd: w jakiejże więc sztuce mógł bardziej postaciować się w pięknokształty ten dziwny wewnętrzny nastrój ducha, jeśli nie w krasomówstwie? A mowa była materialem najdzielniej urobionym ku temu: bo język nasz pełen najróżnorodniejszych szat w jakie tylko zdolnym jest stroić się istotne natchnienie, posiada wszystkie ozdoby krasomówskiej twórczości. Obfitość słów, bogactwo form, harmonja mowy z równą łatwością wyrażająca gwałtowny popęd uniesienia jak najdelikatniejsze uczucia, pełność dźwięku i zdolność nieskończonego kształcenia się, to są jego własności niezaprzeczane. Dla tego też skoro tylko pod technieniem wyższych samodzielnych

zdolności, język nasz uwolniony z pieluch łaciny, zabrzmiał kiedykolwiek na miejscu publicznym, rozlatywał zawsze całą swą siłę i krasę. Nic przeto uderzającego, że krasomówstwo nasze, popierane tylu warunkami, wzniosło się do szczytu potęgi i zostało wyjątkowym estetycznym wyrazem wrzawnego życia naszego społeczeństwa, jedyną istniejącą narodową sztuką. Pomimo swój stosunkowej niedojrzałości, mającej źródło tak w zaniedbaniu ogólnego estetycznego rolniczo-militarnego ludu, jako też w długiej a krępującej samodzielny polot ducha przemocy obczyzny, stanowi nam jedną z najżywotniejszych stron w kartach rozwoju naszego społeczeństwa, skupia w sobie wszystkie odcienia dziejowego życia.

Po tem wszystkiem podziwiać potrzeba, dla czego ten przedmiot, tyle sam przez się ważny i piękny, na tak żywo odzwierciedlający przeszłość naszą, do niedawna nie znalazł godnego siebie pióra, co by go przynajmniej w ulotnym zarysie skreśliło. A przecież wymowa publiczna do takiego stopnia zespoliła się z naturą samego charakteru naszego, iż nawet nie może uniknąć uwagi etnograficznego psychologa! Jedynym może tłumaczeniem jest to, że przedmiot ten wymaga nieodzowne od badacza, przy odpowiednim artystycznym jego wykształceniu, jeszcze czynnego doświadczenia w życiu publicznym. Przejęcie się przedmiotem chociażby najbardziej artystyczne, odtwarzająca fantazja choćby najżywsza, nie wystarczą tutaj. Trzeba samemu żyć życiem publicznym, by zrozumieć w całej objętości wszystkie jego sprężyny; trzeba słyszeć wysokie wzory krasomówstwa w żywej mowie, by w ogóle uzdolnić się do jego ocenienia, a tego naszej generacji istotnie brakuje. Inaczej byłibyśmy już dawno w stanie poznać wszystkie czasowe przechody falowań naszego artystycznego smaku; głębiej wtajemniczywszy się w przeszłość, wierniejbyśmy zrozumieli pocucie estetyczne przodków, ocenili krytyczniej i samą historję sztuki.

Dziś przeto winniśmy przyklasnąć i pierwszej próbie i dalszemu zamiarowi Mecherzyńskiego, tém bardziej, że pojmujemy znaczenie naszej wymowy głęboko; możemy się spodziewać po nim, jakkolwiek w ogólnych tylko zarysach może, dość wiernego dziejowo-artystycznego obrazu minionego życia: pracę więc jego choć na ustroniu od publicznego gwaru poczętą, witamy najserdeczniej. Trzeba bowiem pamiętać, że taka Historia Wymowy naszej nie będzie wzbogačeniem naszego piśmiennictwa jedynie; stanie się ona jednym z najpiękniejszych darów, jaki możemy złożyć na ołtarzu cywilizacji wszech-europejskiej. Przyczyną tego jest sam przedmiot pracy.

Wymowa nasza niezaprzeczenie jest ogniwem łączącym w łańcuchu ogólnego europejskiego społecznienia, życie publiczne klasycznych ludów z nowożytnymi. Szczęśliwsza i wcześniejsza od innych spadkobierczyni społecznych prawd, przekazanych nam przez starożytność i chrześcijaństwo, w socjalnych dziejach Europy stanowi ona wstęp i przejście naturalne w świat nowożytny, a w ogólnej historii politycznego krasomówstwa tworzy period pośredni, gdyż do XVIII wieku Zachód wywalczał dopiero pierwsze podstawy publicznego życia, na jakich Polska od dawna już spoczywała. Nie jest ona spójnią dwóch światów tylko zewnętrzną, w czasie samym; przeciwnie, wiąże je ona jeszcze więcej swymi cechami wewnętrznymi, swym samoistnym charakterem. Dobrze jest znanymi i fakt sam i przyczyny jego, że charakterystyczną różnicą wymowy klasycznych ludów od nowożytnej jest przewaga legalności i strony sądowniczej u pierwszych, a teoretyczności i zwrotu politycznego u drugich; polska zaś wymowa legalnością swą sprzęgając się ze starożytną, kierunkiem swym politycznym zdaje się przygotowywać rozkwit świata nowego. Niższa w artyzmie, wzniosłością myśli, świętością uczucia, wewnętrzną siłą samych prawd przez się popieranych, przewyższa głosy agory

i forum o całe chrześcijaństwo. Nie tylko więc jako samodzielne, a pierwowzorowe zjawisko świata słowiańskiego, jako jedyny istotny estetyczny wyraz dziejowego bytu i przeważnie sztuka narodowa znakomitego odłamu tego świata; lecz i dla swego wszech-historycznego znaczenia, stanowi ona szczybel, którego w dziejach europejskiej cywilizacji bezkarnie podminąć nie można.

Jeśli przejdziemy teraz na inne stanowisko ze sfer sztuki na pole już czystego piśmiennictwa, to już samo przez się i tu spotkamy wymowę na odpowiednio wzniosłym jej miejscu. Duch praktyczny narodu w rzeczywistości przejawiał się w czynie, na polu umysłowym nie w fantastycznych pięknośształtach poezji, lecz w najprostszej, najbardziej towarzyskiej swjej formie, w prozie. Działalność więc naszego narodowego umysłu, niezdolna prawie wyrwać się z objęć życia społecznego, w obrębie piśmiennictwa wyraziła poważną swą stronę w historii, estetyczną zaś w krasomówstwie. Nic uderzającego przeto, że najbliżej spokrewnione z życiem dwa te przestworza czynności umysłu, przyciągnąwszy największą ilość zdolności, w przeszłych okresach literatury, podzielały bezspornie najwyższą władzę. Cała żywotność ducha jedynie w nich się odzwierciedliła. Do jakiego stopnia rozumiemy dziś wagę historii, najlepiej o tém świadczy wzrastająca wciąż niepospolita działalność w zakresie najróżnorodniejszych dziejowych badań; lecz że znaczenie wymowy, nie jako gałęzi literatury pięknej, a wprost jako najżywotniejszego dziejowego materiału, do dziś dnia nie jest dostatecznie uczutem, to równie blizkiem jest prawdy. A tymczasem kto to wie, czy w badaniach przeszłości niezasługuje wymowa na wyższą nawet uwagę, niż sama historia: bo odślaniając pobudki, namietności, uczucia i myśli działaczy na scenie dziejowej, nieraz rozkrywa ona dzielniej psychiczną stronę narodowego życia, głębiej charakteryzuje same

dzieje, wierniej odbija przeświadczenie narodu w każdej chwili jego bytu, niż karty historii. Dla tego więc nie możemy poprzestać na tem, że ktoś wypracuje wierny obraz historii wymowy, skreśli rozwój estetycznego uczucia narodu w jego społecznym życiu. Prawda, przyjmujemy z uwielbieniem i takie dzieło, ale właściwie niechodzą nam już o same piękno tylko. Dziś czujemy potrzebę wydawnictwa wszelkich możebnych pomników wymowy, takich nawet, w którychby w braku szat artystycznych prześwieślała się jedynie prawda dziejowa; bo nieodzownym jest nareszcie zrozumienie całkowite psychicznego rozwoju naszego ducha nie tylko w formie piękna, lecz we wszystkich jego przejawach. A tego bez rozważenia wszelkich zabytków wymowy nie da nam ani wyjątkowe badanie dzieł historycznych, ani nawet pomników prawodawczych. Z ustaw poznamy dzieje prawodawstwa, lecz nigdy rozwoju idei prawa i myśli społecznej w narodzie, bośmy się w naszym prawodawstwie nie wyrazili, jak Rzymianie. Gdy tymczasem w krasomównie naszym zawiera się i powaga myśli politycznej, i obywatelskie uczucia oparte na obyczaju, i sielski spokój, i cała moc wojowniczej duszy, surowość i fantastyczność, przymioty i wady, jednym słowem wszelkie najskrytsze odcienia uczuć i myśli narodu. Na naszych więc bibliofilach leży nieodzowny moralny obowiązek co prędszego wydawania wszelkich pomników naszego krasomównia, nie tylko dla tego, byśmy mieli w harmonijnej całości skreślony obraz wszystkich falowań społecznego uczucia, strumieniem piękna płynącego po tle dziejów narodowych; ale byśmy w całej pełni zrozumieli istotę naszego ducha samego w sobie i w jego roli dziejowej. Dziś bowiem pojmujemy głęboko, że ponieważ żywot nasz cały postępował ścieżkami chwilowej twórczości jedynie, to prawdziwa nasza historia może być tylko natchnionym naukowo-artystycznym obrazem.

PIEŚŃ KOZAKA.

(z poematu p. t. Marja).

Zakrakał kruk, zakrakał —
Z nieba wysokiego,
Zapłakał kozak — zapłakał
Sam nie wie dla czego!

Och dumki moje nieprzedumane,

Dokąd mnie niesiecie?

Ach łzy me nieprzeplakane,

Czegoż wy plyniecie?

Pociągnął wiatr od morza siniego

I trawę wysuszy;

Och poszedł smutek od serca mojego,

Smutno w mej duszy.

O stepie zielony,

Stepie nieścigniony,

Bujna cię trawa porośnie;

Tymczasem od Krymu

Wionie chmura dymu,

I zwiędnie w swój wiosnie.

Niebo otulało,

Słońce ciebie grzało,

Wiatr kołysał miło...

Czy na to jedynie,

By wszystko w godzinie
Pustynią było?...
* * *

Zakwitnie kalina, zakwitnie dziewczyna,
Już po jój krasie, po kwiecie!
Tu stroją świetlice, tu ścielą łożnice,
A tu już kosa ją zmiecie.

Do serca tulili, bawili, pieścili,
Z lamy poszyli żupany;
Gadzina się przywlecze, w serduszko upiecze
I uschnie kwiatek kochany.....
* * *

Héj koniu mój wrony — héj koniu mój wrony,
Nie jész bujnój trawy — stoisz zachmurzony,
Stoisz zachmurzony... lza ci z oczu płynie:
Czy tak płaczesz po mnie? czy po mój dziewczynie?

I ja i dziewczyna, na świecie nas dwoje;
Ona schyli główkę... uschnie serce moje!
Ja głowę położę... nie żyć mój dziewczynie:
Ej powiedzże, wrony — czego ci lza płynie?

Wrózka zaczaruje czarnemi oczyma,
Lecz dla czarnój doli — miłej wróżki niema.
Płynie woda, płynie, szumi kamieniami;
Wyryj mi mogiłę, wrony, kopytami.

A jak na mogile czarny kruk zakracze,
Posłyszysz dziewczyna i po mnie zapłacze,
Zapłacze jedyna... Schodzi słońko z nieba,
Dość, wrony, popasu — dalej w drogę trzeba.

Aleksander Groza.

ROZMOWA UMARŁYCH.

(BYRON, RAFAEL SANZIO).

„L'arte, non fa le cose, come le fa la natura:
„ma come ella le dovrebbe fare.“

Sztuka nie ma za cel przedstawiać rzeczy jak
natura je tworzy, ale raczej jak ona je
tworzyćby powinna.

Słowa Rafaela Sanzio.

BYRON.

Ja cię znam, bo gdy jeszcze żyłem na planecie,
Nie jedno twe na płótnie spotykałem dziecie.
A myślałem o mojej złotowłosej Adzie...
Że, jak w skrzydła, w pieluszki się bieluchne kładzie,
I w snu obłok lekkiego wyobraźnię skrywa,
I lata w Niebie. Nasza wyobraźnia męska
W sporze jest z jawem, ich zaś, lubo przed-prawdziwa
I przed-tryumfująca, owszem przed-zwycięska;
Ale jedna: albowiem jaw dla niemowlątka,
Myszę, że tyle tylko od snu jest odmienny, —
Ile prątek, na którym w klatce słowik senny
Spoczął, różnić się może od klatki téj prątka.
— To mówiąc, ostrzedz muszę ciebie, Rafaelu,
Że mam dumania nałóg — nałóg monologu,
I bywało coś zaczne... i znowu bez celu
Puszczam myśl...

RAFAEL.

Po takowym poznaję nałogu,
Czém byłeś; a kto byłeś? pytać rzecz nie moja.

BYRON.

Tassa znasz?

RAFAEL.

Danta niemniej...

BYRON.

Lecz nieznales splinu!

RAFAEL.

Włoch jestem... (1).

BYRON.

Co Helena? wiész... i wiész... co Troja?

I co miłość... z Homera ty plastykę czynu

Musialesz czuć; jam widział na freskach twych ludzi,

Znoszą się sami, widza żaden nie utrudzi,

Ruszają się...

RAFAEL.

Grek jestes?...

BYRON.

O! jestem — i jestem

Poeta grecki, jakich więcej już nie będzie;

Bo nie nie napisałem... tylko wszystko giestem,

Życiem, duchem...

RAFAEL.

Kochałeś...

BYRON.

A jako łabędzie

Śpiewają raz na życiu, tak i mnie się stało

W Myssolungi! — Ojczyźnie mój, za chwałę, chwałę

Oddałem — inna z Grecją ma była umowa:

Kochałem dwie... dla jednej zabrakło mi słowa!

RAFAEL.

Miłość!

BYRON.

A coż powiedzą o nas! spytam lepij

Co o mnie? ty bo jesteś przeszłości Serafi!...

Ciebie pominą... Kto się do ciebie uczepi?

RAFAEL.

Strzelec mylny czy można zgadnąć w co utrafi?

(1) Sploen jest nieznanym u ludów południowych.

BYRON.

Świat jest gorzkość... i nie zabrakło mi słowa!

RAFAEL.

Bóg miłość; — a miłość to czyni,

Że się niewinny często za winnego wini,

I oto wzajem noszą brzemiona niewłasne,

Zwłaszcza, że są szerokie drogi, i są ciasne...

BYRON.

Któż zą mną westchnąć może! Kto ze mną podzieli,

To, co na twarzy mojej — patrz — ot tak — widzieli

Oko w oko — a potem bluźnili na boku,

I wracali, i mego znieść nie mogli wzroku:

Iż widziałem, że przyszła umarłych godzina,

I że kto prawdę mówi, ten niepokój wszczyna,

Kto rozumiałym chce być, granicy z oszczerstwem

(Bo trzeba zwiększać rzeczy, by rzeczy postrzegli,

Tak-bo zarozumiali i tak mało biegli!),

Kłamstwo zaś, grzeczne w skutkach stało się morderstwem,

Mordestwo... (tu przerazisz się mego sumienia,

I ja także) ... upadkiem na kamień kamienia!

A ty mówisz mi... Miłość...?

RAFAEL.

Czémże ci dowiodę?...

Znasz mnie z mych dzieł — czy myślisz, że jestem poznany?

Spójrz ku ziemi, gdzie lata spożywałem młode,

Świat otwierając świętą czystych form hozanny...

Patrzeć ucząc, po nad wzrok, który jak kałuża,

Słońce gotówby odbić i oka nie zmruża,

Ale jest w sobie brudny i wiernie bezczelny,

Szczerze płaski, jak pamflet, tak zły jak czytelný.

— Patrz, mówię, ku tej ziemi, której me żrenice

Oddałem, ja Rafael, który w Pańskie Imię

Podbiłem Olimp stary — Muzy zalotnice,

Nimfy Gracje, zebrałem w chrześcijańskim Rzymie,

I przeszedłem, a zbożniej piękności zenitem

Przeszedłem. I nie żadną klątwą Inkwizycji —
 Zwycięstwem tylko, tylko swobodnym przekwitem
 Jak Kolumb, świat odkryłem ufając tradycji.
 — Herkula moc w ramieniu, Apolla moc w wdzięku,
 Zwyciężywszy jak dziecię pogańskie na rękę
 Zniosłem k' źródłu, które prawdy jest zwierciadłem,
 I pochrzcilem ... i sfinksa z uśmiechem odgadłem.
 — Patrzże, mówię, ku ziemi ... oh! czy mnie poznali?
 Patrz ... oto naprzód głowę przyznawszy mi cudzą (1),
 Szukają potem głów gdzie dobiegałem, — mali!
 I dziewcząt rzymskich popiół po grobowcach budzą, —
 Mali, zaprawdę mali! .. Oniby gotowi
 Za całą wartość, piętę dać Achillesowi;
 Ala jak piersi jego stawily się grotom,
 Zwierzyć to obiaśnieniom, przypiskom i notom...
 Lecz błąd mój ani wiedzą co w nich uwydatni:
 Wiele! ... w prywatnych rzeczach; w publicznych? prywatni

BYRON.

Zapomniałeś na chwilę, żeś jest Rafaelem:
 Mówisz jak Byron....

RAFAEL.

Powiedz, że mówim i dzielim,
 Przez Miłość: a to cel mój był i jest ostatni ...

BYRON.

Czemuż więc Miłość ludziom tak błoga i sprzecznna?

- (2) Przez wieków dość, bo aż do panowania zeszłego papieża, pokazywano w akademij ś. Łukasza w Rzymie czaszkę bardzą piękną, jako czaszkę Rafaela Sanzio; gdy jednak za pontyfikatu zeszłego Ojca S. otworzony był grób Rafaela w Pantheonie, z przyczyny, iż Tybru wylewy zachodziły aż tam i spowad go mogły, pokazało się, że owa czaszka w akademii ś. Łukasza odwiedzana przez wieków parę, niebyła wcale czaszką Rafaela! Myślę, że wystarczający to jest dowód, o ile nie trzeba ufać pewnym pośrednim źródłom historycznym, lub mając zaufa onym bardzo, pierwój do bezpośrednich źródeł zstąpić. Historia, jako umiejętność samoistna, jest to jeszcze bardzo młodzieuteczkie dziecko, wieku prawie jednego nie liczące i lubi się bawić wokabulami jak np. następujące wokabuly: Rafael, Fornarina, Beatrice, Magnetyzm, Jezuityzm etc.

Ze, nim do ciebie doszli, ty wychodzisz z siebie
 Dla mnie ... a oni! ... oni! ...

RAFAEL

Nie bywają w Niebie.

BYRON.

Miłość zaś bywa u nich?

RAFAEL.

Bywa — lecz jest wieczna!

Cyprjan Kamil Norwid.

PRZEBUDZENIE.

I on płakał — dziś nie płacze,
 I on kochał — dziś nie kocha;
 Poznał życie, poznał świat....
 Życie smutne i tułacze,
 Świat ten zdradny, ziemia płoża,
 Na niej wędnie czysty kwiat!...

Czasem tylko, gdy jutrenka
 Dawny pacierz w nim rozbudzi,
 W sercu jego błysnie łza!
 Wtedy z piersi znów piosenka,
 Idzie dalej między ludzi,
 I miłością świętą gra!

Wtedy znowu mu się zdaje,
 Że odradza się w boleści
 Dawna ufność w dawny świat;
 We łzach przed nim przeszłość staje, —
 Matka dziecko tuli, pieści,
 I kołyskę stroi w kwiat!

Znowu chciałby dążyć szczerze,
Walczyć, cierpieć, znosić bole —
Chciałby wielkiem życiem żyć!
Chciałby duch umocnić w wierze,
I wawrzyny mieć na czole,
I o bohaterstwie śnić!

Ale czemuż to złudzeniem?...

Czemuż pierwszy wietrzyk świata

Znów rozgania tkliwe sny?

Czemuż szczęście jest marzeniem,

A marzenie tak ulata,

Jak zaranne, złote mgły?

Henryk Merzbach.

Hrehory książę Ogiński (1)

(Ustęp z obszerniej, rękopiśmienną historią książąt z Kościelska, Ogińskich, napisanej przez L. Chodzkę, kreszący część pamiątkowej wojny domowej między Ogińskimi i Sapiehami, i wojny szwedzkiej za Karola XII.).

.... Piżarski w *Annibal ad Pontas*, o nim mówi: „Między wojownikami za Augusta II. szczęśliwie w Polsce panującego, był najszcześniejszy walecznik i zwycięzca. Lwa szwedzkiego, zęby, na polskie plony zaostrome, przytępił, czyli też ostrym, nieraz kruszył bułatem. Na wielką zasłużył pochwałę, gdy chwalebna praw koronnych z Wielkiego Księstwa Litewskiego statutami koekwacją do palemońskich wprowadził parlamentów. Zelant honoru i czci cudotwornego *Franciszka Xawiera*, wielkiego apostoła indyjskiego i wyprawcy zakonu S. J.“
W samej rzeczy w owych czasach, to jest w ostatnich latach panowania Fryderyka-Augusta II. Sasa, gdy zaburzenia

(1) Grzegorz III-Antoni (v. Hrehory) książę z Kościelska Ogiński urodzony około r. 1665, umarł 7 października 1709 r. w Lublinie, a pochowany w Łopiniu w grobie familijnym, był chorążym wielkim litewskim, starostą żmudzkim, hetmanem pol. lit. marszałkiem trybunału lit. w Wilnie r. 1706, następnie hetmanem wiel. lit. w r. 1709 starostą mściszkowskim, kawalerem orderu orla białego, ustanowionego r. 1705 przez Augusta II. na wzór orderu franc. 3-go Ducha i rosyjskiego 3-go Andrzeja.

Polski doszły do wysokiego stopnia, Grzegorz III-Antoni Ogiński grał w nich nadzwyczaj czynną rolę.

Od roku 1693 zaczęły się rozwijać zajścia podburzane przez Marję-Ludwikę d'Arquien, żonę Jana III-Sobieskiego, między Kazimierzem-Janem Sapiehą a Konstantym Brzostowskim, biskupem wileńskim, o postoje wojskowe w dobrach duchownych.

Kazimierz-Jan Sapieha, był naprzód podskarbin nadwornym litewskim, potem wojewodą połockim, starostą żmudzkim, nakoniec wojewodą wileńskim i hetmanem wielkim litewskim. Oprócz bogatych starostw: Brześcia Litewskiego, Wołpy, Dzitowia i Borcian, miał wielkie posagi z ożenin; jakoż po trzykroć wchodził w ślubne stosunki: 1 z Katarzyną Montwidówną księżniczką Hlebowiczówną, wojewodzianką wileńską; i chociaż księstwo Zastawsko-Litewskie (blisko Mińska) mogło na zawsze pozostać w ręku Marcjana Igo-Aleksandra Ogińskiego, ożenionego, z siostrą Hlebowiczówną, ale przez swą wspańiałomyślność, w r. 1690, rzekł się tej ogromnej fortuny, na korzyść Sapiehy; — 2 ożeniony z Teresą Gosiewską, wdową po Józefie Bogusławie Służce, kasztelanie wileńskim i hetmanie polnym litewskim; — 3 z Antoniną Walstein, Austriaczka. Wszystko to, przy upadającej już familji Paców, antagonistów Sapiehów, tak dalece tych ostatnich podniosło w dumę, iż swą krnąbrną przewagą dali się we znaki całej prawie szlachcie litewskiej. Oprócz tego, ciążyła Sapiehom na sercu świetność i wziętość, jaka otaczała familję Ogińskich.

Niezadowoleni z przewagi, jaką chcieli Sapiehowie narzucić na władze cywilne i wojskowe, sięgnęli i do władzy duchownej, i zaimponowali biskupowi Konstantemu Brzostowskiemu. Ten udał się do jedynej broni jaką posiadał: rzucił więc w d. 16 kwietnia 1694 roku klątwę na hetmana Sa-

piehę, i zamknął przed nim wejście do kościołów wileńskich. Hetman, aby pokazać, że niedba o klątwę, tegoż dnia wyprawił szumną biesiadę w swoim pałacu na Antokolu, gdzie głowy rozgrzane trunkiem, przebrały miarę uragań z biskupa.

Przez dwa lata gniew obustronnie podżegany, wywołał w r. 1696 konfederację wojskową, której naczelnikiem Litwa i Żmudź ogłosiły Grzegorza Ogińskiego. Wnet obok niego zgrupowała się starszyzna, jako to: Kazimierz Horbowski, Zaranek chorąży żmudzki, Jędrzej Kryszpin wojewoda witebski, Ludwik Pociąg i inni, w celu oparcia się przemocy Sapiehów.

Nowi konfederaci wydali byli uniwersały na popis rycerskiej szlachty, wyznaczając miasteczko żmudzkie Skirsztymonie. Lecz Sapieżyńcy chociaż niewezwani, tam również zebrałi się, i pociągnęli na swą stronę znaczną liczbę szlachty, robiąc wielkie przyrzeczenia, lubo niemogli takowych dotrzymać. Wówczas Grzegorz III-Antoni, ze swoimi stronnikami, opuścił Żmudź i pociągnął aż pod Brześć-Litewski. Wszakże Sapieha, stolnik wielki litewski, ruszył za Ogińskim, i tam przyzwał do siebie hetmana Sapiehę. Już miało przyjść do walki, gdy ksiądz Polignac, poseł francuzki w Polsce, swym wpływem pojednał obie strony d. 16 listopada r. 1696, aby tém zbliżeniem umysłów i stronnictw wewnętrznych polskich, mógł łatwiej otrzymać jednomyślność głosów dla swego kandydata do tronu polskiego, dla księcia Ludwika de Conti, protegowanego przez Ludwika XIV.

Po tym rozejmie, Grzegorz III-Antoni pojechał do Wilna, a Sapiehowie udali się do Warszawy, gdzie się już zajmowano obiozem nowego króla.

Sejm elekcyjny otworzył się w Warszawie d. 15 maja 1697 r. Lubo większość była za księciem Conti, lecz Fry-

deryk-August II. elektor saski przemógł, i został królem. Z początku Sapiehowie byli za kandydatem francuzkim, lecz Franciszek Gałęcki, kasztelan poznański (później wojewoda inowrocławski) był innego zdania, i historycznie dowodził, iż Polacy nigdy nie mogą niczego dobrego spodziewać się od Francuzów. Publicznie i prywatnie otwierał swoje zdanie, jak tego ślady znajdujemy w rękopiśmie owoczesnym. Powiadał on: »Jeżeli od dawnych bardzo czasów Polacy Ignęli do Francuzów, *sincera* im sprzyjali, i *tulerunt* dla nich tylokrotne ofiary; ależ ile razy potrzebowali od nich rzeczywistej a możebnej pomocy, zawsze byli opuszczeni, a nawet *sacrificati*. Byłóż co *honorabilior* dla Francji, gdy Polacy powołali na tron polski Henryka Walezjusza? *tandem* *scite*, jak się on i jego Gallowie nam odpłacili! Wszyscy *halemus* w świeżej to okulatnej pamięci naszej *periculosam* dla nas politykę Ludwika XIV, który niechciał się porozumieć ze ś. p. regnantem naszym Sobieskim. Wielki ten walecznik, zamiast przygnieść potęgę *ingratae Austriae*, i uciąć pazury domowi rakuskiemu, musiał go ocalić pod Wiedniem, niemogąc polegać na chwiejącej się i awanturniczej polityce dworu wersalskiego. Ileż to razy Polska była *in confusione*, przez intrygi tego dworu? Żadnym jego obietnicom nie możemy ufać, gdyż *inconstantia animorum* tego narodu jest tego przyczyną. Gdy Francuzi nie mogą swego impetu wylewać *in externo*, wówczas burzą się *in interno*, i jeżeli nie mogą *expurgare* lub na bannicję wysyłać swoich regnantów, o trującą lub sztyletem dni ich skracają! Henryk III. i Henryk IV. nie sąż tego dowodami? W pięknych i miódopłynnych słowach, przyrzekają oni nam pomoc; będą nas *admirari et inflammare ad pugnam cum hostibus* naszej ojczyzny; ale gdy przyjdzie do dania skutecznej pomocy, wymówią się trudnościami, niemożnością i odległością od Polski, et

»*semper* na koszu nas zostawia! To, co wam powiadam, Mości Panowie i bracia moi, wiecie już z dziejów przeszłych, a widzicie czy i dzisiaj nawet można rachować na Francję, i na jej kandydata Contiego do tronu polskiego? *Ubi sunt* rezultaty przyrzeczeń pośła francuzkiego? *Ubi sunt* owe siły wojskowe, które miały *debarcare* w Gdańsku? *Utinam* *fuisse* fałszywym prorokiem! ale zdaje mi się, iż i na przyszłość będzie to samo, co było dawniej, i Polacy zawiodą się zawsze na Francuzach.»

Zaledwo August II. począł rządzić, gdy nieporozumienia dawniejsze między Ogińskimi a Sapiehami na nowo odżyły. Sapieha, będący przy królu, otrzymał od niego list ostry przeciw Ogińskiemu, pisany w Warszawie 19 stycznia 1698. Lecz Ogiński, niezrażony tém pismem, przybiegł do Warszawy i łatwo przekonał króla, iż zabiegł Sapiehów, mają na celu prywatny ich interes, że oni niesprzyjają szczerze królowi, że przy pierwszej wydarzonej zrzeczności, obróca się przeciw niemu, i że skutki pokażą o rzeczywistości tego twierdzenia. Potem przez Tylżę Grzegorz III-Antoni, udał się na Żmudź, i tam objechawszy Degucie, Pojurze, Wywierzany Retów, Telsze, Wornie i Kroże, pościagał w imieniu królewskim, chorągwie dowodzone przez Józefa-Bogusława Służkę, hetmana polnego litewskiego, i przybył nakoniec do Rosień 26 lutego.

Stolnik w. litewski Sapieha, przybył tamże jednocześnie. W rozruchu jaki nastąpił, przy spotkaniu się dwóch partij przeciwnych sobie, Siemaszko poufny Sapiehy, ugodzony kulą w czoło, padł śmiertelnie. Przerażeni tym wypadkiem Sapieżyńcy, wynieśli się czém prędzej z Rosień, a Ogiński wyruszył przez Szawle do Tryszek i Szadowa, aby pomnożyć siły swoje.

Dnia 23 marca 1698 opuścił Szadów, i ciągnąc przez Kretynę, Pojurze, Taurogi i Jurborg, przybył do Wielony nad Niemnem. Tam 10 kwietnia wojska Ogińskiego i Sapiehy spotkały się; później ruszono pod Czerwoną-Dwór; lecz w jego okolicach przyszło do żwawej utarczki, w której lubo Sapieżyńcy przemogli, wszakże osłabieni, dozwolili wolnego cofania się Ogińskiemu do Wilna, a sami poszli przez Merez do Grodna, dla złączenia się tam z hetmanem Sapiehą. Wszakże, nim to połączenie się nastąpiło, Sapieżyńcy napadli na Białożora, sekretarza Ogińskiego, i na Bokieja towarzysza podróży, i bez długiego sądu rozstrzelali obu!

Gdy te smutne wypadki dopełniały się nad brzegami Wilji i Niemna, prawie jednocześnie smutniejsze jeszcze zakrwały drogę idącą z Wilna do Warszawy. Starszyzna litewska zebrana w Wilnie, od 10 marca, chcąc uprosić króla Augusta II. o przyduszenie tych niesnasek domowych, wybrała z pomiędzy siebie dwóch najdostojniejszych ziemian: Leona Ogińskiego podstolego w. litewskiego (brata Grzegorza II-Antoniego) i Ludwika Pocięja, wielkiego strażnika litewskiego. Ci, ufając, że nic się im nie stanie złego, małą z sobą wzięli asystencję, i puścili się w drogę, wioząc do Warszawy sprawozdanie piśmienne o całej sprawie. Lecz napadnięci zdradziecko przez Sapieżyńców pod Łosicami, na Podlasiu, zaledwo potrafili wyskoczyć z karet swoich, aby dobieść koni łóźnych, gdy byli już otoczeni i siekani szablami. Pocięj, dopadł szczęśliwie dobrego konia, i mógł się wywinąć z tej zgrai; ale Leon Ogiński już to przez swą otyłość ciała, a bardziej jeszcze przez przestrah, jakiego koń jego doznał od strzałów pistoletowych, upadł na ziemię, i w takim stanie został nielitościwie porąbany i dnia trzeciego umarł.

Dwa zabójstwa, prawie jednocześnie dokonane na Białożorze i na Ogińskim, wzburzyły umysły do najwyższego stopnia, i narzekania szlachty na Sapiehów i ich stronników, przebrały zupełnie miarę. Grzegorz III-Antoni, mając do pomszczenia zabójstwo i swego sekretarza i swego brata, a wzywany usilnie przez Żmudzinów, aby jak najspieszniej przybywał do Rosień i aby tam otrzymał nowy dowód popularności, jaką go Litwa i Żmudź otaczały, przybył do tego ostatniego miasta, i tam był obrany jednomyślnością na najpierwszy urząd prowincji, na księstwo-starostwo żmudzkie, co odpowiadało kasztelanji większej w senacie polskim. Urząd ten wakujący był po śmierci Pawła-Michała Paca, zmarłego jeszcze w r. 1696.

Lecz i na Żmudzi Sapieżyńcy niedawali pokoju Ogińczanom; obie partje spotkały się na nowo pod Wieloną; wszakże gdy tam Sapieżyńcy zgromadzili byli siły znaczniejsze, niżeli się Ogiński mógł spodziewać, był więc pobity, ale się schronił do Ragnety za Niemen. Gdy tym sposobem stolnik Sapieha, będąc przekonany, że już wszystko skończył, i gdy poszedł aż do Grodna; Ogiński, skupiwszy na nowo swoje siły, wrócił do Rosień i na czele licznej szlachty, przeszedłszy przez Kowno, przybył do Puzewicz, niedaleko Kamionki-Tyzenhauzowskiej, a gdzie się byli już zgromadzili Sapieżyńcy.

Z jednej strony siły przemagające Ogińskiego, a z drugiej strony wpływ Flemminga pełnomocnika Augusta II. dokazały, iż nastąpił rozejm, między dwiema partjami, i takowy był podpisany 20 grudnia 1698.

Tryumfujący tym sposobem Ogiński, udał się do Warszawy i był tam zaszczytnie przyjęty przez króla. Potem pojechał na Żmudź, a nareszcie do Wilna, gdzie następowało otwarcie trybunału litewskiego na rok 1699.

Otwarcie każdego trybunału odbywało się zawsze z okazałością, jako najwyższa krajowa sądownicza jurysdykcja. Zwyczajnie hetmani towarzyszyli osobiście takowemu otwarciu, a więc i hetman Sapieha tam się znajdował, tém bardziej, gdy jego przeciwnicy mieli już także zgromadzone swoje siły. Wszakże wszystkoby się mogło było odbyć spokojnie, gdyby nieprzewidziany wypadek nie był sprowadził nowej awantury.

Z okazji otwarcia trybunału, Michał i Janusz książęta Wiśniowieccy, wjeżdżali do Wilna, przy licznej assystencji i w paradnej karecie, ciągnionej przez sześć bułanych koni, podobnych zupełnie do sprzężaju Michała - Kazimierza Kocięła, kasztelana witebskiego, przeciwnika Sapiehów. W chwili gdy hetman Sapieha wracał z Antokoła z wieczerzy od hetmana polnego Bogusława Służki, a gdzie hojnie pojono świętą Sapiehy, oba dwory spotkały się na Święto-Jańskiej ulicy. Kawalkata Sapiehy, dobrze podchmielona, nie myśląc o Wiśniowieckich, rozumiała, że to była karetka Kocięła: zaczęła więc spędzać karetę i eskortę Wiśniowieckich.

Otworzona ubijatyka od kułaków, skończyła się wkrótce na dobieciu szabel, i odwodzeniu kurków od pistoletów. Hetman Sapieha siedzący w swej karecie, ale wpółdrżmiący po sutęj wieczerzy i starym węgrzynie, nie mógł pojąć co by to była za wrzawa? W tém Mikołaj Cedrowski, rotmistrz piński, z partji Wiśniowieckich, oburzony na Sapieżyńców, przyskakuje do karety hetmana i daje ognia z pistoletu prosto w pierś. Na szczęście, pistolet Cedrowskiego, przez zapomnienie, nie był nabity kulą, a więc przestraszył tylko hetmana drżmiącego, i podsmalił jego kontusz. Nawzajem Sapieżyńcy dali ognia, ale z kulami, do karety Wiśniowieckich, w której Michałowi urwano kawałek palca, a Janusza postrzelono w plecy.

Na odgłos tej ubijatyki nadciągnęła piechota z hauptwachty z pod zamkowej bramy i z pod ś-go Kazimierza z rynku. Cedrowskiego stłuczono kolbami, wpakowano do więzienia, gdzie wkrótce umarł. Hetman z kurzącym się kontuszem wyskoczył z karety i uskromił rozruchy. Zaprowadzono Wiśniowieckich do pałacu hetmana, dokąd nadbiegł Michał Sapieha, koniuszy w. litewski. Ten przeprowadził ich do swego mieszkania, dokąd wezwano lekarzy, i przepraszano najuniżeniej za swawolę i myłkę pijanej eskorty, i przyrzeczono surowie ją ukarać. Lecz te posługi, te uniewinniania się i obiecane kary, nie mogły przekonać Wiśniowieckich. Zaledwo lekarze obejrżeli ich rany, opuścili Wiśniowieccy mieszkanie Sapiehy, aby nie mieć z nim wspólnego.

Nazajutrz hetman Sapieha, przy installacji trybunału, kazał ściągnąć z kwater półk pieszy, konsystujący w Wilnie; otoczył zamek i wolne tylko przejście od bramy do kościoła katedralnego zostawił, tak, jakby się przygotował do walki; a tymczasem trybunał otworzył się, i obrano za marszałka Karola II-Stanisława Radziwiłła, podkanclerzego litewskiego.

Odpowiadając na nieufność Sapiehów, i chcąc się przygotować na wszelki przypadek, Grzegorz III-Antoni Ogiński, otworzył bramy swego wielkiego pałacu, przy Rudnickiej ulicy; zgromadził doń Wiśniowieckich, Kocięła i Zaranka, świeżo przybyłego, na czele licznej szlachty, i tam naradzali się, co dalej robić? Po wzajemnych porozumieniach się, ułagodzone rzecz powierzchownie; lecz Wiśniowieccy obrażeni, ściślej jeszcze połączyli się z Ogińskimi, przyrzekli o własnym koszcie dostawić kilka tysięcy kozaków wołyńskich przeciw Sapiehom, i po zapisaniu od całego zgromadzenia, w aktach wileńskich, protestacji i manifestów, opuścili stolicę litewską, udając się ku Podolowi.

Gdy się to działo wewnątrz kraju, przygotowywała się już

burza zewnętrzna, sprowadzająca na Polskę wojnę między Augustem II. i Karolem XII. królem szwedzkim. Lecz nim ten ostatni wkroczył do Litwy, tlejące nieporozumienia Sapiehów z Ogińskimi, odnowiły się znowu z zaciętością.

W miesiącu lutym, otworzył się nowy trybunał; rzeczy spokojniej poszły tym razem; lecz w miesiącu listopadzie obie partje na nowo wystąpiły. Wiśniowieccy, którzy wrócili z Podola, z liczną eskortą, a z nimi Kocieli i Zaranek, zgromadzili swe chorągwie pod Oszmianą i Lipniskami, pod wodzą ogólną Michała-Serwacego Korybuta-Wiśniowieckiego, starosty gliniańskiego i wołkowyskiego. Dnia 15 listopada, ruszyli przez Soleczniki i Rudniki i rozpołożyli się między Lejpunami i Olkienikami (czyli Wolkienikami), nad Mereczanką, gdzie się znajdowali Sapiehowie, rozpuszczający nieroztropne pogroźki na swych przeciwników.

Ze swęj strony, pięciu Ogińskich: Grzegorz III-Antoni, brat jego Marcjan II-Karol, bracia ich stryjeczni: Bogusław I. marszałek kowieński, Marcjan III-Michał, kasztelan witebski, i synowie ich, Antoni II., starosta żmudzki, tam także przybyli, a z nimi, w liczbie dotąd niepraktykowanej, obywatela, każdy ze swymi stronnikami, powinowatymi i pachołkami, aby położyć koniec trudnej już do zniesienia dawniej przewadze domu Sapiehów. Zjazd ten byłtém liczniejszy, iż przygotowywał się przez całe ośm miesięcy, aby szlachcie dać sposobność uzbrojenia się, zaopatrzenia się w żywność i przybycia w okolice Wilna. (*)

(1) Tam na czele swych chorągwi dowodzili: Michał-Kazimierz Kocieli kasztelan trocki, a z nim pięciu jego krewnych także Kocieliów: Konstanty, budowniczy i sędzia grodzki mściłowski; Michał-Bogusław, podostoli oszmiański; Stanisław, podczaszy witebski; Benedykt, sędzia mściłowski, i Adam-Franciszek-Władysław, łowczy łomżyński; Dominik-Michał Służka, wojewoda połocki; Stefan Tyzenhauz, wojewoda nowogródzki; Michał Dowmont Siesicki, wojewoda mściłowski; Mi-

Przeciw pięciu Ogińskim, wyżej wymienionym, wystąpiło pięciu Sapiehów: Kazimierz, Jan wojewoda wileński i hetman w. litewski; Benedykt-Paweł, poskarbi w. litewski; Jerzy stolnik w. litewski; Aleksander marszałek w. litewski; Michał koniuszy w. litewski, a razem i pisarz oboźny litewski.

chał-Kazimierz Pac, kasztelan połocki; Kazimierz Pociąg kasztelan witebski; Karol-Stanisław Radziwiłł, kanclerz w. litewski; Janusz Korybut Wiśniowiecki, marszałek nadworny litewski; Gedeon Radziwiłłski-Frąckiewicz, chorąży wielki litewski.

Tam powiat Oszmiański liczył oddziały, którym przewodniczyli Krzysztof Deszpot-Zenowicz, Aleksander Przeddziecki, Florjan Kocieli, a z nim ośmiu jego krewnych Kocieliów: Jerzy, Samuel, Jan, Antoni, Michał, Zygmunt, Stanisław, Gabryel; Samuel Przyborowski, Jędrzej Okusko, Stanisław Wilejko strażnik wileński, Andrzej Zakrzewski, Andrzej Soroka, Piotr, Marciń, Stanisław i Stefan Paszkiewiczowie; Bartłomiej Wołodźko; bracia Andrzej-Michał Boreyko-Chodźko, oboźny oszmiański i Symon Boreyko-Chodźko porucznik pancerny.

Z Lidzkiego: Józef Aleksandrowicz, Adam i Jan Narbuttowie, Marcejan Rejten wojski lidzki, Adam Ryłło, Marcin Kwinta, Józef i Stefan Korylskowie.

Z Brasławskiego: Jan Biegański, Antoni z Krzetuszewa Wawrzecki. Z Trockiego: Ludwik Pociąg, Jan Brzostowski, Mateusz i Mikołaj Römerowie, Władysław Burba, Mikołaj Korff, Mikołaj Zabiello. Kazimierz Ukolski, Jan Zaleski, Franciszek Wyssogierd.

Z Grodzieńskiego: Piotr Massalski, Aleksander-Kazimierz Wołowicz cześnik grodzieński, Grzegorz Kotowicz, Jędrzej i Antoni Poczebottowie Odlanicy, Stanisław Sopoćko, Jan Toloczko.

Z Kowieńskiego: Mikołaj Pac, Jerzy i Adam Prozorowie, Szymon Ulatowski, Aleksander Możejko, Dominik Medeksza.

Z Wileńskiego: Kazimierz Pietkiewicz, Krzysztof Komorowski, Antoni Kościakowski.

Z Upickiego: Michał i Józef Puzynowie, Jan Mirski, Aleksander Podberski.

Ze Żmudzi: Kazimierz Zaranek chorąży żmudzki, Kazimierz Paszkiewicz, Michał Eperyeszy, Benedykt Giedroyc, Michał Kniaziewicz, Piotr Przeciszewski, Józef Szemioth, Jerzy, Michał i Rymwid Mickiewiczowie.

Z Mińskiego: Jan-Jerzy Zawisza, Bogusław Sołtan, Marcin Wołodkiewicz, Franciszek Niepokojezycki, Karol Ordyniec, Teodor Wańkiewicz wojski miński, Aleksander Ulichowski, Albrycht Cedrowski, Antoni Orzeszko podstoli piński, Krzysztof, Józef i Stanisław Mackiewiczowie.

Z Połockiego: Antoni Deszpot-Zenowicz, Krzysztof Szczytt, Józefat Żaba, Jan Pakosz, Jan Bujnicki, Bazyli Rypiński, Krzysztof i Dominik Jeśmanowie, Jan Ludwik, Michał i Roman Korsakowie.

Ogińscy i ich stronnicy liczyli do 24,000, a Sapiehowie i ich stronnicy 16,000. Ogółem zatem liczono do 40,000 głów różnej kondycji konno, i pieszo; było to regularne wojsko i kupy mniej więcej zbrojne, jako też i ciury obozowe. Pierwsi mieli cztery armaty, drudzy sześć.

Michał Sapieha, koniuszy w. litewski, syn hetmana, niedawno przybyły z wojska austriackiego, gdzie się odznaczył, a więc najzdolniejszy wojskowy, pomiędzy swoimi, został obrany na naczelnika tymczasowego, w przygotowującej się walce. Jakby przeczuwał smutny swój koniec i swojej rodziny, dokładał największych starań, aby otrzymać od ojca swego porozumienie się i ułożenie się polubowne; lecz nie niepomogło. Ze swjej strony, sam nawet główny przeciwnik, biskup Brzostowski, ofiarował możebne warunki zgody, i w tym celu udał się osobiście do obozu Sapiehy, w d. 17 listopada. Tym krokiem chciał przekonać hetmana, że jako Polak, radby uniknąć walki domowej i bratobójczej; jako głowa kościoła w swjej diecezji, dać dowód uniżoności chrześcijan-

Z Witebskiego: Szymon Drucki-Lubecki, Felix Ciechanowiecki, Michał Machciński, Felician Łukowski, Franciszek Hurko.

Z Mścisławskiego: Karol Polubiński, Michał Chodkiewicz, Piotr Wołowicz, Franciszek Chojecki, Józef, Paweł i Antoni Poniatowscy.

Z Nowogródzkiego: Michał Rejten skarbnik mozyrski, Władysław Litawor-Chreptowicz, Michał Obuchowicz, Adam Białopiotrowicz, Paweł Bulharyn, Dominik Puchała-Cywiński, Krzysztof Kaszyc, Aleksander Szule, Władysław Tryzna, Stanisław Skumin-Tyszkiewicz, Michał Jeśman koniuszy nowogródzki, Michał Haraburda, Piotr Wołk-Łaniewski podskarbi mścisławski.

Ze Słonimskiego: Stanisław Żabka, Stefan Korczyca, Adam Zan.

Z Brzeście-Litewskiego: Rusiecki, Andrzej Jundzilt, Jan, Kazimierz i Stanisław Kościuszkowie.

Z Pińskiego i Polesia wołyńskiego: Bohdan Drucki-Lubecki, Olizar, Piotr Kollataj, Wacław i Paweł Ordowie, Piotr-Stanisław i Bazyli Godebscy.

Z Mozyrskiego było najmniej, to jest: Antoni Oskierka i Jerzy Trzeciak, gdyż powiat ten postanowił być neutralnym.

Z Rzeczyckiego: Stanisław Judycki.

Z Infant polskich: Stefan Kublicki, Fabjan Plafer, Jan Zyberg, Jerzy Hulsen.

Z Kurlandji: Fryderyk Mirbach.

skiej i w imię Boga, po bratersku się ułożyć; lecz duma i zarozumiałość odepchnęła wszystko, i ostatnie słowa hetmana, były: „Szabla najlepiej rozstrzygnie ten spór.“

Ile było zbrojowni prywatnych w każdej rodzinie, ochronionych od poprzednich obcych najazdów, wszystko to było wydobyte ze skarbców domowych. Tam rusznice, szable, pancerze, koszule stalowe wyrabiane w karpia łuskę, bułaty, buzdygany, spisy z różnych epok i różnej formy, otarte z pyłu i rdzy wiekowej, zajaśniały w ręku, lub pokrywały kontusze i czamary staro-polskie. Wystąpiły tam różno-barwne chorągwie niesione przez chorążych, ocalałych jeszcze z pamiętnej wyprawy wiedeńskiej lub multańskiej pod Janem Sobieskim. Tam dziarskie konie przybrane w siodła i czapraki tureckie, zdawały się być dumnymi z tego przepychu. Hułani, Tatarzy konno-polcy, petyhorcy pancerni, Kozacy wołyńscy, przybyli z Wiśniowieckimi, poustawiani byli w długie linie sztyku bojowego. Nareszcie, nieprzeliczone tabory wojenne, a liczniejsze jeszcze bryki, powozy, litewskie kałamaszki, naładowane żywnością, mięsiwem i napitkami różnego rodzaju: wszystko się to szeroko i długo rozłożyło na błoniach piaszczystych między Lejpunami i Olkienikami, i orzeźwiało się w nurtach Mereczanki, płynącej krętym węzłem, a wpadającej do poważnego Niemna.

Dnia 18 listopada 1700 r. we czwartek w dzień ś-go Grzegorza, w dzień patrona i imienin Grzegorza III Ogińskiego, od świtu, uszykowano się do boju. O dziesiątej godzinie rano, Sapieżyńcy pierwsi dali hasło walki, przy odgłosie trąb, kotłów i strzału armat. Mężnie ścierały się hufce zobopolne; lunęła krew potokami o godzinie 12-tę; ale przed godziną 4-tą Sapieżyńcy zostali na głowę pobici. Benedykt Sapieha, podstoli w. litewski, pierwszy tył podał, i ujechał z placu boju; za nim ruszył i sam hetman, i bez tchu goniąc, nie oparli się aż

w samém Wilnie. Obóz i sprzęty zwyciężonych, rozdzielono pomiędzy zwycięzców, jako pamiątki dnia tego.

Jeden tylko Michał Sapieha, przywódca tylnéj straży w odwrocie, jak był pierwszym dowodząc przedniéj straży, zastał mężnie pierzchające niedobitki; lecz nareszcie został jeńcem wojennym, a na nieszczęście, padł smutną ofiarą téj wojny domowéj. Zamknięty został w celi klasztoru franciszkańskiego, fundowanego w r. 1636 przez Krzysztofa Chaleckiego, miecznika w. litewskiego, którego potomkowie wzajemnymi węzłami familji byli połączeni z Ogińskimi. Zaledwo Michał Sapieha był wprowadzony do celi, gdy na wstępie ksiądz Krzysztof Białożor, kanonik wileński i sekretarz królewski, mszcząc się za rozstrzelanie brata swego, a sekretarza Grzegorza Ogińskiego, rzekł: „Tyś brata mego zamordował, a dzisiaj Pan Bóg ci za to odwetuje!”

Pomimo wstawień się Wiśniowieckich, Ogińskich i biskupa Brzostowskiego, tłum wzburzony, wszedł do celi Sapiehy. d. 19 listopada, zaczął go rąbać szablami, a wywleczonego na ulicę posiekał w kawały, tak jak w r. 1698, Sapieżyńcy posiekali byli niewinnego Leona Ogińskiego! Zebrane reszty ciała Sapiehy, przewieziono do Berezy-Kartuskiej, gdzie dotąd spoczywają. Wojna starosta brasławski i kilku innych doznali podobnegoż losu.

Pomiędzy poległymi na tém polu, byli Józef Poniatowski, półkownik i koniuszy mściśławski, Kocięł, Ślizień, Dowgiąłto, Bernatowicz, Darewski skarbnik połocki, Plewaka, Andrzej Soroka, Korsak, Bohusz, Tomasz Jurewicz, Wincenty Korzeniowski, etc. Józef Poniatowski pochopny do spraw rycerskich, od swéj piérszéj młodości, nie mogąc czynnie służyć w wojsku narodowém, zaciągnął się był do wojsku austriackiego, i tam będąc, miał już do czynienia z Turkami; ale na odgłos wzburzonéj Litwy, wrócił do niéj. Pod Olkienikami

trzymał w ręku chorągiew, aby tém bardziej szlachta kupiła się około niego. Zawsze w piérszym ogniu, gdy już był ranny śmiertelnie, i gdy mu chciano wziąć chorągiew, odrzekł: „Weźmiecie mi ją z rąk moich po mojej śmierci, ale nie za życia: dzielna Litwa powierzyła mi tę chorągiew, i będę przy niéj do ostatniéj chwili!”

W skutek tego zwycięstwa, odniesionego nad hetmanem Sapiehą, który dotąd szczęśliwie walczył na wyprawach moskiewskiej, tureckiej, i wołoskiej, zbytńia przewaga Sapiehów ostatecznie została podkopaną. Aby zaś gruntowniej dopiąć tego celu, przeciwnicy ich uradzili w d. 22 listopada 1700 *Laudum*. W niém wyłączając linję kodeńską Sapiehów, a opierając się na konstytucjach z lat 1588, ogłosili matkobójcami Rzeczypospolitéj, mianowicie: Kazimierza - Jana wojewodę wileńskiego, hetmana w. litewskiego, Benedykta podskarbiego w. litewskiego, Grzegorza, podczaszego w. litewskiego, Aleksandra marszałka w. litewskiego. Dwóch z nich schroniło się do Heilsborga, do biskupa Andrzeja - Chryzostoma Załuskiego, a potem do Tomasza Działyńskiego krajczego w. koronnego, nim się dostali do Warszawy.

W témże *Laudum* naznaczono leże dla wojska w dobrach Sapieżyńskich; zabrano im dobra dziedziczne dla zaspokojenia ich wierzycieli, a na resztę przychodów dla skarbu publicznego; usunięto ich od opieki nad księżniczką Neuburgską i dobrami jéj, a przeniesiono takowe na osobę Karola II. - Stanisława Radziwiłła, kanclerza w. litewskiego. Zapewnione wynagrodzenie rodzinom zabitych; na ostatek powierzono księdzu Krzysztofowi Białożorowi kanonikowi wileńskiemu, poselstwo od zajazdu do króla, dla zupełnego opowiedzenia mu zaszłych wypadków.

Z Olkienik konfederacja jeneralna litewska ruszyła do Wilna, i rozpołożyła się na Śnipiszkach za Zielonym mostem. Wy-

brano z niej 8,000, najlepiej uzbrojonych, i ci, pod wodzą Michała - Serwacego Wiśniowieckiego, puścili się przez Rożanę ku Podlasiowi, aby mieć na oku niedobitki sapieżyńskie.

W takim stanie były rzeczy wewnątrz Litwy, gdy Karol XII król szwedzki, przyjmując wojnę wydaną mu przez cara Piotra I. i przez Króla Augusta II., wylądował na hrzegi Estonji. Starszyna litewski, po awanturze olkienickiej, zgromadzona w Wilnie, przeczuwając już wówczas, iż Szwedzi nie poprzestaną na wojowaniu jedynie z carem, ale że się zetną z Augustem II., podpisała akt za Augustem. Grzegorz III.-Antoni Ogiński, jednomyślnie uproszony przez Litwinów, ruszył na Żmudź, gdzie Karol XII., zwycięzca Moskwy pod Narwą (30 listopada 1700), i Sasów pod Rygą (18 lipca 1701), wspierany przez Sapiehów, już szeroko gościł na Żmudzi, i ze swoim wojskiem różne szlaki przebiegał.

Zbrojna siła Ogińskiego, wówczas już hetmana polnego litewskiego, znajdowała się rozpołożona w Retowie, Worniach, Telszach i Łuknikach. Po kilku utarczkach, około tych miejsc, w których hetman szczęśliwie wojując, tak dalece oburzył Karola XII., iż ten w d. 10 grudnia 1701 r. będąc w Wirgen, wydał ostry manifest przeciw Augustowi II. i Ogińskiemu. D. 14 grudnia sam Karol XII. doścignął hetmana pod Tryszkami. Przyszło do zaciętej walki; Litwini i Żmudzini dzielnie się bronili, ale przemagające siły i wyćwiczone regularne wojsko szwedzkie przemogło.

Ten wypadek zbliżył Ogińskich do Sapiehów, i w d. 17 stycznia 1701 r. za pośrednictwem trzech osób, zawarli między sobą transakcję przyjacielską. Mniemał hetman Ogiński, że tym sposobem wprowadzi jedność w umysłach i widokach reszty przeciwników Karola XII., który i w mowie i w manifestach, oświadczał się być obrońcą narodowości polskiej, a nieprzyjacielem Augusta II., jako nieprzyjacielem polski, bo

związanego z carem Piotrem I. Lecz gdy Sapiehowie dla tego głównie przywiązali się do Szwedów, aby z nimi łatwiej walczyć i zniszczyć przewagę Ogińskich w Litwie, nie mogąc ani strawić, ani zapomnieć skutków bitwy olkienickiej, a więc Grzegorz III.-Antoni musiał pozostać na pierwszym stanowisku, tém bardziej gdy transakcja z 17 stycznia nie była dotrzymywana przez Sapiehów, i gdy w każdej okoliczności nosili w swém sercu nieutulony rankor. Jakoż Aleksander Sapieha, marszałek w. litewski, walczył pod Lachowiczami d. 12 kwietnia 1709 r. przeciw Grzegorzowi III. Dla tego też, po bitwie półtawskiej, gdy August II. odzyskał koronę polską, Grzegorz III. otrzymał od niego buławę wielką litewską, po Michale Wiśniowieckim, będącym wówczas w niewoli moskiewskiej. Lecz niedługo onę piastował, gdyż wkrótce w tymże roku 1709, d. 17 października, umarł w Lublinie, a pochowany w Łopienicy, w grobie familijnym.

Bez względu na dobro osobiste, Grzegorz III., - Antoni, tyle łożył pieniędzy i zasobów na sprawę publiczną, iż successorowie jego znaleźli się w trudnem położeniu. Przez długi czas i ci successorowie, niedopominali się u rządu narodowego o wynagrodzenie; lecz pretensje familji były tak prawowite i widoczne, że aż w 60 lat od śmierci hetmana sejm warszawski, uchwałą swoją z r. 1768 wydał postanowienie, w którym znajdują się dowody ofiar złożonych na ołtarzu ojczyzny, i przyznanie successorom co im należało.

Grzegorz III.-Antoni książę Ogiński, ożeniony z Teklą-Teofilą księżniczką Czartoryską, wdową po Jerzym Krasickim, stolniku przemyskim, a córką Jana Karola Czartoryskiego podkomorzego krakowskiego i Zebrzydowskiej kasztelanki kamienieckiej, zostawił pięcioro dzieci, dwóch synów i trzy córki: *Jan VII., Kazimierz I., Elżbieta-Magdalena, Aniela i Eufrozyna.*

Z. H. HEJNEGO.

I.

Na skrzydłach pieśni pieszczotnej,
Ulecim w lubej pogoni,
Do téj tak znanéj, samotnéj,
Na brzeg Gangesu ustroni.

Tam ogród wiecznie kwitnący,
Blaski miesiąca go stroją —
I czeka lotus drzemiący,
Na ciebie, siostrzyczkę swoją.

Fiołki szepczą, chychoczą,
Oczkami nęcąc gwiazdeczki;
Róże tajemnie szczebioczą,
Prawiąc swe wonne bajeczki.

Gazela wśród kwiatów fali,
Płonie, podsłucha, znów płąsa —
I święty strumień w oddali,
Swym szumem powietrze wstrząsa.

Tam, moja Luba! w palm cieniu,
Niechaj nas błogo kołyszysz,
W miłośném serc upojeniu,
Sen o miłości i ciszy.

II

Kwiat lotusu, gdy dopieka
Pyszne słońce w całej mocy,

Zwiesza listki i narzeka,
I drzemiący czeka nocy.

Księżyc dłonią swą srebrzystą,
Jak kochanek sen odgania,
I twarzyczkę mu kwicistą
Przyjacielsko z mgły odsłania.

Wtenczas kwitnie, świeci, płonie,
W górę wznosi się milczący —
Woń rozlewa, we łzach tonie,
Drząc miłością palający.

III.

Ren w pięknym płynie łożysku,
Srebrzyste podnosząc lica;
Przegląda w modrych fal błysku
Święta kolońska wieżyca.

W téj wieży, na tle ze złota,
Czarowny obraz przynęca —
W pustce mojego żywota,
On duszę moję uświęca.

Nad Panią Niebios w przezroczy,
Aniolki, kwiatki nadobne —
Jéj lica, usta i oczy
Tak do méj Lubéj podobne.

Jan Prusinowski.

Wyjątek z listu Byrona do Sir Hodgson.

»Boatswain już nie żyje — zdechł oszalały 18-go..... po wielkich cierpieniach — zachował jednak aż do ostatka swoją szlachetną naturę: nie rzucał się na nikogo z przytomnych.

Straciłem teraz wszystko, oprócz starego Murroya!

W testamencie z 1811 Byron kazał własne ciało pogrzebać obok swego wiernego psa. A oto napis i wiersz przez niego ułożony, znajdujący się dotąd na nagrobku w ogrodzie *Newstead Abbey*.

Blisko tego miejsca

Złożone są zwłoki tego,

Co posiadał piękność bez próżności,

Siłę bez chęci gnębienia (Insolence),

Odwagę bez dzikiej wściekłości (ferocity)

I wszystkie człowieka cnoty bez jego wad.

Ta pochwała, coby tylko była nieznaczącym pochlebstwem

Nad popiołami człowieka,

Tu prostym jest hołdem należnym pamięci

Strażnika psa, (Boatswain 5).

Urodzonego w Nowej Ziemi w maju 1803, a zmarłego w Nowém Opatwie, listopada 1808.

Gdy pyszny syn człowieka wróci się do prochu,
Nie ze sławy, lecz z nazwy różny od motłochu,
Wnet snycerz z zakupionym talentem przybiega,
I szumnie głosi światu, kto ten grób zalega:

Tak gdy już tu po wszystkiem, grób nam opowiada
 Nie to czém był za życia, lecz czém być wypada.
 A biedny pies, wskrós życia przyjaciel najstalszy,
 Najskorszy do witania, bronić najzuchwalszy,
 W którego zacném sercu wciąż jeden panuje,
 Co dla niego jedynie walczy, cierpi, czuje,
 Nieuczczony umiera! nikt go niewysławia
 I jeszcze mu po zgonie człek duszy odmawia!
 A sam, mdły owad! tuszy, że mu Bóg przebaczy,
 I że jemu wyłącznie kiedyś raj wyznaczy!
 Człowieku! ty włodarzu krótkotrwałej doli,
 Zepsuty władzą albo spodlony w niewoli;
 Kto cię pozna — ze wstrętem pewno się odwróci, —
 Garsć pyłu, co tu życiem Bóg na chwilę cuci!
 U ciebie miłość — chucią, przyjaźń — wieczną zdradą,
 Uśmiech — obłudą, słowa — twych fałszów ogładą.
 Z natury podły, ledwo uszlachcon z imienia,
 Przy tobie każdy zwierz ma prawo zawstydzienia.
 Lecz dość! przechodniu, coś w te strony zawędrował —
 Mijaj! — bo tutaj nie ten, cobys rad żałował.
 Ten prosty stos kamieni druha dłoń znosiła —
 Jam jednego znał w życiu — tu jego mogiła.

Newstud Abbey nowember 30 — 1808.

W. T. Ramingo.

Rzym, w r. 1860.

Śplew bardzo żałośny o obleżeniu i wzięciu Alhamy Współcześnie z arabskiego na hiszpański przełożony, i z tego tylko przekładu dziś znany.

(*Romance muy doloroso del sitio e toma de Alhama*).

I.

W Grenadzie skróś po mieście
 Przejechał razy dwieście
 Król od bram Elwirowych
 Aż do Biwaramblowych
 Biada mi, Alhamo!

II.

Listem wiedzieć mu dano,
 Że Alhamę zabrano;
 List skazał na spłoniecie,
 A posłańca na ścięcie.
 Biada i t. d.

III.

Wnet zeskoczy z mulicy,
 I lotem błyskawicy
 Pędzi a pędzi konno,
 Na Alhambę obronną.

Biada i t. d.

IV.

Ledwo stanął w podwojach,
 Wnet na trąbach, obojach

Zwołują na wsze strony
Do wojennęj obrony.

Biada i t. d.

V.

Gdy usłyszają trębaczy,
Każdy wie co to znaczy;
I na Marsa wołanie (*),

Każdy ochoczo stanie.

Biada i t. d.

VI.

Z La Vega i Grenady
Ciagną liczne gromady;
I zbiegł się lud orężny
W jeden hufiec potężny.

Biada i t. d.

VII.

Tam gdy król ich powita,
Stary Maur go zapyta:
„Po co nas na te pola,
Królu, wzywa twa wola?”

Biada i t. d.

VIII.

A król smutno odpowie:
„Niech się każdy z was dowie,

(1) Nie mając oryginału arabskiego, nie możemy wiedzieć, czy tam było rzeczywiście imię *Marsa*, czy też tylko wprowadził je tłumacz hiszpański; nie byłoby to wszakże niepodobne w czasach gdzie u Maurów napotykało się wiele hiszpańskiego, w wyobrażeniach i obyczajach, równie jak wiele muzułmańskiego u Hiszpanów.

Byron, który będąc w Hiszpanji pieśń tę słyszał i na angielski przetłumaczył, mówi z podania ludu, że takie wrażenie sprawiała na Maurach, iż ją śpiewać pod karą śmierci zakazano w Grenadzie!

Ze Alhamę w tej chwili,
Chrześcijanie zdobyli!”

Biada i t. d.

IX.

Wtenczas stary Alfaki,
Rycerz nie ladajaki,
Z długą brodą a siwą,
Odpowie mu co żywo:

Biada i t. d.

X.

„Królu słusznym ci losem
Los, co cię dotknął ciosem:
To nagroda zagłady
Kwiatu młodzi Grenady!”

Biada i t. d.

XI.

„Abenseragów plemię
Caleś zakopał w ziemię:
A po nich, z twój namowy,
Przyszli obcy z Kordowy.

Biada i t. d.

XII.

„Tożes, królu, zasłużył,
Abyś dwóch zapłat użył:
Byś utracił Grenadę
I królewską posadę.

Biada i t. d.

XIII.

„Bo gdzie prawa są za nic,
Tam klęsce nie ma granic,

Niechże ginie Grenada,
I niech król z nią przepada!

Biada i t. d.

XIV.

Królowi, gdy to słucha,
Aż ogień z oczu bucha:
Bo Alfakiego mowa
Prawda nazbyt surowa!

Biada i t. d.

XV.

A więc z gniewem odrzeczę:
„Żadne prawo człowiecze
Człeka nie upoważni
Mówić, co króla drażni.”

Biada i t. d.

XVI.

Cóż pomagać, Alfaki!
Siwe lat twoich znaki?
Król klęską rozjuszony
Chce, byś wnet był stracony.

Biada i t. d.

XVII.

Każę, by odrąbaną
Głowę twą pokazano
W Alhambrze, by zbyt śmieli,
Gdy spojrzą nań, zadrżeli.

Biada i t. d.

XVIII.

„O rycerze waleczni!
Proszę, bądźcie mi grzeczni:

I powiedzcie odemnie,
Że się gniewa daremnie.

Biada i t. d.

XIX.

„Alhama postradana,
To mi najcięższa rana!
Król wlok parę tysięcy
Stracił, inni coś więcej.”

Biada i t. d.

XX.

„Wdowa męża i dziecię;
Inny co miał na świecie
Najdroższego; ów sławą
Przyplacił klęskę krwawą.”

Biada i t. d.

XXI.

„A ja między innemi,
Dziwę, kwiat naszej ziemi!
Wór-bym złota zapłacił
Za nią, i nic nie stracił!”

Biada i t. d.

XXII.

Gdy skończył, łeb mu ścięto,
I na palu zatknięto
W Alhambrze na widoku,
Według króla wyroku!

Biada i t. d.

XXIII.

Płaczą starzy i młodzi,
Tak każdego obchodzi!

Placzą go wszystkie panie,
W całej Grenadzie łkanie.

Biada i t. d.

XXIV.

Placze każda osoba;
W każdym oknie żałoba;
Placze król jak niewiasta,
Bo ciężka strata miasta!

Biada i t. d.

W. T. Ramingo.

Rzym, 6 kwietnia 1860 r.

Do.....

Jaka to postać gra na bardonie,
A tak swobodnie strunami włada?
Natchnienie boże z duszy jój płonie,
I w iskrach uczuć na struny spada.

Skronie jój zdobi złota korona, —
Tęczowej barwy szatą owiana, —
Duchem miłości opromieniona, —
Buja w przestworzach jako Goplana.

Strójny jój bardon na wyższą notę,
Wysokich uczuć wydaje tony;
Głębokie myśli z serca wysnute
Rozpromieniają umysł strudzony;
A cudną pieśnią wieczystej chwały,
W sploty braterstwa łączy świat cały.

Cudna to postać! Cudne jój pienia,
Na drodze życia słodzą cierpienia,
Z kielicha uczuć płyną do serca —
Jak rosa wonna z kwiatów kobierca
W jasnych perełkach, — jak trzy promienie
Ducha bożego na owych głowy,
Co cudownemi darząc nas słowy,
Zwiastują w Bogu wieczne zbawienie.

Z serca jój Miłość, z Wiara, Nadzieja...
Światłością niebios nam promienieja,
A wręku palmę zwycięstwa trzyma...
To Polka nasza — Wieszeć Deotyma.

F. Rym...

1856 Wilno.

Noc jesienna.

Ponura ciszo nocnej swobody!
Pod twą zasloną czarnej sukienki,
Piekło wyprawia weselne gody...
Zbrodnia — rozpusta — zdobią twe wdzięki.

Czarną swą dłonią dźwigasz pół świata,
I skwapnie chwytasz drugą połowę;
A choć twą barwę księżyc przeplata,
Zawsze ku zbrodni nachylasz głowę.

Wszystko ci sprzyja, co hańbi cnotę:
Występna miłość dań ci swą niesie,
Lichwiarz w twych więzach miewa sny złote,
Ile haniebna cyfra przyniesie...

Co dzień rumieni, noc wszystko kryje,
Pod swe obsłonki kirowej szaty,

I zegar życia powolniej bije
Godziny czasu — wiecznej zapłaty....

Ach Boże! Boże! czemuż noc błada
Okrywa zawsze ciało ludzkości?...
Czemu nie ciągle na ziemię spada
Światło niebieskie Twojej mądrości?...

O! to za śmiałe moje pytanie:
Gdy Cię obrażę, Wszechmocny Boże!
To noc czarniejsza przedemną stanie...
Cały truchleję — cały się trwożę.

Lecz moje ufność pokładam w Tobie,
Że nieopuścisz nędznej istoty;
Chwalić Cię będę o każdej dobie,
Naucz nas, Panie! wiary i cnoty.

W ciemną noc pójdę z wiarą za Tobą,
Jesienną burzę zniosę dla Ciebie,
Tys moim blaskiem, moją ozdobą...
Udziel nam, Panie! światłości w Niebie.

F. Rym....

Podwysokie.

KAROLINA PRONIEWSKA.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Kto kocha swoje ojczystą ziemię, ten kocha jej wieszczów. Niebędziemy tu mówić o wieszczach ustalonej sławy, których nieśmiertelne imiona zdobią karty polskiej literatury, lecz oddamy cześć zasługom na polu literackim, krędko znikłej, cichej i skromnej żmudzkiej *Zuruli*, Karolinie Proniewskiej. Krótki jej wiek i przytłumiony przesądami talent, nie dozwoliły rozwinąć się młodemu uczuciu na większą skalę; ale w miarę swojego życia i możliwości, jak się potem da widzieć, w drobnych swoich poczynkach, ogniem jej ducha i łzami krwawej boleści namaszczonej, unieśmiertelniła żmudzką muzę. Do czasu Proniewskiej, żadna z kobiet na Żmudzi, nieodważyła się przystąpić do poezji w języku polskim. Jedna tylko Westalka żmudzkiego znicza, K. Pr. zaczęła była rozniecać ogień uczuć duchowych w głuchym zakątku Żmudzi; lecz nielitościwe Parki, w samym rozwoju jej życia duchowego, przecięły wątłą nić przyrody. Przyjawszy na siebie

smutny przyjacielski obowiązek, przy pomocy udzielonych nam materiałów, skreślić zawód przedwcześnie zgasłej śpiewaczki, powiemy najprzód kilka słów o niej samej, a potem damy poznać cechę jej utworów.

Karolina Proniewska, urodziła się na Żmudzi w powiecie telszewskim 6 stycznia 1830 roku, w niewielkiej dziedzicznej posiadłości jej rodziców, w bliskości Telsz, a umarła w Ucie, w powiecie wilkomierskim 14 maja 1859 roku i tam pogrzebiona. Nad jej mogiłą wznosi się krzyż, godło jej życia i wieczystej chwały, z wyrytym na tablicy napisem:

Śpiewała piosenki małe,
Wiecznemu Bogu na chwałę,
Jego Świętym i Aniołom,
Na pamiątkę przyjaciołom.

Od samego dzieciństwa, okazywała Proniewska nadzwyczajnie bystre pojęcie, zadziwiającą pamięć, niezmiernie tkliwe serce i skłonność do poezji. Ojciec często słuchając jej miłego szczebiotania, powtarzał słowa Kochanowskiego: „Sappho słowiańska rośnie mi w tobie.“ Lecz również jak on niedoczekał tego szczęścia, bo w czwartym roku jej życia zostawił sierotę. Matka znękana po stracie męża, zajęta gospodarką i opatrzeniem potrzeb codziennych, przy troskach i niedostatku niemogła pomyśleć o wychowaniu najmłodszej sieroty, — a nauczywszy ją tylko pacierza, garnęła do Boga, i tak rosła mała poetka do lat dziesięciu, swobodnie blakając się po przesłanych gaikach, które otaczały jej dom rodzinny. Często ją znajdowano nieruchomie siedzącą nad brzegiem strumienia, wpatrującą się w jego kryształ; przemocą trzeba było ją stamtąd odrywać budziła się jak z uśpienia, prosiła, by ją tam zostawiono.

Mnie tu lepiej, mówiła ze łzami, moje myśli tak prędko płyną jak te jasne wody, a ten szmer strumienia, to harmonja, która gra ciągle w mojej duszy.

Sama nauczyła się czytać i pisać z małą pomocą, i w siódmym roku życia stawiając niekształtne litery, zaczęła przelewać na papier rzewne piosenki. Od lat dziecińczych miała w duszy przecucie jekiegoś nieszczęścia, każda jej myśl, każde uczucie, były napiętnowane cichym smutkiem, żywo odbijającym się na jej wyrazistej twarzy. Kiedy najstarszy jej brat, opiekun całej rodziny po śmierci ojca, zamieszkał w domu rodzinnym, — natenczas bratowa, kobieta rozsądna i dobrze wychowana, należąca do pierwszych rodzin na Żmudzi, zajęła się wychowaniem młodej marzycielki. Tu zaczęła się nowa epoka jej życia; ale brat widząc wątłe jej zdrowie, nadzwyczajną czułość i żyjącą tylko marzeniami, surowo zakazał, by żadnych wierszy nigdy niepisała, i wymógł na żonie, aby niezostawiała jej ani jednej wolnej chwili, i żeby prócz naukowych, nie dawała żadnych książek do czytania, a szczególnie poezji; każdy objaw jej czułości albo poezji, był surowo zgany i wysmiany; nawet matka nieśmiała przeciwieć się takiemu postępowaniu, myśląc, że to szczęście przyniesie jej ukochanemu dziecięciu. Serce jej tym boleśniej było zranione: bo ona, co była pieczęcią i chlubą matki, widziała, że już i ta broniła jej tego, co dla niej było najmiłsze. Jej żywy charakter i ognista dusza, przytłumione cierpieniem, uciśnione lekceważeniem, nieśmiało się objawiały; pracowała nad sobą i pomimo ognistego charakteru stała się cichą, łagodną, bojaźliwą. Nieśmiałość i pokora, więcej jeszcze lekceważenia jej przyniosły; lecz ten już charakter pozostał w niej na zawsze, chociaż wróciła swoboda duszy.

Tak wzrastała młoda sierota. Niebyła to gwiazda jasnie-

jąca, trzeba było poznać ją bliżej, by odkryć wszystkie skarby jęj serca, słodycz i wdzięk dziewczęcy. Średniego wzrostu, śniadęj plei, rysów twarzy mocnych i wyrazistych, w dużych siwych oczach odbijała się pocziwa dusza, niekiedy rozjaśniała jęj źrenice iskra genjuszu, a wtenczas te siwe oczy nabierając błękitu nieba, dziwnym jaśniały blaskiem. Nie był to ogień ziemski, niezapalały serca jęj spójrzenia; lecz wszysey ją kochali, kto tylko ją poznał, wszystkich ujmowała dobrocią, miłym wdziękiem mowy, uprzejmością i słodyczą. Litość jęj nad biednymi nieznala granic: wszystkiem dzieliła się z nimi, różne składki robiła, czasem musiała znosić szyderstwa, ale te prawie ją pocieszały.

Wracając do jęj lat dziecinnych smutnie upłynionych, choć w części dany poznać, ile przecierpiała jęj tkliwa dusza; choć wszysey ją kochali, a jednak tysiące cierpień zadawali, chcąc ją, jak mówili, uleczyć z tęg *manji*. Gorzkie to było lekarstwo, krwawiące jęj serce; lecz nie jęj uleczyć niemogło, myśl niespoczęła ani na chwilę, dopóki nie przelala jęj na papier. W nocy tylko pisać mogła, i to bardziej jeszcze wątle z natury jęj zdrowie rujnowało. Tych jęj utworów nikt nie czytał, oprócz starszég siostry, teraz zamężnéj Tekli Borysewiczowég; ona tylko zachęcała ją do wytrwania, o ile mogła słodziła gorzkie chwile jęj życia, lecz rzadko kiedy były razem. Pomimo zakazu, po stracie córeczki braterskiég, będąc dwunastoletnią dziewczyną, napisała ów tak tkliwy i estetycznie piękny *Sen o Marylce*. (Piosneczki, str. 107.) Bratowa łzami serdecznég wdzięczności zapłaciła jęj za to; a brat pomimo gorzkiég łzy w oku, neliłościwém szyderstwem do głębi zranił jęj serce, chcąc jak mówił, ostatni cios zadać *manji* pisania. Po wielu latach pożałował tego, ale po czasie: bo już wszystkie pio-

senki od dzieciństwa wymarzone i na papier przelane, pod ciosem szyderstwa zniszczyła; lecz to ją tak wiele kosztowało, że tylko co życiem nieprzyplaciła. By lepiej dać poznać tkliwe jęj serce i niedolę, jaką przeżyła, umieszczamy tu łaskawie nam udzielonych przez jęj siostrę p. Borysewiczową, kilka wyjątków z „Pamiętek życia“, które sobie zapisywała.

„Pamiętki życia, wzięte z uczuć serca, myśli i wrażeń, które od lat dziecinnych, aż do ostatniég chwili, zajmowały duszę moję.“

Co się uczuło głęboko i skrycie,

To też przechodzi i w czyn i życie.

Mało dla serca, co ci świat przysądził;

A czyś szedł prosto, czyś po drodze błdził,

Co było zawsze ciche i cierpliwe,

To będzie dobre, chociaż nieszczęśliwe.

W. Pol.

„Kochałam i cierpiałam od kolebki, kochać i cierpieć będę do grobu; chociaż wiele błędów i wiele boleści udręczyło, niegasły uczucia święte; aż dotąd wiara i miłość prawdziwa żyją we mnie; lecz nadzieja, tylko w miłosierdziu bożem.“

„Nędzne, wzgardzone dziecię, byłam cicha, nieśmiała. Bóg jeden widział myśli i uczucia moje, i często łzy rzewne płynęły z oczu; często myśl głęboka odjęła swobodę duszy niewinnég; na przemiany: wiara, miłość, nadzieja, bojaźń i straszne zwątpienie, miotaly sercem zdolném do żywych i głębokich uczuć. Nie było ręki coby mogła wesprzeć, oświecić: dla mnie tych ogólnych nauk i powszedniego życia było za mało; zawsze myśl pracowała, bujała wyobraźnia, tworząc cudne obrazy życia, w których nie

było skarbów świata, tylko serca skarby. W tych marzeniach najmniejszą, najuboższą częśćkę brałam dla siebie; za najmiłszych sercu mając ubogich, pragnęłam być ubogą i niewiem dla czego nędza i boleść tak wiele miały uroku, a serce dziecinne zawsze tak czuło prawdę głęboko, że żaden pozór, żadna świetność, złudzić mię nie mogły.“

„Tak przesniłam wiek mój dziecinny z miłością i bolem w sercu, tęskniąc i marząc o ojcę ś. p., o braciach, co byli daleko, o siostrze jedynéj, którą nad życie kochałam. Często jéj w domu niebyło, tęskniłam płacząc za nią; a kiedy byliśmy razem, to zupełnie pod jéj władzą było serce moje. Często nadużywała téj władzy, chociaż bardzo mię kochała, — o kilka lat starsza, dając mimowoli uczuć wyższość swoją, nieraz obudziła żal w sercu i nieraz gorzko zapłakałam; lecz znowu zapomniałam, gdy mię serdecznie uścisnęła. Ona jedna знаła serce moje. Skarb mój jedyny na ziemi były owe serca poczeiwe: serce Tukluni mojej, serce matki ukochanej.“

„Może wiele było złego we mnie, lecz serce kochało prawdę i zawsze wiodło ku dobremu. Matka pieściła małą sierotę swoją, lecz ja unikałam jéj pieszczot, choć miło do serca matki było się przytulić. Rodzeństwo śmiało się ze mnie; lękając się tych żartów, wyobrażałam sobie, że mnie wszyscy niecierpią, gardzą mojem uczuciem, i tak jedna, zamknięta w sobie, błąkałam się często po dzikich zaroślach; i kochając tak czule, nie śmiałam zbliżyć się do ludzi, bo zdawało mi się, że wszędzie obojętność i wzgardę spotykam. Ta bojaźliwa nieśmiałość pozostała na zawsze i teraz często zdaje się być obojętną na pozór; gdy się zbliżam do osób drogiech, gdy serce pragnie rzucić się do nich,

ściskać, całować, — ja patrzę i czekam, czy mię kto przyjmie i przytuli do siebie.“

Tak przeżyła młoda sierota wiosnę życia swojego, snując po nocach rzewne piosenki: bo w tém tylko czuła spoczynek duszy swojej po dziennych trudach i ciągłych zgryzotach. Na ostatek przyszła gorzka chwila rozstania się: brat ze swoją rodziną musiał odjechać, a ona z matką musiała rzucić swój domek ukochany i to wszystko co było drogie i miłe jéj sercu. Zamieszkały w malém powiatowém miasteczku Telszach. Tam spotkała człowieka, którego ukochała z całą mocą piérwszój miłości; na nieszczęście pokochała niegodnego siebie w niczém: niemógł jéj odpowiedzieć ani uczuciem, ani ukształceniem. Niemogąc podnieść go do siebie, sama musiała doń zniżać się; to ją bolało, cierpiała piekielne męki, niemogła z serca wyrwać uczucia, kochała. Serce pragnęło miłości i na piérwszego, który okazał iskrę uczucia, złała wszystkie skarby duszy swojej. Niemógł ocenić tych skarbów człowiek, który tylko polkę pięknie umiał tańcować, i jak się prędko zapalił, tak niemogąc podnieść się do niéj, zaczął stygnąć powoli; a przytém ojciec jego dorobkowiec, niemógł przypuścić, aby syn mógł się żenić z panną bez posagu: więc żeby to się nieszczęście niestało, wysłał go do gubernjalnego miasta. Tak się skończyła ta nieszczęśliwa miłość; a ona okupiła to życiem: wywinęły się suchoty, których zaród od dawna w piersiach już nosiła. Tu znowu w swoich pamiętnikach tak o sobie mówi:

„Dwa razy w życiu mojem umarłam, i żyję jeszcze, lecz kiedy trzeci raz umrę, tylko dusza żyć będzie w bożej miłości, a ciało spocznie w mogile.“

„Dziwnego uczucia śmierci i nowego życia doznałam raz piérwszy przy rozstaniu się z drogiemi osobami, które od

lat dziecińczych mieszkały razem z nami, a przez nie tysiąca boleści i tylaż miłych wrażeń doznałam w życiu, ostatnie lata wspólnego pożycia, we łzach mi przepłynęły, a oddalenie się braterstwa i zupełne sieroctwo nasze, tak mię przejęły głęboką boleścią! zdawało mi się, że skończyła życie i nowe zaczęłam. Ach! bolesny, okropny był koniec i początek tego nowego smutnego życia... znów mi przyszło umierać."

"Po tych młodocianych uczuciach życia wiosny, po tych rzewnych cierpieniach niewinnej duszy, przyszła tęsknota i gorące żywe serca uczucie. Na nieszczęście, przedmiot spotkany jak głaz na chwilę zapłonął we wrzącym potoku mojego uczucia i ostygł; daremnie łzami mojemu skąpany, pozostał zimny i trudny nie miał on serca, nie miał litości nad boleścią moją. Nieumiem opisać szczegółów codziennych stosunków naszych i cierpień moich, choćbym krwią serca pisała. Pamięć tych bolesnych chwil życia, zemną do grobu poniosę, kiedy raz trzeci umrę... Wtenczas kiedy on odjechał, była śmierć druga i życie boleści."

"Przeboleła pierś młoda, przepłonęła w niej miłość, przekwitł mi uroczy kwiat życia wiosny — uschła zielona gałązka nadziei — a na niej rosy perełka, łza cicha tylko została."

"Śmierć jedynem szczęściem dla mnie."

Po tej smutnej katastrofie w życiu Karoliny Proniewskiej, nikt już nie bronił jej pisać; nawet brat ksiądz Otton, kanonik, zachęcał ją do pracy i sam zajmował się wydawnictwem jej poezji; a kiedy sława jej poetycka rozgłosiła się, zaczęli szukać jej towarzystwa, jej znajomości, każdy dom chciał ją mieć u siebie, mężczyli nielitościwie, a sił coraz ubywało. Może później i spotkała serce, które mogło ją ocenić, zro-

zumieć, ukochać taką miłością, jaką ona kochała; ale już było za późno.

Brat jej ks. kanonik, otrzymawszy probostwo w Ucinie, obie z matką zabrał do siebie i otoczył najtłkliwszym staraniem; lecz choroba szybkie czyniła postępy, i w trzydziestym roku życia, przeniosła się do wieczności, obrała sobie najlepszą część...

Trudno wypowiedzieć jej anielską cierpliwość, jej poddanie się woli bożej, — z jaką spokojnością widziała zbliżającą się ostatnią chwilę życia, jak cieszyła matkę nieszczęsną przygniecioną latami i bolem serdecznym. Uspokajała ją mówiąc: że prędko zobaczą się; i jakby już nie chcąc mieć nie wspólnego ze światem, który jej skronie cierniem ukoronował, poleciła wszystkie swoje papiery spalić. Matka nie śmiała sprzeciwiać się woli umierającej. Ksiądz brata nie było w domu, a siostra p. Borysewiczowa przybyła we trzy godziny po jej zgonie, i ledwo znalazła tylko niektóre brulony, mimowoli ocalałe. Mamy przyrzeczenie posiadać te urywki, jeżeli da się co wypisać.

Tak skończyła kres życia swojego i zawód literacki młoda poetka. — Teraz przebieżmy pokrótce jej utwory.

Wszystkie pisma panny Proniewskiej, nacechowane prawdziwą wiarą, czystą miłością Boga i bliźniego i wielką pokorą ducha. Po tej drodze ciągle postępowała młoda poetka i jeśli by niezaskoczyła ją przedwczesna śmierć, śmiało rzec możemy, że intelektualne jej władze oparte na jasnych promieniach uczuć i naturalnego rozumu, dosięgłyby zenitu twórczości. Ta młoda dziewczica, nieodebrawszy świętego wychowania i kształcona tylko moralnie na dobrą kobietę, ciągle kształciła sama siebie i własną pracą budziła z uśpienia wrodzony talent — a serce uczuciem przepel-

nione, gwałtownym pędem, jak huragan na piaskach Sahary, dopominało się praw swoich: — niech więc nas nie dziwi, że w znanych nam utworach żmudzkiej poetki możemy gdzie niegdzie napotkać małe usterki pod względem formy albo twórczości; bo sama siebie w tychże utworach i w listach prywatnych usprawiedliwia, że niechęć sławy albo zysku nagliła ją do pisania, lecz potrzeba serca była dla niej główniejszą pobudką. Złożona w sercu iskra natchnienia bożego, mimowoli naszej wybucha wulkanicznym płomieniem, i lawa z kraterów jego płynąca w różnych kształtach, żadną siłą ludzką wstrzymana być nie może. Są wprowadzić ludzie, którzy siłą woli zadają gwałt uczuciom duszy, ale za to odpłacają ciężką pokutą. Tak też K. Pr. z początku niezrozumiana, wyszydzona przez najbliższych jej sercu, tłumila w sobie święty ogień natchnienia, a w miarę tego, system nerwowy paraliżowany ciąglą burzą i boleścią duszy, przyjmował zaród choroby ciała i przyspieszył zgon jej przedwczesny; a chociaż ją przy schyłku najpiękniejszych dni wiosny zrozumiano i oceniono, jak „Marję“ Maleczewskiego w kilkanaście lat po śmierci autora, ale niepodobna było cofnąć zadanych już pościsków. Na widownię publiczną wystąpiła Proniewska w roku 1856, i najprzód przeczytaliśmy pełen tklivości jej wiersz do Deotymy w N. 85 Dziennika Warszawskiego, który wyjawiał nam niepospolity talent żmudzkiej *Zuzuli*; ale niemało nas uderzyła żałośnień nota dźwięcząca o sieroctwie i ubóstwie, którą teraz zrozumieliśmy przez wyraz zawiedzionej miłości nieposażonej panny, a fałszywe, jak później przekonaliśmy się, doniesienie ze Żmudzi umieszczone tamże, utrzymywało nas w tém mniemaniu: przeto staraliśmy się bliżej poznać położenie młodej poetki w celu ofiarowania jej duchowej pomocy, i po otrzymaniu dokładnej wiadomo-

ści, nastąpiło sprostowanie w korespondencji W. Tomaszewicza umieszczonej w N. 282—285 Gazety Warszawskiej za rok 1856. Lecz na samym wstępie swojego zawodu, Pron. poczuła, że i tu *czara życia nie wciąż miodna, że cykutę spełnić trzeba* bo oprócz fałszywego doniesienia do gazet jakiegoś tam żmudzkiego *pana*, uwłaczającego jej matce, jakoby nieumiejącej ocenić wyższego posłannictwa człowieka i zaprzęgającej młodą poetkę do ręcznej pracy, W. T. mając udzielone jej wiersze, które jeszcze nie były drukowane, ocenił ich wartość ze stanowiska sztuki w ogólnym poglądzie i w zarysach swojego sprawozdania, wymienił kwilące *ja* poetki. Żmudzkiemu korespondentowi p. Pr. odpowiedziała dosyć cierpkim, ale sumiennie napisanym wierszem umieszczonym w N. 144 Kroniki Warszawskiej za rok 1856; a co się ściaga do korespondencji Tom, otrzymaliśmy list usprawiedliwiający ją, w którym tak się wyraża:

„Zdanie o moich wierszach, chociaż nieco zawczesne, jednak słuszne, i postaram się korzystać z przestróg udzielonych. Te kilka drobnostek, o których wspomniano (w korespondencji W. T.) pomimowoli na świat wyszły, pisałam je nlemysłąc wcale, by kiedyś czytane były. Od lat dziecinnych tylko dla siebie i dla swęj rodziny składane, niemogą być jako poezje sądzone. Pojmuję to, że dla ogółu kwiląca jednostka bywa nudną i śmieszną; tylko owiana szatą ideału, zajmować może w pieśni, — zawsze kiedy czuję potrzebę pisania, kiedy dusza się wznosi, najmniej wtenczas o sobie pamiętam i wcale mojego biednego *ja* nieczuję w sobie, a jednak cudne pienia Deotymy niemogą być moim udziałem.

Choć serce wielbi wieszczka i anioła,
Lecz myśl jej myśli doścignąć nie zdoła.“

Szczerłość i prostota, z którą reklamuje Pron. nadają większą wartość jej utworom; bo forma zewnętrzna czyli budowa wiersza, nieodlana na formę niegdyś wykutą w kuźni Wulkanu, młotami Cyklopów, i mierna ich gdzieś niegdzie twórczość, niemogą zetrzeć barwy szlachetnej dążności i gorących uczuć, któremi nacechowane jej poezje, jakkolwiek dla siebie tylko i dla swęj rodziny pisane. Jej talent od roku 1856, coraz jaśniej zaczął się wychylać z pod zasłony żmudzkiej pomroki. Opisanie *Festyny Kółwaryjskiej na Żmudzi*, drukowane w Wilnie u p. Zawadzkiego w 1856 r., p. Krąszewski w N. 283 *Gazety Warszawskiej* za tenże rok, chlubnie ocenił, a *Trzy promienie Ducha*, drukowane w Tęce Wileńskiej w 1857 r., zwróciły uwagę p. Syrokomli, który w dowodzie poważania talentu, przypisał autorce swój utwór *Królewscy Lutniści*. Na ostatek wydane w Wilnie u p. Zawadzkiego w 1858 r. poźegnalne piosneczki *Bogu na chwałę na pamiątkę przyjaźni*, zyskały ogólną sympatię. Smutno tylko, że nad tą ostatnią pracą zamknęła na zawsze powieki.

Iskra jej uczuć w niebiosu wzleciała,

A na tej ziemi część jej pozostała.

Niezależnie od tego, co wyszło z pod pióra Proniewskiej, wiemy z jej listów, że miała zamiar zacząć poemat o Birucie w obszernych rozmiarach, i zbierała do tego materiały; lecz słabość jej zdrowia a potem śmierć, przeszkodziły wykonać tak chlubne przedsięwzięcie.

Wieczny jej pokój, niech jej Niebo świecił

Takie są modły żmudzkiej ziemi dzieci.

Felician Rymkiewicz.

18 marca 1860 r.
Podwysokie.

WALERJAN TOMASZEWICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Illuc praevertamur: amatorem quod amicae
Turpia decipiunt caecum vitia, aut etiam ipsa haec
Delectant; veluti Balbinum polypus Hagnae:
Vellem in amicitia sic erraremus; et isti
Errori nomen virtus posuisset honestam.

HORAT. Serm. I. 3.

Dziwnie dotkliwie nieraz Bóg doświadcza naszej wiary i stałości. Od niewielu miesięcy ileż to czarnych paciurek zgonu nanizaliśmy na nasz różaniec boleści! a ciągle ich liczba się pomnaża. Potworowski, Łubieński, Działyński, Lelewel, Szulc, Paszkowski... gdyśmy jeszcze nieopłakali jednego, już zaraz po nim drugi zstępował do grobu... List otrzymany z Paryża przyniósł nam świeżo wiadomość o zgonie Walerjana Tomaszewicza, który udawszy się tam dla odzyskania starganego zdrowia, znalazł śmierć pod obcym niebem. Bez wątpienia, żal, który ogarnia serce w obec pierwszej dla mnie straty najbliższego współtowarzysza zawodu, niejest zdolen odjąć pamięci, żeśmy w ostatnich czasach doświadczyli strat o wiele większych przez spustoszenia śmierci. Lecz ciężkie te smutki niemogą jednak stłumić uczucia bólu na widok występującego na zawsze z szeregow pracownika, którego talenta i nauka były i długo jeszcze być mogły pożytecznymi krajowi.

Nieczując się w obec świeżej mogiły dość swobodnym do wchodzenia we wszystkie drobiazgi życia powszedniego śp. Tomaszewicza, zostawiam to komu innemu. Ci, co napojeni zachciankami zepsutego przedpokoju i salonu, nazbyt są łakomi widzieć małego człowieka powszedniego w mężu publicznym, nie tak wiele nas mogą obchodzić, iżbyśmy dla nich mieli sadzić się na przysługi. Inni, dla których cześć i służby nasze powolne, dobrze pamiętają owo już nietylko chrześcijańskiej, lecz i pogańskiej filozofji zdanie: „Qui, ne tuberibus propriis offendat amicum, postulat, ignoscet verrucis illius: aequum est, peccatis veniam poscentem, reddere rursus.“ Kto nierozumie tej pobudki lub przewrótnie ją tłómaczy, z tym trudna rada i zachód niepotrzebny. Postaram się tedy przedstawić w krótkości czytelnikowi jedną możliwą stronę życia publicznego Tomaszewicza — zawód literacki zmarłego; szczegółów poza tym obrębem stojących dotknę tylko przelotnie dla związku. Niech równianka, z jego własnych prac uwita, będzie ozdobą dalekiej mogiły, nad którą lzy żalu niedano wylać przyjacielowi.

Urodzony w powiecie trockim, gdzie rodzice jego mieli posiadłość ziemską, Walerjan Tomaszewicz był synem słynnego w swym czasie adwokata, a niegdyś artylerzysty b. wojsk polskich. Pierwsze dni młodości pod okiem starego żołnierza-prawnika spędzone, snadź niewywarły wielkiego wpływu na umysł młodzieńca, niewyrobiły hartu i wytrwałości, których nie miał zbyt wielkich z natury; przynajmniej niepewne, wahające się kroki w wieku późniejszym, inaczej się wytłómaczyć niedają. Odbywszy szkoły w gimnazjum wileńskim, wyższe kształcenie rozpoczął Tomaszewicz r. 1839 w byłej akademji medyczno-chirurgicznej, spadkobierczyni uniwersytetu w Wilnie. Po roku jednak słucha-

nia kursów medycyny, okoliczności niezależne od jego woli zniewoliły go do zaniechania przedsięwziętego zawodu. Potém kilku nawrotami uczęszczał na uniwersytet w Moskwie, gdzie słuchał nauk prawniczych i filozoficznych. Tam otrzymał dyploma na prawo nauczycielstwa w zakładach publicznych, z którego jednak niekorzystał. Powróciwszy z Moskwy przebywał lat kilka na wsi i tam rozpoczął prace literackie; następnie, obrawszy za wyłączne powołanie służenie piśmiennictwu ojezystemu, stale zamieszkał w Wilnie.

Pierwszém z dzieł jego drukowanych były *Wspomnienia z życia akademickiego*, szereg pięknych obrazków, umieszczonych w piśmie zbiorowém „Lud i Czas“, wydaném przez p. Januarego Filipowicza w r. 1845. Z lubością wraca w tych wspomnieniach myśl do chwili ubiegłej: „W przeciągu niewielu lat przeżyłem wiele; lecz ani mglisty sierocy wiek dziecienny, gdzie tyle tęsknych i rzewnych pamiątek, ani swawolny wiek młodociany, ani ów czas dwuletniego letargu między czterema ścianami, ani nareszcie szal miłości, to upojenie się jakby opijatem, niezostawily we mnie tak głębokich wrażeń, jak życie akademickie.“ Szeroko też nad niem a żywo był począł się rozwodzić; daleko później, w rozmowie poufnej rad się zwracał ku tym czasom, — i rozważaniem ich sobie osłode w cierpieniach, słuchaczom sprawiał przyjemność niepróżną nauki. Nieodżałowana szkoda, że z ustaniem pisma „Lud i Czas“ na pierwszym tomie, *Wspomnienia akademickie* Tomaszewicza urwały się, pomimo zapowiedzenia dalszego ich ciągu. Słyszałem za rzecz najpewniejszą od znajomych zmarłego, iż prócz wydrukowanej, była jeszcze znaczna część tych *Wspomnień* przygotowanych do druku w rękopiśmie; lecz dostawszy się gdzieś

w Moskwie do rąk pospolitych, wspólnie z zarysami ekonomii społecznej, którą zmarły gorliwie się zajmował, snadź zaginęła dla nas bez powrotu. I oto, gdy ostatnie mianowicie lata uniwersytetu wileńskiego upamiętniły się w licznych dziełach drukowanych i rękopismach; historia wewnętrzna dziesięcioletniego życia akademii medyczno-chirurgicznej w Wilnie, dotąd zostaje pod zasłoną. Święty dług wdzięczności wkłada na jej wychowawców obowiązek dokonczenia tego, co rozpoczął Tomaszewicz.

W témże piśmie p. Filipowicza, oprócz niewielkiej wartości urywku z Puszkina, który tylko dla porządku notuję, zamieścił Tomaszewicz obszerny wyjątek ze swego przekładu wierszem nierymowym *Don Karlosa*, poematu dramatycznego F. Szyllera. W roku następnym 1846, w tomie trzecim „Pamiętników umysłowych,” wydawanych przez Jana ze Śliwina, drukowane były ułamki jego przekładu prozą tragedji tegoż autora p. t. *Fiesko*. W lat dziesięć potem, „Biblioteka Warszawska“ w zeszycie lutowym z r. 1856, zamieściła na swych kartach nowe wyjątki z *Don Karlosa*, poprzedzone rozprawą tłumacza o stanowisku Szyllera jako dramaturga, oraz o wierszu nierymowym polskim, który uważa za najodpowiedniejszy do dramatu i podaje za wzór w tym względzie Korzeniowskiego. Oba te dzieła, od dawna w zupełności przetłumaczone przez Tomaszewicza, dotąd pozostają w rękopiśmie z niemalą szkodą dla literatury. Przejęty cześć głęboką dla twórcy takich postaci, jak Poza lub Verrina, „dla wielkiego zgadywacza myśli niektórych wybrańszych istot, podsłuchywacza utajonych uczuć, zuchwałego sędziego błędów społecznych, tęskniącego wiecznie ku lepszemu przyszłości na ziemi, wykazującego jakimi mogą i powinni być ludzie,” — Tomaszewicz przekładał Szyllera z całą sumiennością i wysiłkiem

talentu, którego Bóg mu nieskaąpił. Tłómaczenia jego, mianowicie *Don Karlos*, stoją o wiele wyżej pod względem wierności i piękności wysłowienia oraz budowy wiersza, od przekładów innych pisarzy, które nam się czytać zdarzyło. Oto na dowód mały wyjątek z przekładu *Don Karlosa* p. M. Budzyńskiego i odpowiedni ustęp z tłumaczenia Tomaszewicza.

Przekład Budzyńskiego:

POZA.

Lecz szkoda, królu! Gdys ty twoich braci
Z rąk Stwórcy w dzieło twój ręki obrócił,
Nowo, odlanęj człowieka postaci
Samego siebie za Boga narzucił—
Szkoda, że w skutku zaszedł błąd maleńki,
Zostałeś człkiem, człkiem z Stwórcy ręki.
Szukasz współczucia jak każdy śmiertelny,
Musisz pożądać i cierpienia znosić—
Tymczasem Bogu wznoszą hymn kościelny,
Jego przywykli ludzie bać się, prosić.
Bolesna myłka, świat przeistoczony!
Gdys ludzi stracił, że ci jako stróny
Po twoim takcie wybijanym dzwonią:
Powiedz, kto z tobą podziela harmonią?

KRÓL (do siebie).

Przez Boga w niebie, on duszę porywa.

Przekład Tomaszewicza:

POZA.

Zal mi cię, królu! Tyś zamienił ludzi,
Jakimi wyszli z rąk przedwiecznych Stwórcy,
W dzieło rąk własnych—i tym nowym tworom
Czcisz jako Boga siebie rozkazałeś,
Zapominając, żeś pozostał człkiem,

Jakim wyszedłeś z rąk przedwiecznych Stwórcy.

I jako człowiek cierpisz; czegoś pragniesz—

Szukasz współczucia—nikt ci nieodpowie:

Bo wszyscy zwykli nieść ci, jako bóstwu,

Tylko uległość, hołdy i ofiary!—

O, jakże smutna ta zamiana, królu!

O, jakież wywrót wszystkich praw natury!

Kiedys, mój królu, użył wszystkich ludzi

Jakby do jakiejś muzyki dla siebie,

Z kimże podzielisz piękność tej harmonji?

KRÓL (do siebie).

Na Boga! silnie trafia do méj duszy!

Spodziewamy się, iż pozioma obojętność lub nadto przezorna rachuba stokrotnych zysków, gdy inne okoliczności dziś niezawadzają, przestanie utrudniać wyjście tych prac Tomaszewicza na widok i uznanie publiczne.

Prócz tych dwóch dzieł zupełnie ukończonych, dowiadujemy się z listów Tomaszewicza, iż tłómaczył jeszcze *Rozbójników* Szyllera około r. 1843; niewiemy czy dokonał tego przekładu w całości, i gdzie się znajduje ów rękopism również mi niewiadomo. Tłómaczył wiele drobnych utworów z lepszych poetów rosyjskich; lecz do prac tych nie-wprawnego jeszcze pióra, sam zmarły niewiele snadź przywiązywał wagi, gdy je oddał zaniechaniu. W tymże czasie pisał też wiele próbek poezji dramatycznej i lirycznej, jak np. *Ernest Mennasinger*, monolog z fantazji dramatycznej, oraz powieści oryginalne: *Czary* i *Pamiętniki rubla*; ta ostatnia widać wysoko była cenioną, bo w kilkunastu listach znajdujących się u p. J. Filipowicza, z gorącemi pochwałami o niej się odzywają. Prac tych nigdy niedrukowanych nieznam, i dla tego nic o nich więcej powiedzieć niemogę.

Z ożywieniem się działalności literackiej w Wilnie około r. 1850, Walerjan Tomaszewicz należał do kółka młodego pokolenia piszących, którzy się tu skupiali dla wydawania pisma zbiorowego pod redakcją Romualda Podbereskiego. „Pamiętnik naukowo-literacki“ liczył go do swoich stałych współpracowników. Wszelako oprócz *Fenomenów somnambulizmu w Wilnie*, artykułu, w sposób postrzegawczo-naukowy traktującego objawy tej choroby na dwóch rodzonych siostrach pannach Baczyzmalskich i z oburzeniem występującego przeciwko szkalownikom ich dobrego imienia (*), — tudzież prócz projektu wydawania encyklopedji i pism zbiorowych encyklopedycznych na większą skalę, co do skutku w Wilnie nieprzyszło, pomimo kilkakrotnego wznawiania tej myśli: — trudno mi z pewnością powiedzieć, co jeszcze więcej pisał Tomaszewicz do „Pamiętnika“. Grasująca podówczas epidemja pseudonymów, tak, że każdy z piszących miał po kilka coraz innych imionisk na zawołanie, oddalonemu od ówczesnego ruchu czyni niepodobnem wszelkie na prędce sprawdzenie. Zdaje się, że i Tomaszewicz, krom nadanego mu przez kolegów pseudonymu *Walerjana Kępisa*, miał wtedy jeszcze inne: naprowadza mię na tę myśl kilka artykułów krytycznych, w których sposób widzenia i styl jego dostrzegać mi nie mam; niemając jednak dostatecznej pewności, wolę o tych artykułach zamilczeć. Tomaszewicz brał żywy udział w sporach między „Tygodnikiem Petersburskim“, a „Gwiazdą“ i „Pamiętnikiem“, z przekonania stając po stronie tych ostatnich; nigdy atoli nieposuwał się do nieprzyzwoitych a zięjących osobistością łajanek, jakeimi odzuaczała się owo-

(*) Artykuł ten, pod powyższym tytułem, wyszedł też w osobnej broszurze w r. 1850 u Zawadzkiego.

czesna polemika między wiekuiście zwaśnionemi obozami, starym a nowym. Sam to nieraz opowiadał, śmiejąc się szczerze z tych zalebków;—i miał słuszość: najzapalczywsi bowiem przewierzgnęli się niezaślugo w zwolenników tego wyznania, przeciwko któremu występowali. Tomaszewicz, bez żadnego hałasu, wiary poślubionym zasadom dochował aż do śmierci. W czasach ustawicznego zrzucania wyliny dla odmienienia maści, stałość taka jest godną uczczenia.

Po rozpierzchnieniu się w różne strony kółka, o którym przed chwiląśmy mówili, Tomaszewicz pospołu z p. J. Filipowiczem tłómaczył popularnie napisane obszernie dzieło A. Stöckhardta: *Wykład chemji, czyli pierwsze zasady tej nauki, wsparte najprostszemi doświadczeniami*. Dzieło to starannie i sumiennie przełożone wyszło w r. 1855 w Wilnie u Zawadzkiego. Ogromne trudności, wynikające z zamętu w terminologii naukowej, przez każdego coraz inaczéj wyginanej, zniewoliły tłómaczów Stöckhardta do ułożenia wspólnie zasad słownictwa chemicznego, opartego na krytycznym rozbiórce prac poprzedników i wprowadzeniu pewnej liczby niezbędnych nowości. Owocem téj przedwstępnej pracy była rozprawa: *O chemicznej polskiej terminologii*, wydana później w r. 1856 nakładem księgarni Zawadzkiego. Do porozumienia się wszakże między pracującymi nad chemją nieprzyszło, Tomaszewicz zaniechał swéj terminologii, i potworna mieszanina języków, z której bez formuł wywlać się niema sposobu, trwa aż dotąd.

Około tegoż czasu powstała w Wilnie myśl napisania podręcznego *Słownika języka polskiego*. Wezwany w liczbie innych przez p. M. Orgelbranda do współpracownictwa, Tomaszewicz cały się oddał temu dziełu. Z pomiędzy przedmiotów specjalnych, jako oznajomiony z naukami przyro-

dzonemi, którym w akademji i uniwersytecie się poświęcał, wypracował dla *Słownika*: astronomję, fizykę, chemję, geologję, botanikę i mineralogję; prócz tego, z tła ogólnego napisał pierwszą połowę litery P i część Z, tudzież objaśnił wiele wyrazów pojedynczych, po całym dziele rozrzuconych. Nieprzystając na tém, prowadził jeszcze ogólną redakcję, czyli tak zwany przegląd rękopismu, ułożonego z najrozmaitszych źródeł, które nieraz przykrawać do planu, prostować lub całkiem przerabiać przyszło. Ta mozolna, a nad wszelki wyraz niewdzięczna praca, dobiła ostatecznie i tak już mocno podupadłe zdrowie Tomaszewicza, a na oczy rzuciła zasłonę. Z wiosną r. 1857 musiał całkiem poniechać przeglądanie rękopismu *Słownika*, które mnie po nim się dostało, i tylko trudnił się jeszcze przez czas niejaki porządkowaniem własnych materiałów, aż wreszcie od wszystkiego musiał odstąpić.

Pomimo dotkliwych cierpień nerwowych i coraz bardziej chmurą zachodzącego wzroku, którego zgaśnięcia zupełnego przeżyć nieobiecował, Tomaszewicz aż do ostatniej chwili swego pobytu w Wilnie lub pobliskim Zameczku, niestracił jędrności myśli i przezroczystości wyślowienia, co obcowanie z nim czyniło zawsze nauczającym i miłym. Nieprzyjaciel wszelkiego pedantyzmu, był prostym i dla każdego dostępnym, równie w obejściu, jak w mowie lub piśmie. Umysł jego wysoce krytyczny, może nawet mniej twórczy niż krytyczny, był niewyczerpanym w postrzeżeniach. Unoszący się aż do zachwytu nad wszelką prawdziwą pięknoscią myśli lub rzewnością obrazu sztuki, miał zarazem tę bystrość rzutu oka, która, czuła na najdrobniejsze zboczenia, żadnemu usterkowi wymknąć się przed uwagą nie dopuszczała. Nieskąpy w pochwałach, był też nieubłagany w karceniu, lubo to czynił zwykle z największą de-

likatnością; jedynie w chwili rozdrażnienia nerwowego, któremu w ostatnich latach podpadał, wyrywało mu się niekiedy jakieś uszczypliwe słówko. Uwagi swoje, zgodnie z swym charakterem, wyrażał pospolicie w sposobie rady lub osobistego widzenia rzeczy, co odejmując im dokuczliwą stanowczość, czyniło je tém miłszemi dla słuchacza; żadne jednak uboczne względy niebyły dość mocne do pohamowania go od wysłowienia co miał na myśli. Dość jest przytoczyć, iż niezadługo po wyjściu pierwszego tomu „Jordana“, gdy wszyscy się nad tém dziełem unosili, Tomaszewicz bodaj pierwszy na Litwie, pomimo żywej sympatii dla myśli zacnych a gorąco wyrażonych, pomimo osobistej przyjaźni dla autora, nazwał tę książkę, jako dzieło sztuki, „próbą pióra dobrego, atramentu czarnego.“ Młodzi piszący w Wilnie, a w ich liczbie i autor tych słów kilku poświęconych pamięci Tomaszewicza, znajdowali w jego rozmowie niewyczerpane skarby nauki. Śmiało można utrzymywać, iż wpływ jego na umysły i kierunek literacki tych co się doń zbliżali, był wielce przeważny i więcej nawet miał znaczenia, niżeli własne prace literackie zmarłego. Dom jego, który się nigdy niezamykał przed życzliwymi i dobrze myślącymi, był pewnego rodzaju akademją, gdzie żywe słowo zastępowało księgi i papuże dySSERTacje. Z tego zapewne powodu niewiele drukował Tomaszewicz swych prac krytycznych, chociaż tego rodzaju uwagami zapełniał listy, pisał dużo notatek i całe prawie artykuły miał usnute w pamięci. Kilka jego listów krytycznych było drukowanych w „Gazecie Warszawskiej“, jedyném podówczas piśmie codzienném, którego zasady niekrzyżowały się z przekonaniami Tomaszewicza.

Całe życie ś. p. Walerjana, po za obrębem literatury ubiegło na bezowocném pasowaniu się i cierpieniu. W li-

ście pisanym z Moskwy pod datą 4 lutego 1846 r., a więc gdy jeszcze miał zaledwie lat 26 wieku, czytamy następujący ustęp: „Jam się zrodził do cierpień, jam się z nimi spokrewnił, zbratał, oswoił. Ludzie uczuciowi na męczeństwo się rodzą... Niebędę nigdy szczęśliwym! usposobienia wbrew sobie wsteczne niezmierzają harmonji w pożyciu, a jam uczuciowy, ekscentryczny; lubię żyć nie tylko głową, ale i sercem, niestety. Lecz krok już zrobiony — idę z rezygnacją naprzód.“ To cały obraz życia wewnętrznego i domowego. Jeżeli w takim stanie ozwała się kiedy fałszywa nótą jęku, niezapominajmy, iż cała gamma chromatyczna jest niewystarczającą na ujęcie tonów serca....

Nieodstępną przyjaciółką i podporą Tomaszewicza w ostatnich latach, była pełna wysokości enoty poświęcenia dla męża jego małżonka Matylda z Karpowiczów, którą pojął w r. 1855. W tym czasie poznałem ich osobiście i miałem zręczność przypatrzenia się ich pożyciu, tej pięknej harmonji dusz, która najsmutniejszy żywot powszedni wynosi do ideału szczęścia rodzinnego. Zaślubiwszy go, ażeby mieć prawo zostania jego aniołem opiekuńczym, Matylda była niewyczerpaną w zabiegach dla osłodzenia schorzałem gorzkich chwil życia, dla zaradzenia niedostatkowi, który nieraz w oczy zazierał, a któremu zapobiedz prace literackie, jak zwykle u nas, niemożły. Ona była mu wszystkim: przyjaciółką, piastunką i współpracownicą po utracie wzroku. Walerjan też umiał ocenić to wzniosłe poświęcenie. Pomimo doskwierających cierpień, nigdy z ust jego niewyszło słowo ku niej zwrócone, któreby nie było wyrazem najtkliwszej czułości. Przed przyjaciółmi mawia zwykle, iż żona jego jest nie *połowicą*, lecz *dziwięćdziesięciu dziwięciu częściami* jego samego.

W roku 1858 wyjechali razem do Paryża, gdzie się Walerjan udawał, łudząc się jeszcze nadzieją odzyskania wzroku. Odbywały się rozmaite konsultacje doktorów polskich i francuskich, i nie dobrego niewywnioskowały. Wówczas jeden z doktorów polskich, wylany dla współbraci, choć sam niezdolny, począł prawie codziennie odwiedzać chorego, i wbrew przepowiedni owych konsultacji, poprawił jego zdrowie wewnątrznie i przedłużył to stargane życie o półtrzecia roku. Gdy jednak wszelkie ułudy odzyskania wzroku zniknęły, stargana nieżywota pękła pod tym ciosem, i garść obcej ziemi na cmentarzu Montmartre przysypała zwłoki oracza tej bożej niwy. Tomaszewicz umarł d. 14 maja 1861, w 42-im roku życia.

Nazajutrz po śmierci Walerego żona jego Matylda zwarzjowała, i w dziesięć dni po jego zgonie d. 25 maja zakończyła życie. Uchylmy czoła przed taką potęgą miłości... Zawsze mówiła, że nieprzeżyje go, i dotrzymała słowa... Przez te dni kilka zrobiła się zgrzybiałą staruszką choć miała lat 38 i była silna i zdrowa.

Pokój im obójgu! i tej, która tak miłować umiała, i temu, który na taką miłość zasłużył!

Wincenty Korotyński.

Czerwiec 1861 r.

ŻEGLARZ.

Wiatr wpędził łódkę małą w wodmęt oceanu,
Piorun maszty zdruzgotał, kotwica urwana,
Żeglarz wiosła opuścił — a droga nieznana,
Bo żeglarz był rybakiem z małego limanu.

Wały falą spienione pędzą w głąb' bezdroża,
Łódka nieraz zawisała na karku bałwana,
To znowu pod nogami wirem pokonana,
Uporczywie bój toczy z bałwanami morza.

Już żeglarz bez nadziei chwyta się krawędzi,
Ster prysnął, a wiatr łódkę pędzi w głąb' i pędzi,
Jak uczucia wzburzone w oceanie duszy.

Nadzieja już stracona, bo wiatr łódkę kruszy;
Lecz na złotym rydwaniu, pośród fal odmętu,
Sternik rękę mu podał z wielkiego okrętu....

F. Rym....

1855. r. w Wilnie.

REGIAR

SPIS RZECZY.

	stron.
Od wydawców	V.
Wielcy Muszkietierowie Augusta II. <i>Juljana Bartoszewicza</i>	9.
Posłuszeństwo, opowiadanie <i>J. Korzeniowskiego</i>	23.
Z Lirą powrót do kraju, wiersz <i>T. Lenartowicza</i>	63.
Pokuta Szafraka <i>Edmunda Chojeckiego</i>	65.
Improwizacja na górze Orłów <i>Deotymy</i>	70.
Anioł na niebie i Szatan na ziemi <i>Deotymy</i>	72.
Cantate Domino <i>J. B. Z.</i>	74.
Orzeł Swatem, obrazek Serbski <i>T. Jeża</i>	75.
W Szwajcarii <i>Juljusza Słowackiego</i>	111.
Wiersz <i>Apollinarego Zagórskiego</i>	124.
List <i>Deotymy</i> do <i>Cyprjana Norwida</i>	125.
Odpowiedź <i>Cyprjana Norwida</i>	127.
Padewskie Nagrobki <i>J. I. Kraszcowskiego</i>	19.
Losy Grajków, wiersz <i>J. Prusinowskiego</i>	141.
Wzroki, przypowieść <i>C. R. Norwida</i>	142.
Zabłąkana <i>Romana Zmorskiego</i>	144.
Opatrzność } <i>Karola Brzozowskiego.</i>	145.
Dla <i>Z. M.</i> }	146.
Ustęp z życia <i>Kazimierza Brodzińskiego Lucjana Siemien-</i>	
<i>skiego</i>	148.
W imienniku <i>W. T. Zofij Węgierskiej</i>	156.
O gienjuszach do <i>Adama Mickiewicza J. B. Z.</i>	156.
Z Boskiej komedji <i>Danteo Pieśń I. tłum. W. T. Ramingo</i>	158.
Pieśń VIII-a }	162.
Pieśń IX-a }	168.
tłum. <i>A. Stanisławskiego</i>	

	str.
Młodzian i starzec z Florjana, przekład <i>Z. Węgierskiej</i>	174.
Co przeznaczone nie minie, opowiadanie Ks. G. P.	175.
Urywek z pamiętnika kapłana z Lamartina, przekład księżnej <i>Gabryeli Puzyriny</i>	199.
Złudzenie <i>L. Brzozowskiego</i>	201.
Do Matki <i>Karola Szajnoch</i>	202.
Kifor obłąkany <i>A. Pługa</i>	203.
Tęsknota <i>Edm. Łozińskiego</i>	210.
My lud wybrany <i>N. K.</i>	211.
Do naszych literatów <i>K. Merzbacha</i>	213.
Stanowisko naszej publicznej wymowy	215.
Pieśń Kozaka <i>A. Grozy</i>	231.
Rozmowa umarłych <i>C. K. Norwida</i>	233.
Przebudzenie <i>H. Merzbacha</i>	237.
Hrehory książę Ogiński <i>L. Chodźki</i>	239.
Z Heinego <i>Jana Prusinskiego</i>	257.
Wyjątek z listu Byrona do Hodgsona tłum. <i>W. T. Ramingo</i>	259.
Śpiew o oblężeniu i wzięciu Alhamy tł. <i>W. T. Ramingo</i>	261.
Do... <i>F. Rym.</i>	267.
Noc jesienna <i>F. Rym.</i>	167.
Karolina Proniewska <i>Fel. Rymkiewicz</i>	269.
Walerjan Tomaszewicz wspomnienie pośmiertne <i>Wincentego</i> <i>Korotyńskiego</i>	281.
Żeglarz <i>F. Rym.</i>	293.



201950